

# Antybaśnie

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

## ANTYBAŚNIE

### PROLOG

- Więc pan nie wierzy w Amirandę? - powiedział szpakowaty archeolog w luźnym, letnim garniturze, z niedbale zawiązaną apaszką na szyi.

- Oczywiście, przecieŜ ja ją wymyśliłem!

- Zarozumialec!

Rozmowa miała miejsce w rozkosznie chłodnym korytarzu, na który wymknąłem się, nie mogąc wytrzymać upału panującego na sali obrad plenarnych Kongresu Historyków Powszechnych. Profesor HSP pospieszył za mną, a jego pytanie dopadło mnie na wysokości biustu Sokratesa. Przedtem zamieniliśmy kilka zdań na temat legend i mitów i juŜ nie pamiętam, w jakim kontekście podałem przykład mojej Amirandy. MoŜe chodziło o opinię na temat mego eseju „Historiozofia baśni”, który ukazał się w „Gazecie Kongresowej”?

Nie miałem wielkiej ochoty dyskutować z HSP, który we własnej sekcji problemowej uchodził za dziwaka i nieznośnego gadułę.

Moje myśli zajęte były młodziutką Joan Parker z Harvardu, której nogi interesowały mnie znacznie bardziej niŜ jej obrzydliwie postępowe poglądy na temat „Koezystencji w dobie Pax Romana”.

Archeolog jednak nie dał zbić się z tropu.

- A jak ją pan wymyślił? Pod wpływem szoku, naglej iluminacji?

- Nie, stopniowo, latami, najpierw we fragmentach, dla zabawy, dla najbliższych, później publikując tu i ówdzie krótkie historie, aby z czasem wyobrazić sobie dość kompletnie krainę w kształcie trapezu, położoną gdzieś na południe od zdrowego rozsądku, na prawo od materializmu historycznego, na niespokojnym pograniczu absurdu i logiki...

- A konkretnie: od ŚnieŜnych Wierchów do Morza Nordlandzkiego, od równin Axaru ku gwarnym miastom Rurytanii z malowniczymi porohami Kamienicy, jurajskimi skałkami Regentowa przechodzącymi w rdzawe wulkaniczne pasmo Ognioszczytów - dokończył HSP.

- Fakt - przyznałem zaskoczony. - Skąd pan wie? W Śadnej baśni nie robiłem geograficznego wykładu.

- A co pan powie na to?

Tu profesor wygrzebał z kieszeni starą monetę, na której rewersie dostrzegłem amirandzki trapez z wpisanym weń centaurem, a na awersie tłuste oblicze jakiegoś władcy, z na wpół zatartymi literami *Rodrigus a uintus regentus amirandiensis*.

- Zręczny falsyfikat - roześmiałem się - doskonale wykonany, chyba z ołowiu, bo ciężki jak złoto.
- To złoto najwyższej próby - powiedział tonem lekko urażonym profesor.
- Zresztą to nie jest jedyny okaz w moim posiadaniu. Niech pan wpadnie po obradach do mojego pokoju.

Nasz hotel leżał nieopodal targowiska i równie blisko historycznego centrum, teraz zatopionego w południowym Śarze. Większość kolegów z naszej delegacji udała się do miasta, już to poznać uroki kolebki cywilizacji, już to wzbogacać miejscową ludność w Śelazka elektryczne, namioty i śpiwory. Pozostaliśmy sami. Leniwie warczał wentylator, na suficie przycupnęła mała antygravitacyjna jaszczurka. HSP miał już dobrze pod siedemdziesiątkę, ale trzymał się niczym dąb Bartek - krzepko, nie zdradzając żadnych objawów starczego uwiązdu.

Od czterdziestu lat na emigracji, mówił ciągle przepiękną kresową staropolszczyzną.

- Mówiąc szczerze, jak pan trafił na Amirandę? - zapytał mnie, ledwo wszedłem i zdążyłem umoczyć usta w szklaneczce z metaxą.
- Wymyśliłem ją! - powtórzyłem.

Pokręcił głową.

- Musiał pan mieć objawienie. Albo cykl objawień.

Gdyby nie szacunek dla jego siwych włosów, wybuchnąłbym śmiechem. Poprzestałem na grzecznym zaprzeczeniu.

- A sny? Zwidy nocne? - nie ustępował.
- Absolutnie nie. Wie pan, zajmowanie się historią nie jest zbyt intratnym zajęciem, dorabiam więc pisaniem różnych śartobliwych kawałków, wymyślam kosmitów, bawię się w horrory, kiedyś wziąłem na warsztat tradycyjne schematy baśni i zacząłem manipulować...

- Ale dlaczego Amiranda? - przerwał i powtórzył z naciskiem:

- Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

- Tak mi się wymyśliło.

- Wymyśliło - zachichotał i naraz gwałtownym ruchem wyciągnął walizczkę pełną kserokopii.

- Czytał szanowny kolega Alkajosa z Aleksandrii? A neo-Prokopiusza? A może relacje Gunnara z Birki, bo chyba nie znalazł pan wzmianki o Amirandskiej Ziemi w zaginionych partiach *Latopisu ruskiego*...

- MoŜe pan jeszcze dorzucić *Kritiasza* Platona, ten dialog znam.

- Platon pisze o Atlantydzie, o wielkiej wyspie, Amiranda nigdy wyspą nie była...

Platon, i owszem, wiedział coś na jej temat, ale - jako znawca bytów idealnych - nie interesował się czymś, co przypomina karykaturę rzeczywistości. Istniały natomiast pewne, parozdaniowe wzmianki u Arystotelesa. Zostały jednak zniszczone jak pozostałe zapisy.

- Zniszczone? Dlaczego?

Profesor zniŜył głos.

- Zmowa. Zmowa, panie kolego. Czy oficjalna nauka moŜe pogodzić się z historią relatywną, z czymś, co rozsada ramy, zaprzecza podstawowym pojęciom czasu i przestrzeni?

Nie, drogi kolego. Gdziekolwiek pojawiły się wzmianki o trapezoidalnym królestwie i jego okolicach, były one zawsze tępione gorliwiej niŜ pisma heretyków...

- Jednak pańskie kserokopie, numizmat?

- Mam tego więcej.

Z szafki nocnej wygrzebał karton pełen rozmaitych bibelotów. Były tam nadpłowiawe miniatury, rozsypujące się kodeksy, kawałki tkanin, a nawet kości... Muszę przyznać, Ŝe gdyby nie światowa sława i niepodwaŜalny dorobek naukowy, uznałbym mego rozmówcę za szaleńca. A tak, siedziałem obok niego w kucki i słuchałem, jak wymawiał numery dynastii, sypał

nazwami lokalnymi, bezbłędnie dopasowując eksponaty do historii, która w zadziwiający sposób przystawała do moich opowiastek. Tyle Ŝe ja snułem swe legendy w historycznym bezczasie, a w relacji archeologa wszystko łączyło się w spójną całość, niczym fragmentaryczne i często sprzeczne mity greckie w jedną genealogię pod redakcją Homera i Hezjoda.

- Miał pan olśnienia typowe dla wszystkich obdarzonych nadwraŜliwością historyczną, panie magistrze - stwierdził w pewnej chwili. - To się zdarza. Byty relatywne potrafią oddziaływać na czułe organizmy, weźmy Lovecrafta, Tolkiena...

- PrzecieŜ to pisarze fantaŝci! - wykrzyknąłem.

Westchnął.

- I pan jest dzieckiem swej epoki, wyznawcą prawd jedynych, historii nieodwracalnych. Ja mam dowody, Ŝe byli to wizjonerzy odbierający sygnały z innych światów, światów niepostrzegalnych na co dzień, ale trwających obok nas, niekiedy na odległość wyciągniętej ręki...

Wyznam, Ŝe zaczęło mnie to juŜ denerwować. Autorytet autorytetem, ale HSP musiał

być niezłe ŝwiŝnięty. JeŜli idzie o bibeloty, uznałem je za dzieło zręcznych fałszerzy, którzy w osobie

archeologa znaleźli naiwnego nabywcę ich staroci.

Archeolog tymczasem wyciągnął z dna kartonu kolejną porcję pamiątek. Laseczkę błazna królewskiego z czasów V dynastii, pióro, którym podpisano traktat pokojowy po wojnie dwudziestoletniej...

- I gdzie pan to wszystko nabył?! - wykrzyknąłem.

- Częściowo kupiłem, trochę wyszperałem.

- Ale gdzie? Gdzie leŜała, pańskim zdaniem, Amiranda?

- Ona nadal istnieje wokół nas.

- Wolne Ŝarty! - nie wytrzymałem.

- Ale odpowiedź będzie szybka - odciął HSP - ja tam byłem! Chce pan obejrzeć slajdy?

Chciałem.

I tak się zaczęło...

## **ZAMIAST WSTĘPU**

W historii pewni są jedynie historycy. Ale i to nie zawsze. Poproszony przez mojego młodszego kolegę o parę słów komentarza, postanowiłem z pełną Ŝyczliwością nie odmawiać.

Mamy oto pracę, która niewątpliwie wychodzi naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu na wypełnienie olbrzymiej białej plamy, czy raczej, posługując się terminologią kosmiczną, historycznej Czarnej Dziury. Jest to jednak, niestety, ledwie muśnięcie olbrzymiej problematyki, która wciąż czeka na swego Mommsena, Gibbona czy Estreichera.

Co bowiem proponuje autor, sympatyczny młody człowiek, typowy dla rzeszy magistrów swego pokolenia? Garść obrazków, epizodów z parotysiężnych burzliwych dziejów Alternatywnego Świata, wybranych przypadkowo, po dyletancku, bez zachowania reguł naukowej analizy, za to z wielkim naciskiem połoŜonym na wątki skandalizująco-personalne.

PróŜno szukać by w niniejszej pracy dorobku historyków myśli społecznej, inŜynierów od historii gospodarczej. O nie, autor postępuje raczej śladami Swetoniusza lub Prokopa z Cezarei, epatując gwałtem i przemocą, krwią i seksem.

Niezręczność kompilatora i dająca się na kaŜdym kroku zauwaŜyć niedbałość bibliograficzna, skrajne lekcewaŜenie przypisów, danych statystycznych oraz wręcz zaskakujące niezrozumienie procesów dziejowych mogłyby skłaniać do pytania o celowość wydawania tego rodzaju „pracy”. Ale jako bezstronny naukowiec dołączam krótką wypowiedź na temat stanu wiedzy źródłowej o problematyce będącej przedmiotem niniejszego kompendium.

Mówiąc krótko: w naszym świecie wiedza to jest Śadna, a i po drugiej stronie rzeczywistości teŚ nie jest lepiej.

Alterhistoriozofia jest dyscypliną młodą, dla której fundamentalne znaczenie będzie miał

niewątpliwie mój wykład wygłoszony 11 października 2034 roku Nowej Ery czasu środkowoamirandzkiego w Erbańskiej Akademii Wieczorowej dla pracujących.

Ze Światami Alternatywnymi, inaczej mówiąc - innowymiarowymi, mają kłopoty zarówno materialści, jak i idealści. Przy czym wśród tych pierwszych zaznacza się od pewnego czasu dialektyczna ewolucja stanowisk. Od pełnego zaprzeczenia istnienia obok nas symultanicznych cywilizacji, po przyznanie, Œe istnieją w sposób celowy i sensowny.

Idealści nie mają takich kłopotów - od niepamiętnych czasów znają juŚ trzy światy z różnymi wymiarów: Ziemię, Niebo i Piekło i dorzucenie jeszcze bytów nr 4, 5, 6 czy 345

nie stanowi problemu intelektualnego.

Sekta Alternatywników uwaŜa, Œe są to po prostu inne retorty w laboratorium Stwórcy, w których eksperymentuje się nad tym, co w wersji Z-1 jest niedoskonałe.

Zresztą, komunikacja - i to utrudniona - istnieje tylko między Z-1 i Z-2, to, co się dzieje w innych czasoprzestrzeniach, stanowić moŜe wyłącznie przedmiot spekulacji lub poznania spirytystycznego.

Istnieje teŚ, rozpowszechniona w szkole ontologicznej Harrisona (vide: *Ontological School Journal* G. Harrison & Co. Rocznik 2031, zeszyt 11, 12, 13), wersja nazywana

„pączkowaniem światów”. Do „pączkowania” dochodzi, gdy niespodziewana ingerencja z przyszłości, której nie mogą przeszkodzić tak czujne zazwyczaj Siły Najwyższe, doprowadza do zmiany przeszłości. A ponieważ Œ naszego Wczoraj zmienić nie moŜna, wyrasta nowa wersja dziejów i egzystuje jako samodzielna gałąź na zawsze oddzielona od pnia matki.

Kiedy powstał naprawdę Z-2 - cudowny świat Amirandy i Erbanii, Œycznej Axarii i wykwintnej Rurytanii, mocarstwa Etańskiego i mrocznej, despotycznej Alergii?

Wykopaliska zaprzeczają moŜliwość całkiem niedawnej kreacji. Znalezione na tarczy erbańskiej osady prekambryjskie, potęga Rurytanii w czasach nowoŒytnych oparła się na węglu z wczesnego karbonu, a jurajskie skałki z okolic Regentowa teŚ są dowodem na prehistoryczność Amirandy.

Wedle Granta Harrisona trzy tysiące lat przed Nową Erą spadł na Z-2 monstrualny deszcz meteorytów, który zmienił całą jej dotychczasową mapę. Jedne kontynenty zaginęły (jak Australia), inne wypiętrzyły się ponad miarę, ogromne obszary zalały morza, inne, przeciwnie, wyłoniły się spod wody, ergo tylko bardzo wytrawny kartograf potrafi nałóŒyć siatkę Z-2 na Z-1, tym bardziej Œ nawet oś ziemską jest w rzeczywistości amirandzkiej inaczej usytuowana. Niektórzy skłonni są przypisywać ów deszcz bolidów (niektóre z nich były wielkości Sycylii) Istotom Najwyższym, które poniewczasie i bezskutecznie usiłowały unicestwić nie chcianą rzeczywistość.



W świetle tej teorii gałąź Z-2 miałyby wyrosnąć na krótko przed kataklizmem. A może właśnie kataklizm był jej prapoczątkiem?

Duże wrażenie wywarła ostatnio w kołach naukowych hipoteza prof. Arnolda Lewisa (Arnold Lewis *Teoria kataklizmów raz jeszcze*, Enderberg 2030). Ów znakomity erudyta, opierając się na analizie odbić pozagalaktycznych, twierdzi, że Z-2 jest to nasz Świat z niedalekiej przyszłości rzucony wstecz wielkim termonuklearnym kataklizmem, o którym pamięć została utrwalona w mitach o Dobie Ognia i Kamieni.

Czy Z-2 również sięgł ku zgubie, aby zapoczątkować jakiś Z-3? A może wszystkie światy poruszające się po spiralach egzystują obok siebie i mamy gdzieś poniżej niezbadany Z minus 1, minus 2... A naprawdę żadnego z nich nie ma?

Problem pozostawiam otwarty. Podobnie jak pytanie, kto ma rację? Albowiem racja zawsze leży pośrodku, chyba że środek ukradną (Z brulionów filozoficznych św. Limeryka, *Pisma wybrane i poprawione*, tom XI, s. 435, wiersz 11, Starogród 2012).

**prof. HSP Koln, London, Vancouver**

## **CZWARTE ŚYCZENIE**

Posłuchajcie o Rotasie, synu Radeusa, wnuku herosów i prawnuku bogów. Posłuchajcie, struchlali, o jego świetności i upadku, biorąc dla siebie naukę i przestrożę, *albowiem nic w Śyciu nie dzieje się bez powodu, a jak się już dzieje, to powód też się znajdzie* (z listu św.

Limeryka do Maranijczyków, *Pisma wybrane i poprawione*, t. VII, s. 221 u góry, Starogród 2012).

Dawno, dawno temu albo nawet jeszcze wcześniej, kiedy Stare Państwo Amirandzkie stało u szczytu świetności i ni człowiek, ni półbóg nawet nie śmiał naruszać jego świętych porządków (cali bogowie mieli w owych czasach całkiem inne zajęcia), nad Śyżnym i szczęśliwym królestwem w kształcie trapezu panował sobie (i innym) król Rotas.

Męszczyzna piękny, choć niski, tęgawy i z lekka powłóczyący nogą. Atoli w monarchiach dziedzicznych, gdzie pomazańców kreują palce bogów, *elekcja nie jest konkursem pię kność ci*.

Stara dynastia wywodziła się z czasów ciemnych i dusznych, kiedy ziemię spaloną ognistym deszczem kamiennym, spustoszoną falą poudzerzeniową, schłostaną huraganami i na wiele lat zasnutą warstwą chmur i kurzu, wywołującymi tak często opisywany w nauce efekt szklarniowy, dopiero zaludniać ją zaczęli nieliczni nieboracy, którzy uszli gniewowi bogów.

Podczas kataklizmu wyginęły dinozaury, mamuty i większość roślin zielonych, szlag trafił

wszystkich herosów, przeżyli natomiast niektórzy szarzy ludzie. Przez następne stulecie wygrzebywali się z jaskiń, z nor i mateczników. Oglupiali, przerażeni, jednakowoż żywi.

Byli tak rzadcy, że gdy jeden dojrzał na piachu ślad nie mytej stopy drugiego, przypadał do niego i całował zajadle. Za to przy spotkaniach bezpośrednich dochodziło często do nieporozumień i bójek,

albowiem przeżyli jedynie osobnicy nieufni, opryskliwi, gniewni.

Rinakses miał ledwie 8 lat, kiedy wygramolił się z głębokiej sztolni, w którą opuściła go matka. Przebywał w niej z młodszym bratem i dwiema siostrami, ale ci nie wykazali dostatecznej siły przetrwania. Zresztą nie mieli wiele do zrobienia. Jako silniejszy, Rinakses najpierw sterroryzował rodzeństwo, a potem sukcesywnie je zjadł. Tak pokrzepiony wynurzył

się na powierzchnię, na której z wolna zaczęło wracać Śycie. Marne, rachityczne, pełne zadziwiających mutantów - jak chimery, gryfy i centaury, latające myszy i ptaki z głową małpy - ale Śycie.

Dzikość Rinaksesa była ogromna: potrafił w biegu dogonić gazelę (parę z nich te

przetrwało) i odgryźć jej łeb razem z rogami. Dzikość ta dopomagała mu w walce o byt, utrudniała natomiast kontakty z ludźmi. Jeśli któryś z rzadkich osobników, tak mężczyzna, jak niewiasta, stanął na drodze młodzieńca, nigdy nie poszedł nią dalej. Zresztą, prawdę powiedziawszy, u kudłatych, odzianych w skóry barbarzyńców trudno byłoby dojrzeć różnice płci.

Samotność i brak jakiegokolwiek tradycji zemściły się na Rinaksesie, gdy wkroczył

w pełen burzy i naporu wiek dojrzewania. Dysponując ogromną energią, nie wiedział, jak ją spożytkować. Złapaną kobietę spożywał, zamiast używać, natomiast pastwą jego chuci padało co popadnie - koza, pijany centaur, ucho jednorożca, czy gniazdko mysikrólika.

Aż pewnego dnia na szarej i nieurodzajnej łące barbarzyńca dostrzegł kwiat precudnej urody, o grubych, wilgotnych płatkach meshkiem okrytych. Kwiat ów wabił, kusił, rozsyłał wonie, a nawet dźwięczał pewną delikatną melodyjką, przywodzącą Rinaksesowi wspomnienie najwcześniejszego, jeszcze beztroskiego dzieciństwa. Rinakses należał do ludzi ostrośnych, toteż krążył wokół rośliny jak wilk koło jeża, a kwiat obracał za nim swój purpurowy kielich na zasadzie zadziwiającego homotropizmu.

W onych latach resztki kurzu już ze szczeniem opadły, noce mogły być na powrót księżycowe, widne. I którejś z takich nocy młodzieniec poczuł, że nie zdierży. Podbiegł do kwiatu i ucałował go. Płatki rozchyliły się i z wnętrza wyłonił się słupek, który gmerać począł

między grubymi wargami wyrostka i splatać się z jego językiem. A był nadzwyczaj słodki, pachniał miodem i mlekiem, z ledwie dostrzegalną goryczką piołunu. I coś się w Rinaksesie przełamało, poczuł nadzwyczajną czułość, tkliwość do rośliny. Sam z nagłą stał się mały, prostacki, niedobry... Rosa miała smak upajający, listki drżały niczym u osiki. Młody mężczyzna zrozumiał, że musi posiąść kwiat, natychmiast albo nigdy. Toteż cały nabrzmiały miłością wbił się w kielich. Zachłannie, brutalnie, triumfalnie i dążył, dążył, chrapliwie wyrzucając gorące zapewnienia o bezmiarze swej sympatii, aż do apogeum spełnienia...

Kłapięcie! Ból przenikający do kresu jestestwa.

Nogi ugięły się pod Rinaksesem. Nie wiadomo skąd w kielichu zadziałała prawdziwa gilotyna.



Wyjąc z bólu i brocząc krwią, młodzian odczołgał się w stronę zarośli, nie próbował nawet zemsty na mięsoŝernej roślinie.

Zmarł rychło z upływu krwi.

W jakiś czas później płatki kwiatu opadły, a słupek zaczął przekształcać się w dziwną bulwę. Gdy po dalszych paru księŜycach w strony te zaplatał się samotny myśliwy nazwiskiem Remrod, owoc przykuł jego uwagę, ŝciał więc go krzemienym noŜem i juŜ zamierzał rozplatać tykwę w poszukiwaniu smacznego mięŝszu, gdy jakoweŝ kwilenie dobiegające z wnętrza skłoniło go do ostroŝności. Zabrał się więc delikatnie do rzeczy. Po nacięciu skorupy ujrział bieluteńkie pieluszki, a jeszcze głębiej - precudną maleńką dziewczyneczkę.

Nazwał ją Calówką.

Dziewczynka, córka kanibala i mięsoŝernego chwastu, wyrosła do całkiem normalnych gabarytów. W odróŝnieniu od rodziców była okazem słodyczy i łagodności. Raz jeden uŝyła siły. Zdarzyło się to wtedy, gdy Remrod widząc, jak przybrana córka pięknie dojrzewa, usiłował

naduŝyc praw opiekuna. Calówka obezwładniła wychowawcę i poszła w ŝwiat.

Tymczasem zaludnienie wzrosło, powstały nawet pierwsze osady. Nadal liczba męŝczyzn przewyŝszała liczbę kobiet, toteŜ dziewczyna mogła przebierać w kandydatach na męŝa. Nigdy nie zdecydowała się na stały związek, miała za to wielu kochanków, a z kaŜdym przynajmniej jedno dziecko. Tak zrodzili się kolejno: Ramez, Ruras, Rebus, Rotor, Riwanol, Ruy, Rzędzian, Ruta oraz Rebeka i Rimiz. Córka kwiatka przeŝyła w sumie 555 lat i zmarła otoczona powszechnym szacunkiem i tysiącami praprawnuków...

No i poszło. Najmłodszy Rimiz spłodził Reola, Reol - Raba, Rab - Rugada, który pierwszy zaszedł do krainy Amir i umiłował ją, choć wówczas ziemia jej rodziła jeno kaktusy i osty.

Poślubił on miejscową niewiastę imieniem Ina, córkę Inego, który był przybyszem ze ŝwiata Nr 1, a konkretnie z Babilonu. OnŜe przyniósł w barbarzyński Amir tysięczne wynalazki, od koła garncarskiego poczynając, na Kole Miłóŝników Filozofii kończąc. Nauczał rachunków, budownictwa, piŝmiennictwa, sztuki pięknej i sztuki wojennej, dzięki czemu chutor zbudowany na wzgórzu ŝród bagien rychło stał się obronną osadą, która narzuciła swe władztwo nad całą doliną Kamienicy.

Nie bez powodu Rugad uwaŜany jest za pierwszego króla Pierwszej Dynastii, która perswazją i za pomocą przymusu bezpoŝredniego poczęła rozszerzać swe władztwo na sąsiednie doliny, potem ku morzu, kolejno ku góróm, aby za czasów prawnuka wspomnianego Rugada oraz Iny zapanować nad większoŝcią ówczesnie znanego ŝwiata. Ów prawnuk, Radeus Wielki, zwykł mawiać, ŝe jest panem zarówno słońca, jak księŜyca, jego imperium obejmowało bowiem obie pólkule, jego galery docierały do najdalszych zakamarków, a legiony stały pod biegunami i u ŝczytów ŝnieŝnych Wierchów. Miał harem większy od Salomonowego i bibliotekę równą Aleksandryjskiej (z którą zresztą przez szparę międywymiarową korespondował).

Posiadał równieŜ doskonałych doradców, wiernych poddanych i niezmiernie bogactwo. A przede wszystkim miał szczęście.

I syna Rotasa.

Niestety.

Nie posiadając Śadnego z ojcowych przymiotów, Rotas nie posiadał nawet jego wad.

Ze wszystkich grzechów zachował wyłącznie jeden - lenistwo.

Nie miał nałóŜnic ani pacholików perwersyjnych, nie lubił igrzysk ani naukowych dysput, mierzyły go bale, a nade wszystko rządy. Z drugiej strony jednak, na usilne prośby swego bratanka Romanusa, iŜby ustąpił lub przynajmniej trochę posunął się na tronie, odpowiadał

negatywnie. Mimo wrodzonego kretynizmu znał nazbyt dobrze losy innych „posuniętych”.

Musiał się tedy Romanus postuŜyc fortelem. W prowincji Miraculi. gdzie cuda były naówczas tak powszednie, Őe na wierzbach rosły nie tylko gruszki, ale i mandarynki (cud dokonany przez przemyconego z Chin konfucjanina i mandaryna Mi-czu-ri-nusa), a mutanty i potwory były tak częste, Őe krąŜyło nawet powiedzonko „potulne ciele dwie głowy ma”, odłowiono jeden egzemplarz złotej rybki „Śyczeniodawczej” i posłano ją do stolicy. Wprawdzie w postaci filetu, ale z gwarancją na papierusie, Őe forma ta jest rękojmią nie tylko świeŜości, ale i spełnienia trzech, a nawet czterech obowiązkowych Śyczeń przy pierwszej nadarzającej się okazji.

JakoŜ przy którymś posiłku, kiedy na stół wjechały frutti di mare, Romanus zwrócił się do półleŜącego monarchy z pytaniem, jakie byłyby jego największe Śyczenia.

Rotas milczał chwilę. Trawił.

- Chciałbym - rzekł wreszcie - mieć niepodwaŜalną, trwałą pozycję, święty spokój, stałą erekcję i gwarancje, Őe nikt nie zagarnie tronu bez mojej zgody.

CóŜ za eksplozja nastąpiła! Filet buchnął Őarem równym małej bombie. Romanus zwinął się z łóŜem na kształt rolady, tak Őe nawet po rozprostowaniu pozostała mu ksywa

„Korkociąg”. Pałac rozpadł się w pył, tam zaś, gdzie uprzednio siedział król, pojawiła się gigantyczna buława wapienna o wysokości ponad tysiąca łokci, którą prosty lud nazwał

z czasem Zakutą Pałą, a która do dziś, oprócz innych zjawisk krasowych, jest ozdobą podstołecznego Parku Narodowego.

Niestety, filet spełnił równieŜ czwarte Śyczenie. Z powodu nieodnalezienia ciała monarchy Senat odmówił uznania go za zmarłego. Pozostał więc zaginionym. A Romanus

„Korkociąg” musiał, podobnie jak wszyscy jego następcy, kontentować się statusem zastępcy -

regenta.

Miało to swoje dobre strony: regent zawsze mógł udawać niekompetentnego, niedoinformowanego i jakby co - niewinnego.

A w średniowieczu utarł się nawet zwyczaj, że w wypadku pomoru, dżumy lub wojny młódź udawała się chłostać wapienną skałę, lśyc ją lub nawet obpaskudzać.

Uczeni zaś lingwiści właśnie od imienia Rotasa wywodzą słówko oznaczające zmianę u steru władzy, a mianowicie - rotację.

## OSTATNI SMOK

Antyk miał się ku końcowi.

Mozaiki spadały z szybkością kamyczka na kwadrans, łuszczyły się malowidła na portykach, koczownicy dawno przekroczyli nie pilnowane granice i tylko sute daniny odpędzały ich od przedpoli Miasta.

W samej stolicy świątynie starych bogów raziły niedostatkami, co się tyczy nowych -

panowało w tej materii dziwne rzeczy poplątanie, tak że nikt nie wiedział, czy lepiej stawiać na Mitrę, Izydę czy nową religię ze Świata Numer 1?

Obyczaje uczyniły się tak swobodne, że z mody poczęły wychodzić nazwiska, jako że nikt i tak nie wiedział, czyim naprawdę jest potomkiem. W legiach i kohortach pretorianów szerzyło się pedałstwo, a autorytet wszelkich instytucji upadł tak nisko, iż można śmiało rzec, że władza leżała na ulicy. Jednakowoż nikt specjalnie się po nią nie schylał, panowała bowiem uzasadniona opinia, że tak czy siak przyjdą barbarzyńcy i koniec.

Inna sprawa, że barbarzyńcy nie musieli wchodzić. Od dawna trzymali łapę na wszystkim, wielu z nich - pozornie zamirandyzowanych - objęło kluczowe posady augurów, prefektów, edylów czy trybunów.

Królowie z miejscowej dynastii, owszem, nadal egzystowali w Złotym Oppidum na wzgórzu Multijanusa, ale był to właściwie monarszy rezerwat, krajem zaś rządził Główny Doradca zatwierdzony przez zaprzyjaźnionych Koczowników, coraz śmieiej przybierający tytuł Regenta.

Nawet prymus w gimnazjum zapytany o panującego potrafił bez trudności wymienić miano Pierwszego Doradcy (tradycyjnie zaczynającego się na literę R), co się zaś tyczy króla - miał

mgliste pojęcie i nieraz podawał imię dziadka lub ojca aktualnego monarchy.

Jeden Multijanus trzymał się jeszcze jako tako, a jego świątynia należała do samofinansujących się. I to głównie z powodu braku grawitacji. Podobizna boga miała w odróżnieniu od rzymskiego pierwowzoru sześć twarzy: cztery, niczym u Światowida, ustawione wertykalnie (quadrowizyjnie) i

dwie horyzontalnie - jedna u góry, druga u dołu.

Całość utrzymywana cudowną mocą, a może tylko niewidzialną Szyką, wisiała w środku elipsoidalnej świątyni, wzbudzając podziw pielgrzymów, zwłaszcza że potrafiła również

odpowiadać, i to równocześnie, w sześciu głównych dialektach starego Imperium. Inna sprawa, że we wszystkich językach mówiła diabło niewyraźnie i enigmatycznie. Na rzecz Multijanusa działała również rozpowszechniona legenda, że upadek głowy na twarz oznaczać będzie kres Amirandy i całego świata, toteż półtora wieku później zwycięskie chrześcijaństwo też

oszczędziło sanktuarium, przestając jedynie na odcięciu dostępu dla wiernych i umieszczeniu tabliczki: „**Obiekt zabytkowy pomnik epoki wstecznego i konserwatywnego pogaństwa**”.

Na taki czas kryzysów i przewartościowań przypadły rządy Regenta Renarda.

Niewątpliwie ów słaby człowiek, satrapa o gołębim sercu i tyran bez przekonania, chciał

dobrze. Lojalny wobec Koczowników, na swój sposób kochał podległą mu domenę, jej wielowiekową historię, a nawet ludzi: rozbałaganionych, leniwych, wulgarnych, choć trzeba przyznać, w momentach próby zdolnych do największych wyrzeczeń, poświęceń, szlachetności.

Późnoantyczni mieszkańcy Amiru, zwani też już niekiedy Amirandczykami, byli przede wszystkim sfrustrowani. Z imperium, zajmującego dwa wieki wcześniej trzy czwarte alternatywnego świata, ostał się jedynie ochłap: Miasto, parę okolicznych wsi, bagien i nieużytków wyniszczonych przez złą gospodarkę, plagę Suka prosojada i chorobę marynarską, przywleczoną z dalekiego Orejonu, a rozprzestrzeniającą się przez podawanie rąk, szczególnie zaś przez ich całowanie.

Każda dynastia ma swe momenty schyłkowe, nawet ta, która - według własnych zapewnień - sprawuje władzę zastępczo z mandatu bogów i okoliczności. Czasy, co tu ukrywać, były parszywe i nawet z duchem Cezara Renard niewiele mógłby zdziałać.

Minęły czasy Romanusa II, Szczęściarza. Ostatniego z wielkich. Amiranda jego lat też

znajdowała się w upadku, ale korzystniejsza sytuacja zewnętrzna ułatwiała konsolidację.

Romanus potrafił skutecznie wykorzystywać rozgrywki plemienne wśród Koczowników, napuszczać Axarów na Lessów, Wixów na Erbanów... I w dogodnym momencie strącić z karku brutalną łapę Gwydów, którzy rozbiwszy Imperium, zdierali haracz z jego resztek.

Ambitny i brzydki jak jesienna noc Romanus II, syn koniucha i garbatej księżniczki Roksany, dokonał niemożliwego: poderwał lud. wyparł zwaśnionych barbarzyńców, wykradł

z pustynnego eremu osadzonego tam przed laty sędziwego Taubusa (ostatniego tytularnego króla) i przywrócił mu tron. Potem, podczas wielkiej bitwy w widłach Kamienicy i Białawej, rozgromił hordy Lessów i - zdać się mogło - na długo uniósł w niebo dumny sztandar ze znakiem centaura.

Centaur-samica stał się godłem Amiru przez przypadek. Gdy tworzący tysiąc lat wcześniej Stare

Państwo Rugad zastanawiał się nad herbem, ktoś podsunął mu, aby była nim dziewczyna wylaniająca się z kwiatu. Tak zlecono dworskiemu plastykowi. Ten zapisał sobie zamówienie na skrawku glinianej tabliczki, wziął zaliczkę i poszedł w tango. Na kacu w Śaden sposób nie mógł sobie przypomnieć zamówienia ani odcyfrować zapisku *Dziewczyna z k...* Namalował więc centaurzycę, a Śe król teŚ zapomniał, co zamówił, tak juŚ zostało.

Wróćmy jednak do Renarda i jego kłopotów. Wnuk Romanusa II Śył, niestety, w całkiem innych czasach. Wprawdzie po Gewydach nie zostało Śadnego śladu, a Axaria pogrąŚyła się w chaosie, za to stepowe mocarstwo Lessji wyrosło nad miarę. Teraz ono dyktowało swe warunki. I Renard je spełniał. Owszem, udało mu się zapewnić jako taki porządek po zaburzeniach bezkrólewia, odbudować jeden z dawnych 120 akweduktów, uruchomić gimnazjum i częściowo termy. Na tym jednak lista sukcesów się kończyła. Regent miał wszakŚ nadzieje, Śe z czasem wszystko się ułoŚy. W Lessji obrano nowego chana, a ten zaŚadał jeno podwojenia danin, miast przewidywanego potrojenia.

I wtedy na dodatek pojawił się jeszcze smok.

Uczeni drakoniści zgodnie stwierdzają, Śe smoki małe i średnie przetrwały do późnego średniowiecza, a pewne gatunki denne i jaskiniowe znajduwane były w czasach najnowszych, atoli wielkie gady miały wyginąć ostatecznie podczas Wielkiej Ulewy Kamiennej u progu czasów historycznych. Ten jednak, odgrzebany wśród jurajskich skałek podczas kopania studni, przypominał swych najokropniejszych pradziadów. Zalany błotem (prawdopodobnie po wybuchu pobliskiego wulkanu), spał od tysiącleci jak prawdziwy hibernatus, dopóki nie trąciły go łopaty głębiarzy. Wtedy zaryczał.

A ryk miał straszny. Zrazu niski, potem modulowany przedziwnie sprawiał, Śe pękały kryształy, najodwaŚniejszym drŚały łydki i zsiadało się mleko. No i raz odkopany, nie dał się juŚ zasypać.

Kopacze, którzy usiłowali zrobić jakiś uŚytek ze swych motyk, zostali pochłonięci kilkoma

paszczy,

pretorianie

uciekli,

a

wezwani

eksperci

pogrąŚyli

się

w wielotygodniowej debacie, czy potwór jest rodzajem mięsożernego stegozaura skrzyżowanego z dip-lodokiem, czy mutacyjnie zmienionym tyranozaurum?

W każdym razie bestia gromko obwieszczała swój głód, cichnąc jedynie na widok spadających w jamę baranów, prosiąt i skazańców, których rychło w więzieniach zabrakło.

Na konsultacje z Koczownikami pozostało zbyt mało czasu, a coś zrobić należało.

Zwołał tedy Renard Tajną Radę z udziałem Arcykapłana Multijanusa, Prefekta Pretorianów, Tezauratora, Wyzwoleńca - Szefa Kancelarii oraz Nadliktora, pod którym to skromnym mianem ukrywał się dowódca policji politycznej.

- Radzicie - powiedział tylko i urwał, bo akurat ryk wygłodzonej bestii wstrząsnął całą rezydencją.

Dygnitarze spoglądali na siebie spode łba, nikt nie kwapił się zabierać głosu. Wprawieni w dworskich intrygach, doskonali w sztuce wygryzania i utrzymywania się na z góry upatrzonym stanowisku, w sytuacji bezprecedensowej potracili głowy.

- Może ty, Markusie - Regent kiwnął na Wyzwoleńca, który obok kancelarii kierował całą propagandą państwa.

- Moim zdaniem, należy nie przyjmować istnienia smoka do wiadomości - rzekł

wyrwany do odpowiedzi.

- Skoro wszystkie autorytety naukowe twierdzą, że jest to gatunek wymarły, nie należy psuć słusznych teorii. - Tu przerwał i odsunął kawałek tynku, który wskutek wibracji ukruszył się i upadł obok czary z winem. - Należy wznieść wysoki mur, ustawić na nim bębniarzy i trębaczy, którzy zagłuszą ryk bestii, i dementować, dementować...

- A pokarm dla gada? Więźniowie się już kończą.

- Istnieje moc bezproduktywnych starców, kalek, żebraków, którzy tylko obciążają skarb państwa...

- Mam inny pogląd - przerwał dość szorstko Prefekt Pretorianów. - Kwestia smoka to wyłącznie problem militarny. Toteż należy go zlikwidować w każdy możliwy sposób, nie wahając się użyć: katapult, ognia greckiego i trucizny.

- Protestuję! - zakrzyknął Nadliktor, do którego obowiązków należała również opieka nad ochroną naturalnego środowiska. - Byłby to akt wandalizmu, smoki powinny być objęte jak najtroskliwszą ochroną gatunkową z myślą o przyszłych pokoleniach. Nie zapominaj my

wszak,

że

Zielony

Półsmok

skrzyżowany

z

kołem

zębata

i

kłosa

jest herbem naszej stolicy.

- Popieram kolegę - brzęknął metalicznym podniebieniem Tezaurator. - Już teraz wiadomość o pojawieniu się smoka wzmogła zainteresowanie zagranicznych biur podróży.

Smok może okazać się cudownym środkiem na nasz napięty bilans płatniczy. Propaganda -

tu skłonił się w stronę Wyzwoleńca - nie należy wprawdzie do mych obowiązków, ale pragnę zauważyć, że ten potwór jest niezwykle dogodną okolicznością tłumaczącą nasze przejściowe trudności. Dotąd tylko jako winowajców mieliśmy w latach parzystych suszę, a w nieparzystych

powódź

oraz

szarańczę

w

latach

przestępnych,

teraz

dojdzie

smok.

- Jest w tym trochę racji - zgodził się Renard. Tymczasem oprócz ryku inne hałasy poczęły dolatywać od strony forum.

- Precz ze smokiem! Precz z krwawymi daninami! Chcemy żyć i pracować w pokoju!



Niech Śyje król! Barbarzyńcy go home!

Zrobiło się nieprzyjemnie, a ponieważ wypowiedzieli się już wszyscy świeccy, wzrok Regenta spoczął na Arcykapłanie. Nie cieszył się on sympatią pozostałych prominentów -

zarówno cywile, jak wojskowi zajmowali się konkretnymi i metafizycznymi kontaktami osoby duchownej bardzo im były nie w smak, toteż augur Multijanusa zapraszany był jedynie w sytuacjach naprawdę dramatycznych. Takich jak obecna.

- Jestem za kompromisem - powiedział tak słodko, że wszystkich, mimo iż go znali, uderzyła nieomal kobieca melodia jego głosu. - Sądzę, że wszystkie przedstawione pomysły są doskonałe, wasze dostojności...

- Co?! - Od stołu porwali się i Wyzwoleniec, i Policjant, Skarbnik i Wojskowy.

- Tak, smoka należy nie uznawać, zlikwidować, objąć ochroną, a zarazem jak najowocniej wykorzystać.

- To jakieś kpiny! - wrzasnął Prefekt. - Przecież pomysły sobie przeczą!

- Pozwólcie mu skończyć - upominał Regent. - Dziękuję. Otóż smoka rzeczywiście nie należy uznawać, bo w ten sposób podnosi się jego atrakcyjność. W naszym kraju coś z pieczęcią nielegalności

sprzedaje

się

dużo

lepiej

niż

z

urzędowym

imprimatur.

Ergo zainteresowanie wzrośnie. Po drugie, trzeba go spacyfikować, uspokoić, pozbawić agresywności, bo nie stać nas na długotrwałe utrzymywanie go na diecie białkowo-tłuszczowej. Po trzecie, chronić należy bestię nie tylko dla dobra nauki, ale żeby nikt go nie ukraść...

- Słusznie! - Liktor zatarł ręce.

- A po czwarte, zarobić. Smok goniący (niekoniecznie za niewinnymi dziewczynkami, tych nie

znajdziemy nawet w świątyni Superwesty) doskonale niweluje i utwardza teren, jego jednorazowe odchody starczą na uŜyżnienie hektara. Gdyby dworskim rzemieślnikom udało się stworzyć szklane kule i nakłonić go do nadmuchania ich smoczym ogniem, mielibyśmy stałe oświetlenie na długie, ciemne amirandzkie noce... O turystyce kolega Tezaurator juŜ

wspominał.

- Ale jak mamy go karmić i oduczyć agresywności? - zapytał Renard.

- Trzeba stopniowo zmieniać dietę. Na początek jako ofiary podtykać bestii jednostki karmione wyłącznie strawą roślinną. Potem rzucać połcie mięsa w jarzynach.

Proporcje z czasem będzie można zmieniać, aŜ w końcu całkowicie wyrugować mięso.

Przy okazji podejmuję się głosić mu pogadanki na temat rakotwórczości mięs. Tym sposobem, wierzę, wychowamy sobie smoka jarosza. Łagodnego, nieagresywnego, zaprzyjaźnionego. I tak nam dopomóŜ Multijanus.

Plan augura przeszedł przez akłamację.

JuŜ po pół roku zamiast wściekłych ryków ze stoków Smoczej Góry dobiegać zaczęły pomruki i pogwizdywania (smok lubił najbardziej rozlewne melodie z Południa).

Odetchnęli obywatele, potencjalni więźniowie, Őbracy i dziewice. Tylko specjaliści od propagandy zagranicznej nie zaprzestawali snuć opowieści o krwioŐserczości potwora, ale to naleŜało do ich obowiązków słuŜbowych.

Bestia zaŐ kontentowała się dziennie: sześcioma wozami siana, trzema tonami gałęzi, grządką kapusty i szpinaku, toną marchwi, brukwi i kalarepy z czosnkiem, nie przyjmując nawet skwarek ze zdechłych psów i kotów na omastę.

Taka porcja na przednówku okazała się wielkim obciąŜeniem. Rada znów zaczęła wykazywać nerwowość i snuć refleksje, czy poświęcenie pewnej grupy emerytów i weteranów nie byłoby jednak korzystniejsze... Na szczęście, ktoś wpadł na inny pomysł: mieloną makulaturę.

Choć wydaje się to nieprawdopodobne, smok zasmakował w materiałach piŐmiennych.

Na początek poszły przemówienia nieaktualnych przywódców, egzemplarze zdekompletowane, papiirusy nieczytelne i pergaminy źle wyprawione, potem przyszła kolej na zwoje bezdebitowe i niecenzuralne, poezję, której nikt nie czytał, podręczniki i kryminały. Bestii smakowały jednakowo.

Gorzej, Őe spoŜywana literatura zaczęła wywierać znaczny wpływ na bestię. Coraz chętniej smok dyskutował ze słuŜbą, wypowiadał się na tematy filozoficzne. Po przeŐuciu większej dawki pieśni patriotycznych wyraził ochotę na wyprawę wojenną przeciw Lessji, ale w połowie drogi odbiło mu się pacyfistycznym manuskrypcem i zawrócił.

Nadzorcy z niepokojem i nadzieją czekali na pojawienie się pierwszych zielonek, a literaturę do

konsumpcji zaczęto poddawać starannej selekcji. Unikano publikacji aktualnych i denerwujących, przedkładając sielanki, ewidentne legendy i stare podręczniki do nauki języków obcych. Na wszelki wypadek z mielonych dzieł wrywano najbardziej kontrowersyjne strony lub zamalowywano wyrazy budzące niewłaściwe skojarzenia.

Pozostaje niepojęte, w jaki sposób treści z przemielonych na proszek dzieł docierały do mózgu dinozaura. Jednak docierały. A co się działo, gdy zadano mu *znaczny* porcję materiałów statystycznych, ksiąg gospodarczych i tajnych raportów o stanie państwa?

Smok wykarmiony na patriotycznej poezji i prozie, teraz zasilony problematyką ekonomiczno-socjologiczną, zapragnął naraz stać się uŜyteczny w dziele reformy antyku i ocalenia świata, który rzekomo musi zginąć. Zaczął imać się robót publicznych, grzmieć przeciwko złym obyczajom, napominać ludzi...

Ale nie szło. Antyk amirandzki wyraźnie wyglądał na nierefor-mowalny. Zresztą plebs, zadowolony z dotychczasowego próŜniaczego trybu Ŝycia, pyskował tylko (korzystając ze swobody wypowiedzi, którą smok wymusił na Regencie) na pomysły „starego gada”. Smok, niekontrowersyjny jako krwiopijca, w roli jarosza-reformatora zaczął nagle wszystkim przeszkadzać. ToteŜ jego przeciwnicy posunęli się do wyjątkowo chamskiego numeru. Któregoś wieczoru za karmę posłuŜyła cała półka dotycząca smoczego gatunku i do dinozaura dotarła brutalna prawda, Ŝe reprezentuje ród dawno wymarły, ergo w ogóle go nie ma.

Ten paradoks zaprzętnął go bez reszty. Dał spokój reformom (wszystko wróciło w stare koleiny), a sam myślał, myślał, a im dłuŜej kombinował, tym w głębszą popadał desperację.

Wreszcie zaryczał poŜegnalnie i zdecydował: aby wszystko zgodziło się z wymogami naukowymi, popełni samobójstwo.

W tym celu zeŜarł tonę siarki, popił nie przegotowaną wodą z rzeki Kamienicy... Ale nie pękł.

MoŜe uŜył niewłaściwych proporcji. Mieszanka wzdęła go jeno, uniosła w powietrze jak balon i na zasadzie odrzutowca przepędziła hen, hen poza górami, poza lasami, wymiarami i czasami, aŜ gdzieś do staroŜytnych Chin.

Tam się na nim poznali. Jednak to juŜ całkiem inna historia.

## **CUDÓW NIE MA**

Zanim został świętym, był zagorzałym ateistą. MoŜliwe, Ŝe pozostał nim do końca Ŝycia, a nawet po śmierci. Prawdopodobnie z tego powodu Limeryk - choć nieoficjalnie patron Amirandy, bohater olbrzymiej liczby podań oraz materiał na nieprzebraną ilość relikwii, z których po złoŜeniu razem moŜna by zbudować wieloryba - nie doczekał się oficjalnej kanonizacji. Bo choć świętobliwe Ŝycie prowadził i cudów rozlicznych dokonywał, pozostał

niepoprawnym materialistą dialektycznym.

Być może, w innej epoce zostałby uwieczniony laurem, trafił do Akademii Nauk, Panteonu lub egzekutywy, ale przypadło mu być w szczytowym okresie mroków średniowiecza, gdzie nawet dzieci robiono po ciemku i jedyną iluminacją stanowiły stosy z czarownicami.

Czy zatem ów pochodzący z Irlandii mężczyzna był czarownikiem? Owszem, spotykał się z takimi pomówieniami, raz nawet zaszczycił sobą stos w jakimś prowincjonalnym grodzie, ale bez rezultatów, był niepalny, a jak wykazały próby pławienia, również impregnowany.

Dziś zapewne nawet w Amirandzie okrzyczano by go kosmitą, ale wówczas, w dobie zabobonu i rozpanoszonych guseł...?

- Święty! - mówili o nim nawet koledzy po fachu, którzy dokonywali niemałych wysiłków, aby sami mogli na to miano zasłużyć.

Gwidon Ławnik spędził czterdzieści osiem lat pod ławką Wielkiego Trybunału, Albert Płetwonurek przez jedenaście lat nie opuścił dna królewskiego stawu, oddychając przez jedną rurkę, a odświeżając się przez drugą, Witalis wskoczył do tygła, w którym odlewano wielki dzwon, co nie zaszkodziło odlewowi, w przeciwieństwie do Witalisa, a Eurydyka Rudowłosa zjadła w ciągu pięciu lat, dla umartwienia, własne kończyny. I niestety, nikomu z nich się nie powiodło. Bywało, że anachoreta Eutanazy wchodził na Wielką Górę za Regentsburgiem i wołał rozpaczliwie: - O Panie, dlaczego nie dajesz nam mocy czynienia cudów, a jego - choć nie wierzy - wspierasz?

I ponoć raz rozwarła się opona chmur, a głos miękki, męski, spokojny odpowiedział:

- Bo go lubię!

Nie ma powodu powątpiewać w tę historię, byłby to w końcu niezbyt odosobniony przypadek sympatii bez wzajemności.

Przekazy nie zostawiły dokładnego opisu Limeryka, toteż w sprzedawanych na odpustach obrazkach panują karygodne rozbieżności. Raz jest to wychudły pustelnik w stylu El Greca, kiedy indziej uduchowiony cherubin z ceglastymi wypiekami na policzkach. Były też wypadki dorobienia aureoli do pochodzących z XX-wiecznego przemytu konterfektów Marksa i Engelsa, ale ich kolportaż został zakazany oficjalną bullą regentsburskiego patriarchy.

Moim zdaniem, był to łysiejący jegomość w średnim wieku, o aparycji przeciętnej, schludny i opanowany, bez szczególnych oznak charyzmy czy innych stygmatów. Tak należało wnosić na podstawie szczegółowego raportu, jaki pewnego dnia przedłożył regentowi Rodrygowi jego zausznik do spraw wewnętrznych... Limeryk przebywał wtedy w Amirandzie od trzech lat w swym świeckim eremie, do którego się schronił przed natarczywością ludzką i w obawie przed zgubnymi wpływami popularności.

Jego szczególne predyspozycje ujawniły się jeszcze w rodzinnej Irlandii w wieku dojrzewania.

Kiedy inni chłopcy włązili na drzewa, on lewitował, gdy rówieśnicy skazani byli na uciążliwość podpowiadania, on czytał odpowiedzi z zamkniętych ksiąg, rychło i trochę wbrew sobie posiadał

umiejętność telekinezy, a takŜe objawił niezwykle umiejętności lecznicze.

W owym czasie przez dziurę czasową, którą wytworzył 11 lutego 1988 roku wybuch bomby zamajstrowanej dla IRA przez jednego z naukowców, przedostała się w irlandzką przeszłość pewna liczba ksiąŜek o tematyce laickiej wraz z ich właścicielem, aktywistą-materialistą, a takŜe odrobina sprzętu laboratoryjnego, co doszczętnie pokiełbało w głowie wczesnośredniowiecznemu Śakowi.

Aktywista długo nie poŚył, ale co przekazał młodemu chłopakowi, pozostało.

Najsampierw próbował za pomocą cudów dokonać rewolucji naukowo-technicznej, a gdy się to nie powiodło, zwrócił się ku własnemu wnętrzu, kontemplacji, medytacjom, z których wyrwała go jedynie potrzeba słuŜenia ludziom. ToteŜ dreptał po bezdroŜach ówczesnej Europy, dokonując rzeczy miłych a poŚytecznych, aŜ wreszcie inną dziurą czasoprzestrzenną dostał się do Amirandy.

Osobiście nie był człowiekiem szczęśliwym - czynił wszak cuda, w które nie wierzył.

To znaczy, ciągle usiłował znajdować dla nich jakieś naukowe wytłumaczenie.

Ale jak wytłumaczyć nauczenie krowy mówienia cycerońską łaciną czy powstrzymanie fali powodzi, aby umoŚliwić ratunek gromadce uciekających pacholąt?

Kiedy jednak jego sława w którymś okręgu stawała się zbyt wielka i zbyt niebezpieczna, przeniósł się do innego, aŜ osiadł w pustelni - nazwał ją Imperatywem Kategorycznym - do której wrzosowiska, bagna i skały dopuszczały tylko nielicznych, naprawdę potrzebujących: czy to Śywej wody, czy eliksiru młodości, czy duchowego pocieszenia.

Cudotwórstwo jest bowiem zawodem nie tylko trudnym, ale i ryzykownym. Rzadko, bowiem zdarza się klient z Śądaniami tak umiarkowanymi, jak pozbawienie kołtuna, wygrana na loterii czy zmiana pogody. Przede wszystkim Śądano, aby Limeryk nie czynił dobrze sąsiadowi -

zleceniodawcy albo zgoła mu szkodził. Oczywiście, jako szermierz dobra cudotwórca reagował na takie prośby gwałtownym oburzeniem.

Nigdy za to nie brakowało niezadowolonych. Rodziny wskrzeszonych zmarłych, po pierwszym paroksyzmie radości, zaczynały boleć z powodu utraty spadku, często juŜ

podzielonego, i nieraz prosiły o odwołanie cudu, choć nadaremnie. Co noc nad pustelnią robaczki świętojańskie składały się samoczynnie w neon: „Reklamacji nie uwzględnia się”.

Przeciwno „stoliczkom nakryj się”, którymi obdarzał hojnie nędzarzy, protestowali restauratorzy; próŚno pustelnik tłumaczył, Őe taki stolik nakrywa się, ale wyłącznie według menu baru mlecznego. Narzeczeni, którzy dzięki interwencji Limeryka szczęśliwie dotarli do ołtarza, oczerniali go później w sprawach rozwodowych...

MnoŜyły się teŜ konflikty na styku świąty - administracja. Po pierwsze, eremita nie był

zrzeszony w Międzynarodowej Federacji Magów, Szamanów i Cudotwórców, co zrozumiałe,

ponieważ kuglarstwem gardził. Ale nie należał tak do Samorządnej Unii Na Rzecz Świata Metafizycznego, grupującego stałystów i kandydatów na błogosławionych, a to już należało do poważnych niedopatrzeń.

Nic dziwnego, że nękała go Prefektura Prowincji, domagając się przedłożenia uprawnień cudotwórczych, oraz Poborcjat Podatkowy. Okazało się, że czynienie dobra jest znacznie wyżej opodatkowane niż wyrządzanie zła. Zło bowiem - jako rzecz szkodliwa -

podlega rozmaitym ulgom, choćby ze względu na uciążliwość dla zdrowia. Dobro natomiast obciążane jest domiarem od wzbogacenia, podatkiem od luksusu, nadto daniną dochodową, obrotową i wyrównawczą.

Ledwo wygrzebał się z owych płatności, zresztą cudem, kiedy dopadło go kategoryczne wezwanie na dwór do Regentsburga. Oczywiście, mógł zamienić wysłanych laufrów w wieprze, a samemu przejść po wodzie do ościennego królestwa Alergii, ale Limeryk należał do legalistów. Toteż przebrał się czysto i pospieszył na wezwanie władzy.

Możemy sobie wyobrazić tę scenę. Migotliwe płomyki świec, regent Rodryg, wyniosły, ale zakłopotany, garstka najbardziej zaufanych z zaufanych, a po drugiej stronie - uprzejmy pięćdziesięciolatek o wyglądzie niższego urzędnika. Spotkanie miało wszelkie cechy egzaminu testowego. W ciągu kilkunastu minut Limeryk zgasił wzrokiem wszystkie czterdzieści sześć świec wielkiego Syrandola, przesnął wzrokiem na pół szelazną skrzynię z zamkniętą wewnątrz dworką, a potem złożył i jedną, i drugą, tak że działały jak nowe.

- A zatem - podsumował egzamin Regent - pozostaniesz na moim dworze, Limeryku, z oficjalną pensją, służbą, sekretarzem osobistym. Na wyrost obdarzamy cię orderem mojego imienia i moją łaską.

W pierwszej chwili cudotwórca zamierzał odmówić. Ale po chwili zastanowił się: a dlaczego by nie?

Nie ma co ukrywać, ciążył mu status niezależnego intelektualisty wyklinanego przez aktualne autorytety i prześladowanego przez drobnych urzędników. Pomyślał, że idąc ręką w rękę ze światłym monarchą, mógłby przysporzyć znacznie więcej dobra niż działając w pojedynkę, że z wyżyn stopni tronowych częściej będzie mógł zapobiegać złu.

A oficjalne uznanie? Cóż, był tylko człowiekiem - pańska łaska, order... Nieważne, że wyższe odznaczenia nosili królewscy koniuszowie i szatni... W końcu każdy lubi być ceniony, chodzić w atłasach i mieszkać w dobrze opalanych wnętrzach, w których nie ciągnie od polepy jak w eremie, a smród tłumią importowane perfumy.

Przez trzydzieści lat służył ludziom, najczęściej anonimowo, rzadko spotykał się z uznaniem i wdzięcznością. Teraz to wszystko miało się zmienić.

W końcu, jak długo można być partyzantem? Należał mu się raczej status kombatanta. Niech teraz inni idą w teren, młodzi, niedoświadczeni jeszcze cudotwórcy, niech narażają się, odmrażają, biorą

wciry i giną zapoznani. On swoje odsłuŝył, frycowe tysiãkroć zapłacił.

Wyprostował się tedy i czując, jak go otacza aura powaŝania i splendoru, powiódł wzrokiem po sali - wszędzie schylone głowy dworaków, tu i ówdzie golone tonsury prałatów.

Wpadając w pewien rodzaj błogostanu, rzekł:

- Niech będzie moja strata. Akceptuję waszą propozycję, Najjaśniejszy Panie.

Tak ostał się Limeryk na dworze. Zresztą, ze względu na polecenia wydane wcześniej straŝom nie miał większego wyboru. Trudno mówić, ŝe nie spędzał swego czasu poŝytecznie.

Rano przyjmował lud w dworskiej poliklinice, w południe zabawiał Regenta sztuką dla sztuki, później w kuchni przygotowywał uczyty z niczego, wieczorami zaś, gdy uczyty zamieniały się w orgie (czego - choć niewierzący, ale praktykujący -akceptować nie mógł), oddalał się w zacisze swych apartamentów, by pracować nad wynalazkami tak poŝytecznymi, jak trutka na karaluchy, pudło do przenoszenia obrazów na odległość, czy przeciskacz przez ściany ceglane z zaprawą wapienną.

Minęło parę lat. Limeryk nadal znajdował się w dobrej kondycji, choć tak zaprzątneła go praca, ŝe praktycznie przestał zwracać uwagę na otoczenie. Nawet gdy obnoszono go po mieście w czasie dorocznych Mirakulalii, obojętny na wiwaty tłumów mruczał do siebie jakieś formuły, typu:  $E = mc^2$  i inne bardziej skomplikowane. Jego sekretarz odczytywał mu co rano pisma dziękczynne z kraju i ze świata oraz dane statystyczne o zbawiennych skutkach jego cudów.

Aŝ pewnego dnia, kiedy zajmował się skomplikowanym zleceniem, jakim było pozbawienie ludzi ŝycia w momencie, gdy pomyślą któreś ze słów zakazanych (Regent twierdził, ŝe jest to problem czysto teoretyczny, względy humanitarne nie dopuściłyby przenigdy do wdroŝenia go w praktyce!), na blat jego sekretarzyka wgramolił się krasnoludek.

Limeryk zauwaŝył go, ale zignorował, w istnienie krasnoludków bowiem równieŝ nie wierzył, tak ŝe karzełek musiał dopiero ugryźć go w paluch, ŝeby myŝliciel zareagował.

- Co robisz, Homunculusie?! - zakrzyknął.

- Proszę mnie nie obraŝać - najeŝył się malec - jestem krasnoludkiem naturalnym i w ŝadne naukowe pochodzenie wrobić się nie dam.

- Krasnoludki nie istnieją i wystarczy przeczytać choćby Cuviera, aby przekonać się, ŝe niemoŝliwe jest istnienie istoty człowiekopodobnej, inteligentnej o tak nikczemnych gabarytach.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o mnie, tylko o tobie – warknął ten, którego nie powinno być. - Chcę ci otworzyć oczy.

- Jeszcze ich nie zamknąłem - odciął się lakonicznie Limeryk.

- Ale niczego nie widzisz. My, krasnoludki postępowe, jesteśmy tym stanem śmiertelnie zafrasowane.



Czy zastanawiałeś się, komu właściwie słuŹysz?

- Ludziom...

- Ludziom Regenta, mówiąc ściŹle. A wiesz, jakie jest wykorzystanie twoich wynalazków?

- No, w zasadzie...

- Przenikator wykorzystują kapusie w kazamatach inkwizycji. Czapka niewidka słuŹy szpiclom, kije samobije wprowadzono masowo w szkolnictwie, siedmiomilowe buty poszły dla armii pacyfikującej górskie wioski. Na szklanej górze jest więzienie stanu, sztuczne złoto niszczy pieniądz w krajach oŹciennych, a eliksir prawdy uŹywany jest przy torturach...

- NiemoŹliwe!

- Idźmy

dalej.

Twoi

pacjenci!

Ten

Źoczący

się

w

przychodni

przaŹny

lud.

Nie

wiesz,

Źe

to

wyŹecznie

przebrani

zausznicy,

dworacy

i

ich

rodziny

oraz bardzo nieliczna garstka słono opłacających się obywateli?

- Moje usługi świadczę gratis.

- Ty może tak, ale nie służba wprowadzająca. Zresztą, nie koniec na tym. Twoje wypowiedzi i zdania powyrywane z kontekstu służą uzasadnianiu najbardziej głupich posunięć, bywają parawanem korupcji i zbrodni... Czy ty tego wszystkiego nie widzisz, czy tylko nie chcesz zauważyć?

Cudotwórca ukrył twarz w dłoniach i milczał. Nagle stwierdzenia karzełka potwierdziły wszystkie jego własne wątpliwości, różne drobne, dotąd nie sumowane spostrzeżenia. A karzeł

ciągnął:

- Oczywiście, otrzymujesz nagrody, jesteś chwalony, łaskotany pochlebstwami.

Ogłoszą cię nawet świętym...

- Co?! - Limeryk poderwał się na równe nogi. - Ja? Nie wierzę!

- Chodź tedy za mną - poradził krasnal. - Świątynia jest już prawie ukończona.

W owych czasach wzniesiony na wapiennym wzgórzu kasztel nie był jeszcze tak rozległym kompleksem, w jaki zmieniły go następne wieki. Stał monarszy donżon i świątynia, przeważały jednak zabudowania drewniane, fortyfikacje drewnoziemne, skomponowane dość chaotycznie, tak że stajnie i kurniki mieszały się z koszarami pretorianów, dormitoriami paziów, czy bungalowami fraucymeru. Biblioteka, obok której urzędował cudotwórca, mieściła się za kuchniami w północnym skrzydle kompleksu. Postępując za karzełkiem, Limeryk skierował się ku południowi, gdzie wzgórze gwałtownym uskokiem opada ku rzece lśniącej teraz w księżycowej poświacie srebrzystą łuską.

Między dwoma wielkimi głazami krasnoludek wskazał ciemnawy otwór, po czym zapalił

przyniesione łuczywo. Schodami wykutymi w wapiennej skale zeszli kilkadziesiąt metrów i ich oczom ukazała się grota poszerzona ludzkimi rękami, przechodząca w obszerną świątynię, której fasada, po odkuciu zewnętrznej warstwy skały, miała się otwierać ku rzece.

- Sancti Limeri templum - powiedział pobożnie kurdupelek.

W słabym świetle kaganka wszystko wydawało się jeszcze większe, choć i tak było ogromne.

Mozaiki w prezbiterium ukazujące dwanaście głównych cudów, freski pożłociste wewnątrz kopuły, przedstawiające Limeryka na lunchu u Trójcy Świętej, wreszcie w środku transeptu ogromny chryzelefantynowy posąg nadnaturalnych rozmiarów. Święty in spe załamał ręce.

- Po co oni... po co oni to wszystko robią? Jestem człowiekiem nauki, cudów nie ma, są najwyśzej zjawiska niewytłumaczalne na aktualnym poziomie wiedzy, na przykład... twoja miniaturyzacja. Kiedy oni zamierzają to otworzyć?

- Po twojej męczeńskiej śmierci - bez ogródek stwierdził mały cicerone.

- Po mojej... jak oni to sobie wyobrażają?

- Obejrzyj tryptyk w bocznej nawie... Jest tam całe misterium martyrologiczne.

- Ale ja nie chcę, ja się nie dam! Potrafię się obronić!

- Nie za bardzo. Według zaakceptowanego planu, poniesiesz śmierć z rąk oszalałych z występku bachantek królewskiego burdelu, gdy udasz się tam nauczać. Kobiet przecieś nie zamienisz w kamienie ani w Saby! Regent wie, Śeś dŚentelmen... A moŚe chcesz zobaczyć pracownię rzeźbiarską?

W bocznej jaskini leżały hałdy gliny, a obok stały już setki, a może tysiące maleńkich i większych figurek Limeryka z nakrytą głową lub czapką w ręku. Jedne schły, inne czekały na wypalenie, jeszcze inne podlegały złotniczej obróbce...

- O, w mordę! - zaklął zgoła po świecku prototyp. - Niedoczekanie! Ja im pokaśę! Ja im dam świętego!

- Co zrobisz? - zainteresował się krasnal.

- Zniknę, tfu, co za głupia terminologia! Zdematerializuję się, na zawsze. Teraz? Teraz!

- Propagandziści Regenta uznają to za kolejny cud.

- Napiszę list, w którym wszystko wyjaśnię.

- A kto go opublikuje?

Limeryk zafrasował się, ale już po chwili, pogmerawszy w fałdach swej powłóczystej szaty, wyciągnął drobinę czegoś, co wyglądało na srebrzyście pomalowane ziarenko owsa.

- Oto jest sposób - rzekł. - Dostałem to ostatnio od pewnego pustelnika z Japonii.

- Phi, jeden egzemplarz nie czyni wiosny.

- Co za problem zmultiplikować.

- Cudowne rozmnoŜenie, słyŝałem o tym.

- Wiesz, ŝe cudów nie ma - skarcił go Limeryk - jest tylko naukowe powielanie. - Tu strzelił palcami i w kącie jaskini pojawiła się maszyna, na oko skrzyŝowanie linotypu z kserografem. – Nauka i technika, ot co!

Zawarczało urządzenie powielające.

Limeryk zniknął pół godziny potem. Pozostały po nim: odrobina wilgoci i sznur mniszy (cingulum), którego złota nitka uniemoŜliwiała dematerializację. Krasnoludek teŜ długo nie zabawił w ŝwiątyni. Jego zadanie było wykonane. Błogosławiona Patrycja, która od dawna miała chrapkę na etat zajmowany przez cudotwórcę, na pewno będzie zadowolona z tej roboty.

- Rozpracowałem go psychologicznie!

Cudowne zniknięcie spowodowało, o dziwo, umocnienie kultu cudotwórcy. Tym silniejszego, ŝe krzewiącego się konspiracyjnie ze względu na zdecydowany sprzeciw ówczesnej hierarchii.

Stracił jedynie przemysł pamiątkarski. KaŜda z figurek w momencie okadzania bądź całowania zaczynała powtarzać piskliwe (japoński mikromagnetofonik nie był jeszcze najlepiej skonstruowany): Cudów nie ma, cudów nie ma, cudów nie ma...

## **ZARAZA**

Jak na póŝne ŝredniowiecze kraj był wyjątkowo malowniczy i ciepły. Z czerwienią wulkanicznej gleby miło kontrastowały jasne mury ŝwiątyni, zielone kępy cyprysów i niebo. Tu i ówdzie widać było większe skupiska ludzkie, porozrzucane chaty wiejskie i mrowiska miasteczek z jednakowo ciemnym zaludnieniem oraz drogi, wszystkie prowadzące do zamku Regenta, twierdzy, która na szarej skale przypominała nieruchomego górskiego orła.

Twierdza z zewnątrz surowa, najeŝona blankami i wieŝyczkami, w których lubowali się poprzedni dynaŝci, wewnątrz przypominała rajski ogród, a centralny donŜon był lekką, aŝurową konstrukcją, ŝywcem przeniesioną z ogrodu rozkoszy. Regent Rene, lubiący zwać się Władcą o Ludzkim Obliczu, z dawna zaniechał ponurych praktyk, w jakich specjalizowali się jego poprzednicy; osobiŝcie nie wyłupił ani jednego oka, sale tortur przerobił na stołówki dla gwardii, a sam, najczęściej incognito, podróŜował był do Italii czy do Burgundii, aby tam chłonać pierwsze wiewy nadchodzącego renesansu.

Nie oznacza to wszelako, aby w kraju panoszyło się bezprawie. Na wszystkim spoczywał czujny wzrok Wielkiego Inkwizytora, który wespół z jurysdykcją ŝwiecką, czyli samorządem miejskim pochodzącym z mianowania, troszczył się, aby ludowi ŝyło się dostatnio, a przynajmniej bogobojnie.

Tego dnia, jak w kaŜdą sobotę, Jego Eminencja zaszył się z Regentem w pałacowej altanie i przystąpił do przedkładania szczegółowych raportów tygodniowych.

Wielki Inkwizytor nie przypominał w niczym swych kolegów po fachu: Torquemady czy Savonaroli, strój dominikanina skrywał nieduśego, puciołowatego człowieczka o czerstwym obliczu i tylko niebieskie, zimne oczy zdradzały jego nieugięty charakter. Tych oczu bał się sam Regent, siwy starszy pan o wyglądzie zamośnego kupca i wypielęgowanych dłoniach kurtyzany.

Odłóżyli kolejną teczkę zatytułowaną *Spalennictwo czarownic*; wykresy statystyczne wskazywały wzrost o czternaście koma trzy procent w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. Sięgnęli po rejestr kacerzy.

- Mamy zarejestrowanych dwunastu - powiedział Inkwizytor - dwunastu pobierających regularny żołd za swe odstępstwo i co pewien czas szerzących umiarkowane bluźnierstwa przeciwko Naszej Wierze i Warn, Najjaśniejszy Panie.

- A czy istnieją mośe jacyś nie zarejestrowani? - czujnie zapytał Regent.

Zakonnik roześmiał się, ale był to śmiech zimny, z gatunku tych, które wywołują ciarki po plecach. Władca nie kontynuował tematu - rzeczywiście pytanie było nie na miejscu. Jego Eminencja znał przecieś kaśdą myśl w tym państwie, zanim się jeszcze wykluła, ba, bywał nieraz jej akuszerem, aby potem odsłonić ją, zdemaskować i ustawić parę stosów albo wyprawić delikwenta w długą podróż zagraniczną, z której nie było powrotu.

Odłóżyli indeksy, a Regent zadał jeszcze kilka stereotypowych pytań:

- A kmiecie nadal są szczęśliwi?

- Szczęśliwi.

- A wyrobnicy?

- Promienni jako oblicze Waszej Miłości. Wzdłuś i wszecz kraju słyhać jeno odgłosy pracy i modłów: „Niech będą błogosławione dni panowania Jego Wysokości...”

Monarcha uśmiechnął się zadowolony. Właściwie... czy nie nadszedł juś czas, aby skończyć z parowiekową fikcją i ogłosić się królem? Tytuł Regenta brzmiał wprawdzie godnie i dostojnie, ale na zjazdach koronowanych głów wyglądał jakoś tak niepowaśnie, blado. Tam Cesarz Świętej Ligii Erbańskiej, Król Axarii, Wielki Książę Rurytanii, a on - Regent jeno...

Oczywiście status wiecznego zastępcy był wygodny, w razie czego wszystko mośna było zwalić na nie istniejącego króla i uświęconą tradycję. Przy czym początkowo istnieli jeszcze równoległe królowie, ale nawet nie zauwaśono, kiedy wymarli.

Jakiś czas władca gładził łeb swego ulubionego charta, półuśpiony monotonnym monologiem dominikanina, monologiem, który w owo leniwe popołudnie przypominał

bzykanie muchy złapanej pułapką szyby, kiedy nagle mucha ta zmieniła się w osę...

- Oczywiście, Najjaśniejszy Pan słyhał o tym incydencie w dzielnicy Kramów...?

- Słyszałem - odrzekł Rene nie unosząc powiek. Inkwizytor zaniepokoił się. Zawsze obawiał się, że władca może mieć jakiś niezależny system informacyjny, którego dotąd nie rozgryzły jego służby. A teraz? Czyśby potwierdzenie? „A może tylko blefuje? - pocieszał się w duchu. - Nałożyliśmy przeciwko ściśle embargo na tę plotkę”.

- No więc, co z tym incydem? - Suveren uniósł się z fotela. Wściekła radość zagrała w szeptach zakonnika. Nic nie wie! Rozwinął kilka pergaminów pokrytych pośpiesznymi notatkami.

- Informacja nadesłana przez starszego porządkowego z dzielnicy Kramów - odczytał tytuł.

- Wygląda jak ciekawostka, ino... mam pewne obawy.

\* \* \*

Wezwany przez młodszego strażniczego rejonu DK 23 przybyłem na miejsce incydem, którym był taki, że około godziny po niesporach niejaki Kacper, kupiec powracający z targu do domu, popadł w rękoczyn z małżonką swoją Magdaleną, jako że zapytany przez wyżej wymienioną o utarg dzienny zeznał, iż że zbójce podli podle bramy obłupili go ze szczętem.

Naonczas Magdalena pociągnęła wyżej wymienionego Kacpra do światła, pojrzała mu na twarz i rzekła, cytując:

- Ach ty kłamco, pędziwetrze. Widzę, widzę jak na dłoni: PRZEGRAŁEM SZTUK

SREBRA DZIESIĘĆ W KOŚCI, PRZEPIŁEM TRZY, A NA DZIEWUCHE

WYDAŁEM DWIE...

Tu łzą się zalała, zaś Kacper stanął jak wryt, albowiem prawdę mówiła. I dziwował się, nie mogąc pojąć, jak go przejrzała, a ona we łzach prawiała, iż że z twarzy mu czyta, a gdy przybliżył się do niej i tak się pojrzał na jej jagody jako i czoło, ujrzał napisane: NIE JESTEM

OD CIĘ GORSZA, OD POŁUDNIA AŻE PO ANIOŁ PAŃSKI GRZESZYŁAM

Z CZELADNIKIEM KRYSTKIEM W ALKOWIE...

Tedy chłop nie zdzierzył i grzmotnął babę o skrzynię, na co ona... etc... Obdukcję simplitencjarną przeprowadził cyrulik przysięgły i on też obmywszy twarze małżonków ujrzał

na nich wyrzuty dziwne, ni to opryszczce, ni ospie podobne, które składały się na wyrazy drobnem gotykiem pisane, jawiące myśli najskrytsze, słowa nie wymówione, które powtórzyć żołnierzowi custodii wstyd i sromota.

Owe słowa po krótkim czasie zniknęły, ustępując miejsca nowym, równie bezbożnym, plugawym, dotąd chyba na samym dnie duszy skrytym. Gorzej, że gdy cyrulik obdukcję zakończył i raportum jał

mi składać, i na jego twarz, nie wiedzieć czemu, teŝ szkaradzieństwo wypełzło. Duŝy, gruby napis: PSIA SŁUŝBA.

\* \* \*

Nikt nie wie, jak i skąd wyległa się ta zaraza . Moŝe przywlekli ją cudzoziemscy marynarze, moŝe wykuła się na przednówku w lepiankach pospólstwa, moŝe wyrosła z zakurzonych manuskryptów studiowanych przez wiecznie niesfornych Ŝaków. Atoli w ciągu dwóch pierwszych dni objawiła się w dwudziestu róŝnych punktach królestwa, ni to wiatrem roznoszona, ni wodą, ni ludzką złoŝliwością.

Co dzień słuŝdy inkwizytorscy wieŝci o nowych, stale rozszerzających się ogniskach epidemii przynosili do zamku.

Jednakoŝ cały aparat tak ŝwiecki, jak duchowny pozostawał bezradny. Zdało się, Ŝe sam szatan zstąpił na tę ziemię ŝczęsną dotąd i zasobną. Dwa razy dziennie Wielki Inkwizytor spotykał się z coraz bardziej zafrasowanym Regentem.

- Dlaczego nic się nie robi?! - krzyczał piskliwie suweren.

- Robimy

wszystko,

co

w

ludzkiej

mocy.

Kazałem

bić

w

dzwony,

palić kadzidła, odprawiać egzorcyzmy i wzmóc czujność.

- Słusznie, acz późno... A poza tym donoszą mi, Ŝe wśród onych wyrzutów pojawiają się i zdania ogólniejszej materii, kłamliwe oszczerstwa przeciwko monarchii i inkwizycji...

Eminencja tylko spuŝcił głowę, a Regent tłukł jabłkiem złocistym po oparciu sofy.



- ToŜ to naleŜało natychmiast zarządzić kwarantannę i szczepienia ochronne!

- Zarządziłem, panie, ale jakŜe moŜna powstrzymać wody podziemne, które nie wiadomo gdzie i jak wytryskują na powierzchnię. CzyŜ stado nawet najlepszych wielbłądów moŜe pohamować wędrującą pustynię?

- Budujcie tamy, separujcie zakaŜonych, sprowadźcie zaklinaczy lub czarownice, a przede wszystkim znajdźcie wytłumaczenie... Co ja was zresztą będę uczył.

I wybiegł trzaskając drzwiami i pozostawił Inkwizytora w sytuacji, w jakiej nigdy nie stał nikt z jego wybitnych poprzedników. JuŜ przecieŜ święty Limeryk uczył: *Azali gałązka oliwna rzucona na wezbrane fale uciszy sztorm? Raczej rzadko*. Poza tym w kraju nie było akurat nikogo na miarę świętego Limeryka. Przedsięwzięte środki ostroŜności nie okiełznały zarazy.

W trzy dni padła na księstwo stugębna, wstrętna, niespoŜyta. Szarym świtem widywano mleczarzy, ludzi znanych z bezsenności i łagodnego charakteru, których czoła płonęły napisami: CHRZANIĘ MLEKO I ŚMIETANĘ. TakoŜ mimo zapuszczonego zarostu, na policzki strażników Dolnej Bramy wypełzły jadowite inwektywy: NALEŚY NAM SIĘ

WYŚSZY ŚOŁD I LEPSZE TRAKTOWANIE! Nawet niewinne dzieci spieszące do szkółki katedralnej okryły się wyrażeniami: MAMY W NOSIE PLUSQUAM PERFEC-TUM.

Najgorsze było to, Ŝe kaŜdy głupi wiedział, iŜ wszystkie te napisy nie są dziełem przypadku, ale odzwierciedlają najskrytsze myśli zainfekowanych.

Tej nocy Jego Eminencja spał niedobrze. Śniły mu się koszmary, a szczególnie jeden obraz powracał uporczywie - siedmiu chudych plebejuszy paliło na stosie siedmiu tłustych inkwizytorów...

Poranek i brat Barnaba, który zwykł przyodziewać Inkwizytora wienne szaty, zastali go zziębniętego, z półprzytomnym spojrzeniem. Opanował się jednak natychmiast, pozdrowił braciszka słuŜebnego, pochwalił piękny poranek i zainteresował się (bardziej z ciekawości niŜ z obowiązku słuŜbowego) gałganem, którym obwiązana była prawie cała twarz zakonnika.

- A cóŜ ci się stało, bracie, zęby pewnie?

- Wybaczcie, Ojczy, ogólnie mocno niezdrów... bolesny obrzęk.

- PokaŜcie więc, obejrzę, a moŜe i jaką driakiew znajdę.

Ale Barnaba nie miał ochoty niczego pokazywać, cofnął się o krok i podsunął Inkwizytorowi sandały.

- Natychmiast zdejmijcie tę szmatę! - wycedził dominikanin.

- Kiedy boleć będzie, a i widok ekstraordinaryjnie paskudny - certował się słuŜebnik.

- Rozkazuję, ściągaj!

Barnaba na klęczki padł, począł swego zwierzchnika pod nogi podejmować, płakać i skamleć:

- Wybacz, Ojczy, ja nieszczęsny, ja potępiony! JuŜ i krzyŜem leŜalem, i biczowałem się, ale wszystko na nic! Na nic!

Jego Eminencja osobiście zerwał szmaty i ukazało się lico zadrukowane równo i składnie jak Biblia Gutenberga, jeno treść napisów była inna i mogła wstrząsnąć kaŜdym: INKWIZYCJA RÓWNA SIĘ ZBRODNI!, REGENT JEST BEZPRAWNYM SATRAPĄ!, MÓJ PAN TO

KARIEROWICZ I SZUJA...

- Czy to o mnie? - zapytał sucho dostojnik i czytał dalej: - NIE MA BOGA, ANI SZATANA, NIECH ŐYJE LUD!... - tu cicho roześmiał się. - Tylko tyle?... Tak niewiele kryłeś w swym sercu przede mną przez te wszystkie lata?

- Darujcie, panie. Moja gęba bluźni. Bluźni i mówi nieprawdę. To przez tę zarazę.

Inkwizytor przez moment milczał. Potem uczynił znak krzyŜa i rzekł bardzo powoli:

- Zawiń ten gałgan. Bo jeszcze ktoś obaczy. Zawiodłem się na tobie, synu.

Wiedziałem, wielu jest podszytych grzechem... Ale Őeby mój najbliŜszy sługa, mój rękodajny, którego chciałem uczynić mym sekretarzem, a potem... CięŜko nas wszystkich Pan doświadcza.

Ale cieszymy się. Cieszymy! Epidemia przyszła w samą porę. Wreszcie będziemy mogli odróŜniać prawdziwych wrogów państwa i małych, załganych łajdaków strojących się w piórka lojalności.

Wypalimy ten trąd Őelazem i Őwiętym ogniem. Oddzielimy ziarno od plew.

- Ale, wielebny...

- Precz! Sam wydałeś wyrok na siebie. Udajesz skruczę. Nie ma jej na twych bezecnych licach. Wezwij braci gwardian...

- Błagam cię, Ojczy, nie czyn tego, bo będzie nieszczęście. Czy wiesz, Őe dziś w refektarzu wszyscy mieli zabandaŜowane twarze?...

- Tym gorzej dla wszystkich!

Wstał z łoŜa i ruszył ku drzwiom. Barnaba włókł się za nim po ziemi, łkając i czepiając się szaty.

- KaŜ mnie stracić, Ojczy, ale nie wzywaj straŜy! ZałóŜ pierwszej kaptur lub pojrzyj najprzód w zwierciadło.

Inkwizytor zatrzymał się i ostro skręcił w miejscu. Przez chwilę mierzył pogardliwie pędraka u swych stóp, a potem podszedł do wielkiego weneckiego lustra obok umywalki. Trwała chwila ciszy, tak długa, Őe słychać było, jak myszy biegają w podziemiach konwentu.

- Czy to Śart? - zabrzmiały po chwili ciche słowa.

- Epidemia nie wybiera.

- Ale co znaczą owe bezsensowne litery?

- Lustro odbija odwrotnie, Ojczy, ale jeśli pozwolisz, to ci przeczytam.

Dominikanin wykonał przyzwalający gest, więc młodzieniec zaczął czytać.

- TEN MAŁY MA SŁUSZNOŚĆ. REGENT TO KREATURA, A JA SAM...

I ugięły się nogi pod Eminencją, i runął na płyty kamiennej posadzki. Do Barnaby dobiegł

z głuszony szept:

- Podaj włosiennicę i dyscyplinę!

- To nic nie pomoŜe - mówiły oczy Barnaby, w których, w miejsce pierwotnego strachu, pojawiły się iskielki mściwej satysfakcji.

- Jestem Hiobem! Jestem nieszczęsnym Hiobem! - Szept tłuł się o kamienne płyty.

- I jak ja stanę przed obliczem mego Najjaśniejszego Pana?

I tu wśluhał się w ciszę, jakby oczekiwał głosu z góry lub z serca, ale dobiegły go tylko słowa Barnaby:

- W kapturze!

\* \* \*

Obity amarantem powóz Wielkiego Inkwizytora toczył się tego dnia szybciej niż zwykle.

Firanki były opuszczone, a woźnica ledwie wystawał z podniesionego kołnierza. Miasto robiło wrażenie opustoszałego. Tylko pod arkadami przemykały załęcznione mieszczki w woalkach lub kryli się zamaskowani bourgeois. Jeno na placu Solnym, za mostem, zgromadziła się grupka pospółstwa z głowami opatulonymi, zawoalowanymi, zakapturzonymi. Długo szukałbyś jednej czystej twarzy.

Do uszu Inkwizytora, który chcąc dostać się na zamek musiał tamtędy przejechać, doleciały okrzyki samozwańczych mówców:

- Słuchajcie, dobrzy ludzie! Bliska jest chwila zmiany! Dziś jeszcze się boimy, ale już jutro zdejmiem zasłony i pójdziem świecić twarzami pod zamek Regenta!

- Albo i na zamek!!!

Głosy ucichły, dostrzegli karetę. Tłum rozstał się. Z przyzwyczajenia. Tylko śmiech kilku osób

dogonił powóz wjeżdżający już w ulicę Stromą.

- Ciekawe, czemu zasłony puszczane?

Wóznica świsnął batem, a konie, mimo że pod górę, pomknęły chyżo jak rumaki Apokalipsy.

Jego Eminencja nie wchodził nigdy do pałacu głównym wejściem. Było ono zastrzeżone dla wasali lub gości zagranicznych. Poza tym z zasady nie lubił głównych wejść. Zaraz za bramą skręcał w tajny korytarzyk, którym - unikając oczu ciekawych - docierał aż do luksusowego donżonu.

Tego dnia jednak strażnicy w przyłbicach skrzyżowali przed nim halabardy już w pokoju recepcyjnym.

- Jego Wysokość nikogo nie przyjmuje.

Eminencja wychylił nos z obszernego kaptura i burknął:

- Nie widzicie, durnie, z kim macie do czynienia?!

- Wykonujemy rozkaz. Najjaśniejszy Pan poważnie zachorował.

- Zachorował! - krzyknął dominikanin. - Tym spieszniej ja, jego spowiednik i powiernik, muszę gnać do jego łóżka z duchową pociechą i moralnym wsparciem...

Przepuście!

- Wykluczone!!!

- W takim razie zawołam waszego komendanta i on każe wam zdjąć przyłbice.

- Uczynimy to z rozkoszą, kiedy tylko wasza wielbność uchyli swego kaptura.

Rozmowa trwałaby zapewne do dnia Sądu Ostatecznego, gdyby nie to, że zdenerwowany inkwizytor wydobył z zanadru dwa mile pobrzękujące mieszki i rzucił je strażnikom pod nogi.

Halabardy rozstąpiły się jak trzciny przed dziobem łodzi.

Donżon wyglądał równie odludnie jak reszta zamku, jedynie z pierwszego piętra dolatywały energiczne odgłosy kucia. Ich epicentrum znajdowało się w sali, w której Renę zwykł

był pozować malarzom do obrazów batalistycznych, jakie rozwieszano potem po zamkach i kościołach, a w licznych kopiach również po szkołach, ratuszach i zajazdach. Władca uważał się za bardzo obrazogenicznego. Atoli teraz wszystko wskazywało na to, że wybiera się na wojnę. Stał tyłem w swej szarej tunice podróżnej, a olbrzymi, barczysty kudłacz walił młotem w coś, co przypominało przyłbicę.

Bezglębny chichot przeleciał przez duszę Inkwizytora. Regent przywitał się nie odwracając głowy. Stwierdził ponadto, że przy kowalu mogą rozmawiać spokojnie, jest to bowiem człowiek niepiśmienny i tępy jak młot, którym się posługuje. Jego Eminencja przyjął informacje do zatwierdzającej wiadomości, nie prosił też władcy, aby wykonał w tył zwrot.

- Czy masz chociaż jedną dobrą wiadomość? - Głos Regenta zabrzmiał miękko, niemal z lękiem.

-

Nie mam nic. Nie mam tajnej policji, zauszników, informatorów! Wskutek epidemii na twarzy zbira: SIEPACZ, na twarzy donosiciela: UWAGA, KAPUJE. Koniec! Nie mam z kim pracować. Ale nie to jest najgorsze. Dziś jeszcze wszyscy wstydzą się swych twarzy, kryją je... Ale kto przewidzi, co stanie się jutro?... - Tu głos Eminencji załamał się i zadrgała w nim nuta bezradności. - Wiemy, co się stało, ale nie pojmuję, dlaczego?

Regent napiął srebrzystą przyłbicę i odwrócił się. Głos jego nabrał zdecydowanych tonów:

- Postanowiłem. Dziś jeszcze opuszczam zamek. Dokonałem transferu kapitałów, mam zapewniony azyl w Erbanii... Jutro może być za późno. Nie uwierzysz, Ojczy, ale na twarzy własnego pretora przeczytałem rano: PRECZ Z TYRANEM, na twarzy kamerdynera KOMU JA SŁUŚE?, a na twarzach fraucymeru... IMPOTENT.

Władca nawet się nie zdziwił. Jego defekt znany był od dawna, chociaż specjalna komórka fabrykowała kawały o niesłychanej wprost jurności monarchy. Mówił więc dalej:

- W powietrzu już czuje się Republikę! I nic nie jest temu w stanie przeszkodzić, zapobiec.

Czy się mylę?

Wielki Inkwizytor nie odpowiadał. Całą swą uwagę skupił na twarzy kowala, zajętego zbieraniem narzędzi i zamiataniem podłogi. Twarz ta pospolita i grubiańska miała jedną niezwykłą w tych dniach cechę. Była czysta. Zauważył to i sam suweren, idąc za wzrokiem dominikanina. Czyby kowal był zarazodporny?

- A może jest wierny? - zastanawiali się równocześnie, ale już po chwili zrozumieli bezsens tego stanowiska.

Człowiek wierny (gdyby taki się znalazł) musiałby mieć na twarzy napis: JESTEM WIERNY, a nie świecić czystą gębą...

- Powiedźcie, kowalu - wycedził Inkwizytor - nic was nie swędzi?

- A nic!

- A nie dziwi cię, że wszyscy mają twarze... no, takie pozapisywane, a twoja nie... i jest taka... no, in blanco?

- Nie.

- Mówiłem, tępy a poczciwy - zauważył Regent.

Tu nagle coś dotarło do kowala, bo czochrając się po włosach zagadał nie pytany:

- Przecie więcej ludzi ma nie zapisane gęby. U mnie w chałupie wszyscy: Sona, dzieciśka.

Wzruszył się władca wiernością kowala i już zamierzał go uściskać, chociaś w przyłbicy szło mu to jakoś nieskładnie, kiedy jażn Inkwizytora przeszła genialna myśl. Wszystko było jasne jak słońce. Odsunął kowala i podszedł do Regenta.

- Powiedzcie, Najjaśniejszy Panie, jakie są objawy epidemii?

- No, napisy...

- Właśnie, napisy! A zatem zaraza nie może być zaraźliwa dla niepiśmiennych.

\* \* \*

- Wieczna niech będzie chwała świętego Limeryka, patrona Księstwa! Niewątpliwie to on sam oświecił wąpiące dusze i uratował państwo. Jeszcze raz znalazły się świeże soki, które uniosły wysoko w górę konary monarchii. Poza miejskimi ośrodkami analfabeci stanowili przecieś dziewięćdziesiąt procent obywateli. To właśnie oni pod władzą Najjaśniejszego Regenta stawili czoło *zarazie*. Oni pod sztandarami Świętej Inkwizycji spalili wszystkie księgi i szkoły, zdrapali inskrypcje z murów i nagrobków.

Ludzie z zadrukowanymi twarzami zniknęli szybciej, niż się pojawili. Co sprytniejsi w porę dokonali operacji plastycznych. Niektórym udało się przetrwać nie wychodząc z domów bądź na stałe kryjąc się za czarczafami. Nie minęło 20 lat, a pełne uspokojenie zstąpiło na urodzajne ziemie Amirandy. Młódz wyrosła w owym czasie nie potrafiła już niczego odczytać z twarzy swych nielicznych ojców i dziadków.

*Zaraza* - jak płomień polewany wodą - skwiercząc gasła i umykała... Wreszcie zanikła.

Inkwizycja rozwinęła swe skrzydła szeroko i ojcowsko, a Regent mimo sędziwego wieku mógł

w swoim aśurowym donśonie cieszyć się wszystkimi przyjemnościami doczesności. Nadal pławiono czarownice w proporcjach potrzebnych do podtrzymywania Śaru ludzkich dusz.

I średniowiecze trwało w najlepsze.

Atoli pewnego dnia na pokoje Jego Wysokości wpadł kuśtykający Inkwizytor (podagra uczyniła znaczne postępy). Twarz dominikanina przysłaniała chmura niepokoju. Opadł na ławę i dopiero po wypiciu płynu rzeźwiącego wykrztusił:

- Zaraza!

Regent popatrzył z niedowierzaniem, a w jego umyśle zrodziło się podejrzenie, że na starość Jego Eminencja zwariował.

- Aleś, drogi Ojczy, przecieś dzięki twej roztropności od dawna nie boimy się śadnych zaraz.

- Niestety, musi to być jakaś odmiana poprzedniej. Znow na twarzach coraz liczniejszych poddanych pojawiają się wyrzuty.

Władca roześmiał się.

- I co z tego? Choćby się pojawiły u wszystkich, ktoś może je odczytać?

Inkwizytor przez moment bezdźwięcznie poruszał ustami, a gdy śmiech suwerena ucichł

ostatecznie, rzekł:

- Tym razem jest to pismo obrazkowe, Wasza Regencka Mość.

## **BEZSENNA KRÓLEWNA**

- O, królowo, aleś ty piękna. Aleś ty wspaniała! Kurczę blade, chyba nie ma nikogo równie pięknego na całym świecie.

- A dałobyś spokój! Po co te pochlebstwa? Naprawdę piękna jest moja pasierbica, a ja tylko jako tako się trzymam.

Podobny dialog odbywał się prawie codziennie w toalecie Królowej Diany, zwanej niekiedy Dobrą Macochą. Przy czym autorem niewyczerpanych komplementów było zawsze gadające lustro, czyli kawał przepięknie wypolerowanego kryształu ujętego w ramy etykiety i mahoniowego drewna.

- Słowo honoru, królowo - dobiegało od strony tafla - wygrywasz swobodnie każdy konkurs piękności, i to w skali ogólnokrajowej.

- Ach, przestań już, przestań. Czy ty przypadkiem nie mówisz każdej kobiecie tego samego?

Strzał był chybiony, więc lustro zakasłało i obraziło się na dłuższą chwilę. Nie da się ukryć, że chociaż jedną z wielkich namiętności zwierciadła była polityka, wobec królowej zachowywało się lojalnie. Inna sprawa, że zawsze mogą być kłopoty, kiedy coś przeznaczonego do odbijania otrzyma nagle głos. Weźmy znany powszechnie casus Królowy Śnieżki. Ktoś

inny, jak nie magiczne lustro, było głównym sprawcą ponurego pasma wydarzeń?

Gdyby trzymało gębę na kłódkę, ba, zapewniało Złą Macochę, że jest Miss World, Śnieżka spokojnie dożyłaby pełnoletności, a potem - zgodnie ze zmianą pokoleń - objęłaby kierownicze stanowisko lub została wydana korzystnie za mąż. Tymczasem gadatliwe arcydzieło manufaktury szklarskiej, mówiąc obiektywnie prawdę, subiektywnie stwarzało atmosferę napięcia i konfliktów. Gorzej. Gdy Śnieżka otrzymała już azyl w komunie krasnoludków, a Macocha była przekonana o jej

śmierci, zwierciadło wzięło na siebie odraŝającą rolę donosiciela. Bo ktoś, jak nie ono podkablowało Śnieŝkę, czyniąc to zresztą z własnej nieprzymuszonej woli, bez nacisków, bez Ŝadnych wyŝszych racji stanu...

Czy w tej sytuacji Zła Macocha miała jakiegokolwiek inne wyjście poza konsekwentnym dąŝeniem do likwidacji pasierbicy?

Doradca władzy to funkcja niezwykle odpowiedzialna. Nawet mówiąc prawdę moŝe przysporzyć wiele zła, a co dopiero kłamiąc.

Nasze lustro, oczywiście, doskonale o tym wiedziało. Znało równieŝ prawdziwe motywy swego kuzyna (tego od Śnieŝki). Tamto lustro nie było wcale głupie - działało konsekwentnie według starannie przemyŝlanego planu. Ustaliło, ŝe jedynym sposobem na korzystne przemiany w królestwie jest pozbycie się Złej Macochy. Trwał kryzys. Król zaślepiony miłością praktycznie nie rządził, naród był ubezwłasnowolniony, a Śnieŝka, w której postępowe frakcje establishmentu upatrywały nadzieję na zmiany - niepełnoletnia. Pozostawiała jedynie metoda prowokacji. Trzeba było skompromitować Królową, zahartować Śnieŝkę, skojarzyć ją z dynamicznym Królewiczem z ościennej monarchii, a nade wszystko - otworzyć oczy staremu Królowi. W istocie więc zarówno myŝliwy, jak krasnoludki stanowili ogniwa spisku zawiązanego z inspiracji zwierciadła...

Aliŝci w Amirandzie sytuacja miała się zgoła inaczej.

Regent Rudyard nie ŝył od paru lat. Zgubiła go krótkowzroczność i upodobanie do kultów wschodnich. Uwielbiał bowiem grać na flecie i hipnotyzować w ten sposób węŝe z monarszego terrarium. Pewnego dnia, doprowadziwszy je muzyką do pełnego wyprostu, upuŝcił z rąk puszczalkę, a poniewaŝ okulary gdzieś mu się zapodziały (dopiero nazajutrz znalazły się przypadkowo w fartuszkach królowny), sięgnął po pierwszy z brzegu długi, sztywny, prosty przedmiot i uniósł go do ust. Ukąŝenie w język nawet ŝrednio jadowitej kobry miało jednoznaczne następstwo. I tak młoda Dobra Macocha, z którą ledwie pół roku temu Rudyard, długoletni wdowiec, się oŝenił (matka Królowny Yoli zmarła przy jej porodzie), ostała się Regentką.

I wszyscy byli zachwyceni: Wielka Tajna Rada - poniewaŝ Diana była nie tylko osobą ŝwiatłą i mądrą, ale równieŝ nie pozbawioną talentów mediacyjnych; lud - bo uroda oraz słodycz jasnowłosej wdowy o twarzy Botticellowskiej Wenus nie miały sobie równej; hierarchia duchowna - albowiem prowadzenie się Regentki było bez zarzutu. Trzy lata oddawała się pełnej ŝałobie i dopiero niedawno - za radą Uczonych Doradców - zaczęła kłaniać się ku ewentualności powtórnego zamąŝpójŝcia.

\* \* \*

Yolanda nie mogła spać. Leŝała na brokatowej poŝcieli i zaciskając do bólu swe krzywe, drapieŝne ząbki, poŝępnie wpatrywała się w plafon przedstawiający Porwanie Persefony.

- Zabiję tę starą! - krzyczała kaŝda komóreczka jej brzydkiego ciała pokrytego młodzieńczym trądzikiem. Yolanda w powyŝszej wypowiedzi nie przejmowała się faktami: Diana była od niej starsza ledwie o osiem lat. - Zabiję! I tego łowcę posagów teŝ!



Ta druga insynuacja odnosiła się do przybywającego już wkrótce Młodego Księcia, o którym dyplomaci mówili, że jest piękny jak marzenie, dzielny jak sam Ruyard i mądry jak św. Limeryk. To, że był typowym Królewiczem bez Ziemi, nie miał apanaży, a jedynie historyczne nazwisko, należało do mniej ważnych mankamentów.

- Pobiorą się, będą mieli dzieci, a mnie oddadzą do klasztoru - łkała bezgłośnie Królowna.

Potem zerwała się z łóżka, przekręciła główkę amorkowi nad kominkiem, co uruchomiło dźwignię i otworzyło drzwi misternie ukryte w boazerii. Schodami, które polecił

wykuć dwieście lat wcześniej Robert Widłozęby dla swych kochanek z półświatka, zbiegła na dół i tylko sobie znanymi korytarzami, pełnymi szczurów i nietoperzy (które czmychały przed Królowną gdzie pieprz rośnie - okrucieństwo Yolandy wobec zwierzątek znane było całej faunie Amirandy), dotarła do słynnej Jaskini Mętów. Wielka pieczara przylegająca do dzielnicy szynków i domów gry stanowiła schronienie dla najróżniejszych opryszków, łotrzyków i rzezimieszków z całego trapezoidalnego królestwa. Tam dzielono łupy, obierano dorocznie Króla Błaznów, odbywano dintojry i pasowano adeptów najstarszych zawodów świata. Tam również odbywały się co cztery lata igrzyska o Nagrodę Wielkiej Pręgi Kaina i prowadzone były mediacje z przedstawicielami przestępczości zorganizowanej z innych stron i wymiarów.

Narkotyki, handel żywym towarem, dzieciobójstwo kwitły w najlepsze pod samymi fundamentami władzy, zapewne nie bez przyzwolenia pewnych wpływowych osobistości.

W one dni najgroźniejszą grupę przestępców stanowiła Banda Karłów, zorganizowana z osobników poniżej metra, którzy działali najczęściej w dziecięcych przebraniach, napelniając grozą Regentsburg i jego okolice. Karły te, obok pewnego włoskiego stręczyciela, były najmilszymi towarzyszami wyuzdanych uciech królewskiej nastolatki. I dziś powitały ją rechotem, mlaskaniem warg i klepaniem się po tłustych, sterczących kałdunach.

- Jest sprawa - Yolanda zaczęła bez wstępów i pieszczot - pojutrze ma przybyć na Zamek Królewicz Roland...

\* \* \*

- Ja zupełnie Najjaśniejszej Pani nie rozumiem - mruzczała namolnie tafla.

- Daj spokój z tą najjaśniejszą panią! Nie pamiętasz, że wypiliśmy na ty!

- Wcale nie podobało mi się to picie do lusterka. Ale nie rozumiem twych obiekcji, Diano.

Skąd twoje poczucie winy? Królowna Yolanda jest małą złośliwą szelmą, której ty we wszystkim pobłażasz, usiłując zastąpić jej ojca i matkę, co spotyka się jedynie z czarną niewdzięcznością. Ta mała paskudna zołza, gdyby mogła, utopiłaby cię w łyśce wody...

- Nie przesadzaj, to tylko dziecko. Trochę nerwowe, ale to przecieś zrozumiałe w wieku dojrzewania. Jesteś wobec niej strasznie nie sprawiedliwe.

- Nic więcej nie powiem, ale ostrzegam...

\* \* \*

Orszak Rolanda wjechał w Rudy Kanion. Wieczorny wietrzyk rozwiewał pyszne proporce, konie parskały rażno i całą szczupłą ekipę ogarnęło radosne podniecenie. Jechali wszak przez kraj Śyzy, wielki, bogaty. Kłaniali im się po drodze kmiecie, pozdrawiali błogosławieństwem mnisi. Dziewuchy wiejskie biegly ku opłotkom, wymachując czym popadło.

Niejeden z przybocznych księcia zastanawiał się juŜ, jaka domena mu przypadnie, którą prowincję weźmie lub w jaką mitrę się przystroi. Koniuszy Guido Renz począł rozglądać się za sposobnym miejscem na obóz, tak Őeby poderwawszy się przed świtem, na południe przybyć do Regentsburga. PowyŜej Czerwonego Wodospadu dolina rozszerzała się gwałtownie i las rzedł. Nad samą wodą rozłoŜył się wprawdzie obóz cygański, ale Renz uprzedzeń rasowych nie miał i uznał, Őe obok kapliczki św. Limeryka starczy miejsca dla orszaku.

Nim jednak rozbito przepyszny adamaszkowy namiot Rolanda, na drodze od stolicy pojawił się dziwaczny zaprzęg. Na trzech kucykach strojnych w królewskie barwy Amirandy przygalopowało sześciu karłów, którzy padli na twarz przed Rolandem.

- Witaj, królewiczu przezacny - zaczął pierwszy o gburowatej twarzy. - Z rozkazu Najjaśniejszej Królowej Diany witamy cię my, jej dworscy błazenkowie.

- Tego nie było w protokole - powiedział marszcząc brwi Renz. Ale Roland bynajmniej go nie słuchał.

- Królowa was przysyła, sama Królowa? - zawołał wybiegając im naprzeciw.

- Tak, nadziejo przyszłych dynastii - zawołał karzeł. - Jutro oczekuje cię cały dwór i społeczeństwo stolicy. Bądź pozdrowiony... Mam teŜ - dodał zniŜając głos -

informację poufną.

- No? - Roland opuścił głowę ku ustom gnoma.

- Królowa nie moŜe doczekać się spotkania. Goreje cała, marząc o zobaczeniu Waszej Miłości.

- Nie moŜe być! Ozłocę cię, mój mały.

- Poleciała mi teŜ dodać, Őe wybiera się na nocne kontemplacje do eremu Wiecznej Pamięci. Sama... To nawet niedaleko stąd. Trzy mile górami.

- Trzy mile? - Oczy Księcia rozbłyły. - Zaprowadziłbyś mnie?

- Ale nikt nie mógłby się o tym dowiedzieć...

Guido dopilnował wszystkiego, konie napojono, a namioty rozbito kręgiem wokół

ksiąŜęcego. Renz zadowolony z siebie łyknął z bukłaka na wzmocnienie i ruszył do swego pana. Z szacunkiem podrapał w namiot. Odpowiedzi nie było. Ogromny ochroniarz siedział

pod progiem i bardzo zdziwił się, gdy Renz, wskoczywszy do środka, stwierdził brak Księcia.

Tymczasem od strony drogi podniosły się śpiewy. To od stolicy nadciągała procesja zakapturzonych pokutników. Koniuszy rozejrzał się niespokojnie. Nie podobali mu się ci mnisi. Nie podobali mu się i zgromadzeni wokół ogniska Cyganie, a gdy z tyłu parowu dojrzał

zblisających się zbrojnych, zrozumiał, Őe wpadł w zasadzkę.

- Alarm! - wykrzyknął i uniósł do ust srebrny róg... Bzyknęły strzały. Trzy z nich ugodziły ochroniarza. Őołnierze z eskorty wybiegli z namiotów, giermkowie szukali swego ryszpunku, rękodajni lamentowali. Tymczasem na obozowisko zwała się hurma ludzi ponurych, zaciekłych, brudnych. Cyganie dobyli noŐy, mnisi ujawnili skrywane pod habitami sztylety. Teraz czynili z nich uŐytek.

Jak Guidowi udało się obalić dwóch fałszywych mnichów, dosięść konia, kopniakiem strącić karła, który wŐarł mu się w łydkę zębami - pozostawiam fantazji malarzy batalistów.

Nie minęły dwie minuty, a Renz konno, w towarzystwie dwóch ocalałych z pogromu gwardzistów, przerąbał się ku rzece. Przesadził ognisko i skoczył w wodę. Byle przeprawić się na drugi brzeg. Pod czaszką przelatowały mu róŐne myŐli. Co z Księciem? Ogromny Cygan, który teŐ był w wodzie, usiłował chwycić konia za uzdę. Guido ciął go okropnie i spał

rumaka. ZaŐwistały strzały. Jęki z tyłu dowodziły, Őe dwaj towarzysze zdrowo oberwali, jego samego ledwie muŐnięto w ramię. Prąd był bystry, ale rumak wciąż Őosuwiał się do przodu.

Zbawczy brzeg przybliŐał się z kaŐdą chwilą. Głos pogoni jakby cichł. Naraz koń parsknął

i zarŐał rozpaczliwie. Jego kopyta straciły grunt. Wierzchowca i jeźdźca uniósł raptowny prąd.

I przybierając na sile począł przybliŐać ich ku Wielkiemu Czerwonemu Wodospadowi Kanionu Kamienicy.

Dowódca karłów wstrzymał pogoń. Na tle ostatnich refleksów słonecznych desperacka walka konia i człowieka z Őywiołem widoczna była jak na dłoni. Cała nadzieja Renza skupiła się na kępie krzaków wystających ponad wodę.

- Złapie, maładiec! - ocenił jeden z najemnych Kozaków.

- Nie złapie! - skontrolował szczupły zbir o fryzjerskiej urodzie Włocha.

- Módlcie się, psiawiary, Őeby nie złapał! - warknął komenderujący karzeł.

JakoŐ złapał. Nadludzkim wysiłkiem wpił ręce w łozinowe gałązki, potem puŐcił strzemiona.

Koń z Śalonym kwikiem okręcił się wokół swej osi i zniknął w gardzieli wodospadu.

- Strzelać, psubraty! - ryknął kurdupel.

Odległość jednak była zbyt znaczna. Renz wolno podciągał się, podciągał, juŜ noga znalazła niepewne oparcie na skale, juŜ druga ręka poczęła sięgać ku korzeniom karłowatego drzewa...

- Koniec - westchnął naraz fryzjerczyk.

I rzeczywiście, korzenie łozy nie wytrzymały, krzak wraz z Guidem runął w odmęt rzeki, a głos, jeśli nawet koniuszy zdołał coś wykrzyknąć, zagłuszył łomot pięćdziesięciometrowej kaskady.

\* \* \*

Powitanie przeszło wszelkie oczekiwanie. Od Złotej Bramy orszak kroczył wśród girland, łuków triumfalnych i wiwatów tłumu. Heroldowie dęli w trąby, pacholeta sypały kwiaty i specjalnie bite na tę okazję talary. Niektórym wprawdzie świta wydawała się dość dziwna, markiz Wielki Koniuszy z okiem zasłoniętym czarną opaską przypominał raczej pirata, a ksiąŜcy giermkowie mieli wygląd zgoła nieokrzesany, ale w końcu przecieŜ byli to cudzoziemcy.

Sam Roland, choć niewątpliwie przystojny, wywarł na członkach Wielkiej Tajnej Rady dziwne wrażenie. Dość urodziwy, postawny, przywodził jednak na myśl bardziej makaroniarskiego alfonsa niŜ księcia krwi, ale z grubsza i ze stroju przypominał swą podobiznę. Jedyne, który go znał osobiście, legat Antoni, zmarł poprzedniego wieczora na dziwną, ostrą kolkę Śoładkową, wkrótce po podwieczorku zjedzonym w komnatach Królowny.

Nic jednakŜe nie mąciło ogólnej wesołości. Na dworze rozpoczął się wielki bal.

Oczy Yolandy lśniły taką radością, taką satysfakcją, Őe niektórzy skłonni byli uznać ją tego wieczoru za, w pewnym sensie, ładną.

Diana dostrzegła radość pasierbicy. Lustro wyniesione na uroczystość z komnaty zauwaŜyło więcej. Gesty poufałości, półsłówka. KsiąŜę i Królowna, gdy ich nie obserwowano, zachowywali się jak para starych, dobrych znajomych.

W którymś momencie balu zapoznawczego Diana zbliŜyła się do swej pasierbicy. Macocha wyglądała trochę smutna, ale jak zwykle pełna słodyczy.

- Podoba ci się Roland, Yolu?

- Bomba facet! - odpowiedziała Królowna.

Lustro ogromnie nie lubiło, gdy Dobra Macocha płakała. Przez jego duszę przechodził wówczas skurcz bolesny i zimny jak okruch szkła w zupie.

- Niezależnie od tego, co powiesz, ja muszę to zrobić - powiedziała Diana, gdy grubo po północy

znaleźli się sam na sam.

- Zaskoczę cię, popierając twój zamysł w całej rozciągłości.

- Naprawdę? Myślałam, że będziesz mnie przekonywało, że to za dużo poświęcenia.

- Jak mówię, że popieram, to popieram. - Tafla tej nocy wykazywała zadziwiającą oszczędność w słowach.

\* \* \*

- Około południa Tajna Rada, częściowo na kacu, ale w pełnym składzie, zgromadziła się w Sali Tronowej. Była tam i Yolanda, zaproszona ze względu na rangę decyzji. Diana - ubrana tego dnia na ciemno, niemal ślubnie, z włosami zaczesanymi skromnie, jak przystało na wdowę - zaczęła nie bawiąc się we wstępy:

- Drodzy moi. Pragnę zapoznać was z moją decyzją, która jest nieodwołalna.

Proszę więc nie próbować mnie przekonywać i odwozić. Wczorajszy wieczór uświadomił mi dogłębnie parę spraw. Po pierwsze, nie jestem już wcale młoda i muszę pogodzić się z myślą, że kiedyś trzeba będzie przekazać brzemień regencji w młodsze ręce (szmer dostojników i tryumfalny uśmiech Yolandy). Usunę się, gdy tylko to jedyne dziecko mego wielkiego małżonka osiągnie pełnoletność, czyli - w myśl naszego prawa - za rok (teraz szmer zmienił się w westchnienie, a miejscami w syk grozy). Myślę o klasztorze. A gdy myśli się o ślubie Najwyższemu, trudno decydować się na zamążpójście. Królewicz Roland, jak wszyscy to zauważyli, jest piękny i młody. I dlatego uważam, że nie ja winnam go zaślubić, lecz Yolanda.

Nagła cisza i krzyk spłoszonej Królowej:

- Ależ, mamo, przecież on...

- Słucham?

- Przecież on przeznaczony był tobie!

- Zmieniłam zdanie! Kiedy widziałam was razem, stwierdziłam, że po prostu jesteście stworzeni dla siebie. Pasujecie jak ulał.

- A ja nie chcę! Nie! Nie!

- Nie masz nic do gadania, Najjaśniejsza Panienko - rozległ się wysoki i brzękliwy głos lustra. - Ślub odbędzie się w terminie, czyli jutro. Jak na razie mamy monarchię absolutną, a kierownictwo jednoosobowe. Aha, i nikt nie ma prawa dowiedzieć się o naszej decyzji, nim zabiją dzwony!

Panowie Rady pochyłili głowy...

\* \* \*

Dźwięk dzwonów przebudził Rolanda. Z dna nory, w którą wrzucono go, nie widział

słońca. Jedyne dzwony obwieszczające jutrznię, prymę, sekundę czy nieszpór stanowiły jego punkty orientacyjne. Nie rozumiał, co się stało. Nie pojmował, kim były karły, które go uwięziły... Skrzypnęły drzwi. Gnom o twarzy gbura wszedł i skłonił się nisko.

- Już po wszystkim. Wkrótce Wasza Miłość będzie wolny.

- Wolny?

- Praktycznie Wasza Książęca Mość nigdy nie był uwięziony. Było to jedynie działanie zapobiegawcze. Wiedzieliśmy o spisku i uchroniliśmy twe bezcenne Śycie, Nadziejo Przyszłych Dynastii.

- Spisku?

- Tak jest. Spisku, który ta nierządnicą Królowa Diana uknuła, aby zaślubić pewnego nikczemnego rajfura, podszywającego się pod ciebie. Italczyka bez czci i wiary! Na szczęście, Królowa Yolanda przejrzała sprawę i poleciła nam, towarzyszom jej młodzieńczej edukacji, pośpieszyć ci na ratunek.

Roland nie wierzył własnym uszom.

- Jeśli to prawda, wynagrodzę cię stokrotnie. A co z moimi ludźmi?

- Wybici - załkał karzeł - ale znajdziesz u nas wielu oddanych przyjaciół. Musimy się jednak zbierać. Słyszysz ślubne dzwony? Ledwo skończy się ceremonia, zdemaskujemy szalbierza i jego współniczkę. Prawo nasze powiada: kto wiąże się ślubnym węzłem z przestępcą, podlega takiej samej karze jak on.

\* \* \*

W głównej nawie i na schodach opactwa cięba stała tak wielka, że w pewnej chwili fala gratulujących notabli rozdzieliła młodą parę. Pan młody wyszedł pierwszy przed bramę wsparty na ramieniu Kanclerza, gdy naraz spod ziemi wysunął się jakiś bogato odziany kurdupel ciągnący pięknego jak sen młodzieńca.

- Ludu Amirandy! - wrzeszczał karzeł. - Oszukano cię! Oto masz przed oczyma szalbierza! Fałszywego księcia!

Tłum zafalował, a Kanclerz dobył buławy, chcąc roztrzaskać łeb zuchwalca, ten jednak ciągnął nie zrażony:

- Prawdziwym Księciem Rolandem jest ten oto młodzieniec!

I królewicz stanął w słonecznym blasku. Harmider uczynił się jeszcze większy. Podskoczyły straże, ale jedno władcze spojrzanie prawdziwego Księcia krwi osadziło je na miejscu. Włoch pobladł

strasznie, poczuł, że został podle wrobiony...

- Pokaż, mój panie, wielki pierścień zaręczynowy! - wołał karzeł. - Pokaż

przechowywany na piersi konterfekt Królowej Diany, dziś uczestniczki tego nikczemnego... -  
tu urwał.

Z kościoła w asyście druhen wypłynęła Yolanda. Karzeł zamrugał oczami. Jakże to?

- A tak to - rozległ się dźwięczny głos z boku i na schody wkroczył blady, podrapany, z ręką na  
temblaku, ale żywy Guido Renz. Za nim wyszła królowa Diana. Renz zbliżył się i ucałował ręce  
swego pana. - Tak, to jest prawdziwy książe Roland - potwierdził. - A ten szalbierz, zbrodzień i  
zaślubiona mu współniczka...

Gwar uczynił się wielki, zerwały się okrzyki nawołujące do pomsty, ale Diana uciszyła wszystko  
wzniesieniem ręki.

- Chodźmy, panie mój, do kościoła. Arcybiskup nie będzie miał nic przeciwko drugiej imprezie tego  
samego dnia.

\* \* \*

Wielkie było miłosierdzie Królowej Diany. Udaremniwszy dzięki bohaterstwu Guida (który, po  
przeplątaniu wodospadu i odzyskaniu przytomności, jeszcze przed świtem stawił się w zamku) i  
bystrości swego zwierciadła cyniczny spisek, Królowa nie chciała się mścić.

Poprzestała na wysłaniu młodej pary na wieczystą banicję. W swej dobroci zapewniła młodym pełną  
wyprawę i poleciła zabrać ze sobą bandę karłów, tak aby nigdy więcej nie pojawili się w  
Amirandzie. Dała też prezent ślubny. Gadające lustro, które jej samej nie było już potrzebne, a  
Yolandę i pseudokrólewicza mogło nauczyć rozumu. Zresztą, niepotrzebny był na dworze świadek  
całej tej ponurej afery. Yolanda jednak nie marzyła o nauce. Lustro zostało zaraz po przekroczeniu  
granicznej przełęczy rozbite na drobne kawałki i rozrzucone zarówno po świecie alternatywnym, jak  
i realnym. W wiele wieków później z jednego z odprysków niejaki Marconi wyprodukował radio  
kryształkowe, a z innego uczony akademik Kineskopów skonstruował prekursorski telewizor.

## ... I CZTERDZIESTU ROZBÓJNIKÓW

Amiranda Orientalna! Legendarny Iros! Wystarczy pokonać dwa tysiące kilometrów od  
umiarkowanego Regentsburga, przekroczyć Śnieżne Wierchy, a potem Wielką Depresję i już

otwiera się tajemniczy kraj dżinów, fatamorgan i trzygarbnych wielbłądów niesłychanie wy-  
dajnych w eksploatacji i zalecanych jako komfortowe wehikuly na podróże poślubne. Zaiste, Śnieżne  
Wierchy to nie tylko największy dział wodny kontynentu, lecz zarazem linia demarkacyjna między  
ortodoksją Montanii a wojującym islamem Pięciorzecza.

W jaki sposób około roku 789 RESA kraina ta weszła na cztery wieki w posiadanie Amirandy,

bliżej nie wiadomo. Nie wiadomo nawet tego, czy stało się to podczas najazdu skośnookich Tartarów, czy w czasie Rewolucji Kulturalnej w okresie przejściowym między XI a XV dynastią.

Wykopaliska dowodzą tylko, że musiała być wojna. Wygląda na to, że armie pod sztandarami proroka zajęły nawet Regensburg, a watahy sprzymierzonych z nimi neosarmatów dotarły i do Nordlandii (zostały po nich charakterystyczne kopce, w których jednak - ku śmieszczeniu archeologów - zamiast złotych precjozów znajdowano jedynie przegniłe ziemniaki). W północnej części Wzgórza Zamkowego w stolicy natrafiono nawet na szczątki minaretu... Słowem, wszystko wskazywało na bezsporną zwycięstwo islamu. Dlaczego jednak już w cztery lata później (są na to dokumenty) arcykatolicki Ruprecht panuje nad całym obszarem, łącznie z Irosem, i łaskawie tylko pozwala w Pięć-rzecz na wyznawanie Allacha?

Obiecując zająć się Ruprechtem w odpowiednim momencie, przejdźmy do właściwego bohatera orientalnego epizodu, rozgrywającego się w dobre dwa stulecia później.

Bohaterem tym jest ubogi handlarz drewnem (zajęcie w pustynnym kraju niezbyt lukratywne), niejaki Jusuff (jego odczestwo poszło w zapomnienie) o przydomku „Ale Chłop”.

Trudno o bardziej złośliwe określenie. Chuderlawy i zezowaty „Ale Chłop” był niższy od kłęczącego osiołka, miał pałkowate nogi i bardzo dobre serce, co przy takiej posturze bardziej zawadza, niż pomaga w Syciu.

W one dni nędza Jusuffa stała się tak wielka, że nie tylko nie miał co do garnka włożyć, ale i sam garnek musiał sprzedać za garść daktyli, które z całą rodziną ssał (po jednym dziennie), czekając na odmianę koniunktury. Powodem nieszczęścia i ustawicznych lamentów jego Sona Dżamilli byli rozbójnicy. Ich zuchwałość przekroczyła wszelkie granice. Kontrolowali drogi, napadali karawany i zajazdy, tak że kraj począł chylić się ku ruinie, a drwale, którzy dotąd dostarczali Jusuffowi drewna, odcięli się od wszystkiego i prysnęli za granicę.

Ktoś zresztą miał się sprzeciwić rozbójnikom - wyniszczone długoletnią suszą chłopstwo, tchórzliwe mieszczaństwo? Wojska tutejszego beja od lat walczyły gdzieś na rubieżach, natomiast straż podległa kadiemu wykazywała zadziwiającą opieszałość. Zresztą komu miły był stryk, pał, zakopanie w mrowisku lub pozostawienie związanego w pustynnym upale, że wymienimy tylko najczęstsze ze zbójceckich egzekucji.

Aż nadszedł dzień, kiedy zdesperowanemu Jusuffowi pozostało jedno - tak przynajmniej zasugerowała jego małżonka - wytropić kryjówkę bandy (za głowy rozbójników wyznaczono wielką nagrodę) i donieść, gdzie trzeba. Sąsiad-kupiec poświęcił mu typowy ludowy strój zbójcecki: jaskrawy burnus, opończę i nóż w zęby. Doklejoną broda dopełniała charakterystyki.

Przez cztery dni krążył wokół szlaku E-45, penetrował zarośnięte ścieżki gajów na stokach wzgórza imienia Piątku 12 Marca 223 roku Hidżry. I nic. Aż wreszcie pewnego dnia o zmierzchu wypatrzył kawalkadę zbrojnych, powracającą z łupami. Na oko zbójców było czterdziestu. Niepostrzeżenie dołączył do kolumny. Rozbójnicy, którzy pracowicie spędzili cały dzień, byli tak zmęczeni, że nie zauważyli nadliczbowego kompana. W milczeniu dotarli do dzikiego parowu, który przegradzały stalowe wrota.



Prowadzący starszy zbójca stuknął w nie trzykrotnie.

- Hasło! - zabrzmiało z drugiej strony.

- Sezam - padła odpowiedź. - Odzew?

- Soja! Wchodźcie, ale szybko, bo, na Allacha, straszny przeciąg.

Tu Jusuff zręcznie odłączył się od kolumny. Wiedział już aś nadto.

Rezydencja kadiego znajdowała się za miastem, tuś przed rumowiskiem Dzikich Skał. „Ale Chłopa” przyjęto tam chętnie i po krótkim przesłuchaniu wstępnym zakończonym przyjacielskimi szturchańcami postawiono przed oblicze sędziego.

Kadi nie był młody, siwizna przestebnowała mu włosy, brzuch rozwinął się monumentalnie, ale spojrzenie znad jastrzębiego nosa pozostało czujne i przenikliwe. Poprosił

Jusuffa o dwukrotną relację. I spytawszy, czy nie zdradził się ze swym odkryciem przed kimś postronnym (rozbójnicy wszędzie mogą mieć swoich informatorów), podziękował za obywatelską postawę, mieszek zaliczkowy wręczył i po policzku poklepał. „Ale Chłop” już miał odejść, lecz na progu odwrócił się jak człowiek, który o czymś zapomniał, i zapytał nieśmiało:

- A rozbójnicy?

- Zostaną potraktowani w sposób, na jaki zasłużyli - zapewnił kadi.

Jusuff był wniebowzięty, szedł podrzucając mieszek, przeskakując z kamienia na kamień, kiedy naraz wyrósł obok niego włóczęga, mały jak on, ryśy, z pałakowatymi nogami, i porwawszy w locie mieszek rzucił się do ucieczki.

- Ludzie, złodziej, na pomoc! - krzyczał „Ale Chłop”.

I poczał biec za rzezimieszkiem. Nie miał jednak zaprawy w bieganiu, po stu metrach pogoni pustymi ulicami bez okien uczuł bolesne klucie w boku i upadł na ziemię. Ocknął się po paru minutach, a ponieważś po złodzieju nie było ani śladu, zmartwiony wolno poczłapał w stronę domu. Wtem z przecznicy dobiegł go gwar. Krzyki i pomstowanie. Na placyku obok studni utworzyło się małe zbiegowisko. Jakaś kobieta histerycznie szlochając opowiadała scenę, która przed chwilą tu się rozegrała. U jej nóg w kałuśy krwi leżało ciało włóczęgi.

- To było straszne, pojawiło się ich trzech. Jak złych dśinnów. I od razu do niego:

„Czy to twoja sakiewka?” „Tak” - odparł. „A więc nazywasz się Jusuff »Ale Chłop«?”

„Natur...” Więcej nie powiedział, zakłuli go bandziory kindśałami, zabili...! A najdziwniejsze, śe w ogóle nie zabrali tej sakiewki...

Był świt, ptaki darły się w zaroślach i dawno ścichł już tętent zbójceckich koni, kiedy męszczyzna z brodą i w turbanie wysunął się z zarośli. Lekko dygotał, ale odmówiwszy dwa pacierze, postąpił ku bramie.

- Hasło?

- Sezam - rzucił męśnie.

- Odzew: Soja. Z czym przychodzisz?

- Osobista wiadomość dla szefa - rzucił przybyły.

Jeden z dwóch cerberów mruknął coś niechętnie i odebrawszy gościowi kindsał, poprowadził w głąb jaskini. Szli skalnymi korytarzami wśród skrzyń pełnych złota, kaszmirowych tkanin, perskich dywanów, bel chińskiego jedwabiu i porcelany seczuańskiej.

Ówdzie piętrzyły się skrzynie korzeni, pachnideł i cennych barwników, stopy broni przepysznej, lusterek i farfur w złoto oprawnych... Jusuff raz w Sycciu był w odległym Bagdadzie, ale nawet w tamtejszym domu towarowym nie napotkał równego nagromadzenia przedmiotów zbytku.

Prowadzący doprowadził go do schodów, gdzie przejął go następny strażnik, a potem w komnacie o ścianach koloru szafranu - strojny w szamery z złotem uniform karzeł Murzyn. Jeszcze chwila i „Ale Chłop” znalazł się w pomieszczeniu, które coś mu przypominało. Ściągnął turban i odkleił brodę.

- Witaj, dobry kadi!

Męszczyzna zajęty odważaniem złotego piasku i wycenianiem precjozów poderwał się z miejsca.

- Ach, to ty, niebawale, jednak syjesz... tym gorzej dla ciebie - dokończył ponuro.

- Pańscy ludzie popełnili omyłkę - poinformował gość.

- To zostanie naprawione - zaśmiał się tubalnie herszt - musisz umrzeć. Hej...

- Skoro muszę, to czy mógłbym odejść na łono Mahometa z zaspokojoną ciekawością?

Kadi kiwnął głową.

- Po co panu to wszystko? Po co to zbójstwo człowiekowi, który jest bogaty i cieszy się nieposzlakowaną opinią?

Kadi oparł głowę na rękach.

- Co ty wiesz o polityce, synku! - rzekł po chwili. - Czy ty myślisz, że ja to dla siebie? Jak wiesz, nie ma u nas podatków.

- Są dobrowolne datki na chwałę Allacha.

- Ale czymś to jest wobec galopującej inflacji. Prowadzimy wojny, odprowadzamy daniny dla Najjaśniejszego Regenta, który - choć niewierny - jest naszym suwerenem, wysyłamy dziesięcinę do Mekki. A szkolnictwo, służba zdrowia, transport wielbłądami publicznymi? Nie było innej metody na deficyt budżetowy.

- Aleś przecieś to rozbój na równej drodze!

- Niezupełnie, staramy się grabić jedynie bogatych w interesie biednych.

- Grabieś, grabieś. A morderstwa, a terror?

- Zawsze istnieją koszty inscenizacji, przecieś chodzi o to, aby rozbój uprawdopodobnić. Ale zapewniam cię, ci rozbójnicy, choć w Syciu często grzeszni, idą wprost do raju, jakby pochłonęła ich dŹihad. Ty teś tam podąŹysz.

- Mam inny pogląd na tę sprawę - przerwał Jusuff. - Relacje o moich odkryciach, łącznie z tym, Źe wlot do jaskini znajduje się na tyłach waszej rezydencji, zostały przepisane w paru egzemplarzach i zabezpieczone w kilku miejscach. Jeśli nie wrócę, trafią zarówno do Jego Wysokości Beja Pięciorzecza, jak do Federalnego Oficjum Inwigilacyjnego w Regentsburgu oraz do Wielkiej Źwiątyni w Mekce. Będziesz skończony.

Herszt zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości, z czego skorzystał niezwłocznie „Ale Chłop”, przypalając od iskry papierosa (dzięki przemytnikom, z dziury czasowej rozpowszechniły się one w Amirandzie na pięćset lat przed Kolumbem).

- Co proponujesz w tej sytuacji? - rzucił głucho zdekonspirowany.

- Spółę - odparł lakonicznie Jusuff. - Przecieś ty teś nie robisz tego charytatywnie. Ja równieś chcę czynem wspierać gospodarkę Pięciorzecza.

W oczach kadiego zapaliło się uznanie. MoŹe dostrzegł w młodym człowieku swego następcę, kogoś, kto dalej poniesie sztandar dobrego administratora i sędziego.

- Jedno pytanie: czy sam skojarzyłeś te wszystkie fakty?

- Szczerze powiedziawszy, całość wydedukowała moja Źona DŹsamilla, ona powiedziała mi, jak się zabezpieczyć, jak z tobą rozmawiać i czego zaŹądać. Kazała cię równieś pozdrowić, mój panie, i zapewnić, Źe kierowała nią nie wiedza, bo takowej nie posiada, tylko kobieca intuicja. No to co, jest spółę?

Podali sobie ręce. I kiedy lektyka z Jusuffem odjechała, a kadi pomyślał o zatrutym sztylcie, którego nie uŹył, o siłach i środkach, którymi mógłby się bronić nawet przed oskarŹeniami, przed bejem i Regentem, z jego ust padło tylko: „Ale Baba”!

Niemy Murzyn karzeł nie miał pojęcia, kogo tyczy się ten zwrot - samego herszta, chytrego Jusuffa,

czy nie znanej mu osobiście DŒamilli?

## KAPCIUSZEK

Sala była obszerna, ostrołukowe okna wpuszczały potoki letniego słońca, które oświetlały nie tylko komnatę i królujący pośrodku stół - rozległy, rzeźbiony, monarszy - ale przede wszystkim wyniosłą postać Regenta, ze szczególnym uwzględnieniem najjaśniejszego palca, który wskazywał dokładnie sam środek stołu. - Co to jest, do kroćset?! Co to jest?!

Chuderlawy, ogłupiały męŒczyzna w zmiętoszonej kamizelce i niechlujnej peruce z harcapikiem uniósł zaczerwienione oczy, ale nie rzekł nic.

- No, przecieŒ pytam - powtórzył Reiner tonem, w którym zachęta łączyła się z groźbą, niczym płaszcz gronostajowy z purpurową podszewką.

- Mniemam, Œe but - rzekł zastrachany męŒczyzna. - Na oko męska czterdziestka dwójka.

- But? Raczej kajak, moje nieszczęście i hańba! A pan jesteś tego nieszczęścia głównym sprawcą!

- Ja? - Chudzielec zadygotał.

- Chyba wyrażam się jasno, precyzyjnie, po naszymu!

Język amirandzki, acz na wskroś indoeuropejski, nie obfituje w rzeczowniki.

Owszem, zachwyca bogactwem przymiotników - istnieje na przykład osiemnaście synonimów terminu „wiernopoddańczy” - natomiast w wypadku nazywania rzeczy po imieniu zachowuje godną podziwu powściągliwość. Tak więc słowo „mąŒ” oznacza nie tylko męŒczyznę, małŒonka, wojownika, ale równieŒ (któŒ z nielingwistów by przypuścił) czterokołową machinę obłęŒniczą, rodzaj gąsiora na białe wino, popularny gatunek pelikana, tłuczek do mózdzierza plus sto czterdzieści pięć innych rzeczy.

Analogicznie Amirandczyk nie rozrŒnia pojęć: „legenda”, „kronika”, „podanie historyczne”, określając to wszystko jednym słowem: „baŒń”.

Nic więc dziwnego, Œe historię pisują tam baŒniopisarze. PrzewaŒnie krajowi, chociaŒ co pewien czas poprzez dziurę czasową Œciąga się autorów zagranicznych, importuje bez względu na koszty, albowiem wówczas moŒna tworzyć historię na zasadzie antycypacji. Działając dziś, moŒna wiedzieć, co przyniesie jutro.

Sę w tym, Œe bywają baŒniopisarze-pedanci. To znaczy, znając przyszłość twierdzą, Œe mimo jej poznania nie da się juŒ nic zmienić, co sprawia, Œe bohaterowie dziejów stają się jedynie marionetkami fatalistycznego losu.

Jak ma czuć się władca, który wie, Œe cokolwiek by zrobił, zostanie następnego dnia zaszlachtowany przez swych ulubionych gwardzistów? MoŒe najwyŒej w łeb sobie palnąć lub salwować się ucieczką, podstawiając na swoje miejsce sobowtóra, aby zgadzała się dyktowana historyczną

koniecznością rotacja na najwyższym szczeblu, a fizyczny osobnik - tu Regent (od tego momentu prywatny obywatel) - pozostał cały i zdrow...

Nawiasem mówiąc, baśniopisarze przeważnie bronią się przed szczególną konkretyzacją dziejów. Nie chcąc narażać się na gniew suwerenów, przepowiadają przyszłość enigmatycznie, mimo, że znają ją doskonale (choćby otrzymując via dziury czasowe i państwa ościenne dokładne relacje z lat późniejszych).

Są te jednostki, których przepowiednie brzmią, niestety, jednoznacznie.

Tak było w przypadku anonimowego baśniarza i dynamicznego Regenta Reinera.

Otóż czytając pewną pracę pochodzącą z konfiskaty druków przemycanych (która później weszła w skład kanonu braci Grimm), Reiner natrafił na epizod dotyczący epoki, a głównie jego osobiście. I gniew straszny nim targnął.

- Gdzie mieszka ów baśniopisarz? - zapytał Naczelnego Inwigilatora, tupiąc nogami w posadzkę z drzewa sandałowego.

- Nasz resort ustalił, że w Dolnej Bawarii... zresztą można to poznać po rodzaju sztów - rzekł oberpolicjant.

- W jakiej epoce?

- W pierwszej połowie XVIII wieku.

Regent spojrział na relatywny kalendarz. W Amirandzie upływał akurat 1410 rok nowej ery, choć w bardziej zapóźnionych prowincjach trwało jeszcze o wiele głębsze średniowiecze.

- Możemy go stamtąd wydobyć?

Inwigilator zastanowił się.

- Najbliższą czasem jest prowincja Messuria. Podążając stamtąd starym szlakiem przemycników, można via Kapadocję i Transylwanię dostać się w historyczne pobliże, a za Wiedniem złapać dyliżans i w trzy niedziele dotrzeć do Ratyzbony, a stamtąd krok jeno.

- Dostarczcie mi go duchem, żywego i zdrowego, zanim mnie szlag trafi!

No i dostarczono. Porwano z własnego ukwieconego ogródka i narzuciwszy na łeb worek, uwięziono w mroczne czasy amirandzkiego średniowiecza. Droga była ciężka, w Bohemii pomyłono szlak i dopiero widok obozowisk rzymskich uświadomił im, że nie tędy droga. Świat najeżony jest dziurami czasowymi jak ser szwajcarski, tyle że prześliznąć się przez nie umieją jedynie nieliczni, a i siły wyższe czuwają, aby nikt nie wpadł na ryzykowny pomysł zgładzenia własnego ojca w jego dzieciństwie.

Baśniopisarz przeżył wszystkie stadia koszmarnego strachu, stracił blisko dziesięć kilo wagi oraz

wszelkie nadzieje powrócenia do swego bawarskiego ogródka, milej Trudy i dzieciaków. W głowie nie mieściło mu się, że wszystkiemu winien był spoczywający na stole regenckim ordynarny, rozdeptany kapec, umazany od spodu lepikiem.

-

Czym wobec pana zawiniłem? - Reiner nieoczekiwanie wziął struchlałego literata pod pachę gestem pełnym przyjaźni. - Jestem dobrym władcą Szynnej, szczęśliwej krainy. Mój kraj obfituje w tysiące pięknych panien, szlachetnych, powabnych, intelektualnie rozwiniętych, a pan mi każe poślubić jakiegoś kocmołucha z gminu. Złośliwość to czy perwersja?

Baśniopisarz zrozumiał, palnął się w czoło.

- Ach, więc to pan jest tym księciem...

- Regentem w stopniu monarchy, ale mniejsza o tytuły. Wszystkie szczegóły, a także horoskop astrologiczny wskazują, że to mnie miał pan na myśli w swojej twórczości. Opis pałacu, mych przymiotów to wszystko zgadza się w najdrobniejszych szczegółach.

To chyba dobrze.

- Tylko na razie.

Baśniopisarz przyjrzał się uważnie Reinerowi. Regent nie był stary, ale trudy panowania, dworskie uciechy i niehigieniczny tryb życia postarzały go o dobre dziesięć lat.

W tej chwili zaś wyglądał na własnego ojca.

- Zaczęło się na tym nieszczęsnym otwartym balu. Zwróciłem uwagę na pewną nieznaną pannę, nawet niebrzydką, dość luksusowo ubraną, która podpierała filar.

Zaimponował mi jej dragoński wzrost, poprosiłem do tańca...

Monarcha należał do kurdupli, a więc upodobanie do kobiet drabin nie powinno nikogo dziwić.

- Przetńczyliśmy jeden taniec - kontynuował relację. - Nie było to najprzyjemniejsze uczucie, panią miała czerwone ręce, dwa razy większe od moich, potężne stopy, śmiała się tubalnie, a spod wykwintnych perfum przebijał zapach stajni, obierek ziemniaczanych, kapusty i parę innych... Kiedy poleciłem memu majordomusowi wywiedzieć się, kto zaczął, dziewczyna zniknęła, a uciekając pozostawiła na świeżo malowanych schodach ten oto kapciuch... Oczywiście, moja policja ustaliła jej tożsamość. Jest to pasierbica pewnej obywatelki ziemskiej, nawiasem mówiąc, matki dwóch fajnych panien, które nie raz uczestniczyły we dworskich baleczkach... Badając rzecz dalej, dowiedziałem się, że ową dryblasową sierotą opiekuje się z dystansu pewna wdowa podejrzana o praktyki czarodziejskie (niestety, inkwizycja nie posiada konkretnych dowodów). Owa kobieta, przezywana Dobrą Wróską, jest - moim zdaniem - autorką intrygi, ona dostarczyła szaty, powóz... Oczywiście, nadal są to tylko podejrzenia. A zresztą, pal sześć czarownicę! Zaprosiliśmy pana do nas z krótką, roboczą, przyjacielską wizytą, aby dowiedzieć się, jak mam się z tego wyplątać? Moi

doradcy twierdzą, że wprawdzie to moje dzieje opisywał pan w swym dziele, ale... jako autor mógłby pan pokusić się o korektę.

- Jestem bezradny - baśniopisarz rozłożył ręce. - Scenariusz został napisany, powielony, funkcjonuje w tradycji... Zresztą, proszę przyznać, czy historia nie jest urocza?

- Pan kpi! Nie mam w sobie inklinacji chłopomana. Język i maniery tej wieśniaczki razi mnie.

- Mogę poświęcić Waszej Miłości *Pigmaliona* Shawa na dowód, że i Kopciuszek jest do przerobienia na damę. Oczywiście z czasem, po ślubie.

- Ja się mam z nią oświecić?! - W głosie Reinera zabrzmiały tony histeryczne. - To przecież straszne!

- Ale jakie demokratyczne!

Regent spurpurowiał, śmiały mu nabrzmiały.

- Jestem księciem absolutnym! - wrzasnął. - Moja monarchia jest autokratyczna.

Zostałem wychowany w duchu reakcyjnym, konserwatywnym, pełnym przesądów klasowych.

Zresztą, to nie wszystko. Pal sześć przesady i estetykę, biedactwo można będzie wyszorować. Ale tu chodzi

o

rację

stanu.

Interes

kraju

przemawia

za

moim

mariażem

z świątą Rurytańską.

- To też obrzydliwy babsztyl!

- Ale uroku dodają jej pieniądze, oddziały zaciężne i flota... Nie mogę równie

lekcewaŝyć opinii mej Rady Przybocznej, knowaŝ mego brata, który juŝ w propagandzie szeptanej oskarŝa mnie o lewicowe ciągoty. Drogi literacie, czy ci się to podoba, czy nie, zgromadzę dowody, ŝe podstawienie mi Kopciuszka jest elementem antymonarchistycznego spisku określonych sił z tak zwaną Dobrą Wróŝką na czele.

- Moŝe pan tak postąpić, ale i tak oŝeni się pan z Kopciuszkiem. Arystokratyczne wargi Regenta pobielaały, waaiki zjeŝyły się, a spomiędzy perłowych zaałków wybiegło krótkie i proletariackie:

- A gówno!

Po czym klasnał w wypiełgnowane dłonie i polecivszy odstawienie baśniopisarza do wieŝy, siadł pisać zaręczynowy sonet dla ŝanety Rurytaŝskiej...

\* \* \*

Los jednak chcał inaczej. Dwa tygodnie potem ŝaneta Rurytaŝska zesła z tego padołu na złoŝliwą kolkę, natomiast w wyŝcigu o rękę Armandy z Nimfanii ubiegł Reintera piękny i bogaty ksiąŝę Lessyjski. Regent w furii wypłazował połowę korpusu paziów, po czym postanowił

poszukać płałnych rozrywek celem ulŝenia swym troskom i chuciom.

Zaufany giermek zawiódł go do wyjątkowo podłego, acz nie rzucającego się w oczy lupanaru

„Pod Kogutem i Tęczą”.

Reiner czekał doŝć długo. Zdołał przerzucić cały bogato iluminowany folder in folio zawierający mendel wszeteczeństw.

Mroczno było w alkwie, toteŝ gdy nadeszła coŝ niewaałpliwie płci przeciwnej, w skąpy peniuar ubrane, Regent skoczył jak jego dziad Urbanus podczas historycznej szarŝy w Wawazie ŝwistaków, tyle ŝe jeszcze z większym animuszem. Ledwo jednak splół się z białogłową, zapłoneły wszędy ŝwiatła i tłum wypełnił alkwę. Tłum zdecydowanie ludowy, o twarzach zawziętych, wyposaŝony w sierpy, młoty, cepy i inne ŝniwne akcesoria...

- Haŝbi mnie, haŝbi! - krzykneła dziewczyna. - Mnie, dziecię ludu!

- Dziecię ludu! - powtórzył chór i krąg jeszcze się zacieŝnił, a z nie ogolonych gęb wyzierało tyle determinacji i klasowej nienawiŝci, ŝe Regent stracił dotychczasowy rezon...

- Ale ja za... zapłaciłem - wybałał. - Proszę pani... - w tłumie wypatrzył krągłą postać bajzel-mamy.

- Nie ma ceny za niewinnoŝć - odparła chytrze niewiasta, ujawniając krótką inkrustowaną pałeczkę wróŝki.

- Pomsty, pomsty! - zakrzyknełi ludzie z dalszych rzędów, nie mogący docisnąć się do scenki owego zaimprovizowanego live-show.



Reiner rozejrzał się przerażony, nigdzie jednej przyjaznej twarzy, nie mówiąc już

o giermkach, gwardzistach czy choćby konfidentach.

- Ja bardzo przepraszam... ale czy 345 punkt paragraf 22 regulaminu regenckiego nie mówi o prawie pierwszej nocy?

- Owszem, ale wobec poślubionych mężatek, a to dziewczę niewinne - odparowała Wróška.

- Czy to nie wszystko jedno?

- Nie! - padła odpowiedź, a wspierał ją tumult.

Ręce wzniosły się do ciosów. Reiner zamknął oczy. I wtedy uczył, jak coś miękkiego przytula się do niego.

- On nie zrobił mi nic złego - usłyszał znajomy głos. - On mnie kocha i się ze mną ośieni...

Prawda?

- A co tu robił? - zapytało paru napastników spokojniejszym już tonem.

- Przymierzał mi obuwie, które zgubiłam przed kilkunastu dnia mi... - Na dowód Kopciuszek wydobyl spod łoża odnośny kapeć. - Prawda, Reinerku?

Regent nie odpowiadał, zemdlął.

\* \* \*

Nie da się uciec przed losem, bo ziemia jest okrągła - mawiają w oświeconych kołach Amirandy. Już nazajutrz Reiner poślubił Kopciuszkę, bo słowo monarsze jest słowem, a ponadto doszedł do wniosku, że z ludem lepiej nie zadzierać. Zresztą, miał nadzieję na rychłe uzyskanie rozwodu od papieża, z którym łączyły go niezłe stosunki.

Nie docenił Kopciuszkę. Dziewczyna stanowiąca pionek w rozgałęzionym spisku, w którym uczestniczył i brat Reiner, i paru ministrów, i pseudowróżka, wykołegowała wszystkich.

Skutecznie grając rolę kretyńki-wieśniaczki, uspiła czujność stron. Najpierw swym ludowym pochodzeniem skokietowała masy, aby w odpowiednim momencie mocniej ująć je za mordę. Później wyeliminowała dworaków. Brat Regenta otrzymał odległą placówkę w Alergii, ale tam nie dopłynął (przypadkowo okręt był dziurawy), Dobra Wróška poszła na emigrację (dla dwóch niepospolitych kobiet Amiranda była za mała), na koniec Regent umarł na własną prośbę czy też ze względu na stan zdrowia, najadłszy się przez pomyłkę arszeniku.

A potem rozpoczęły się samodzielne rządy Rozamundy I, która nieoczekiwanie dorównała sławą najwybitniejszym królom owych czasów. Wrodzony spryt chłopski łączyła bowiem umiejętnie z nabytą bezkompromisowością. Kochała się w zbytku, sztukach pięknych i filozofach, budowała

uniwersytety i szpitale. W czasie długotrwałego panowania otruła wprawdzie około tysiąca osób, wszystkich jednak dla dobra państwa. Z biegiem czasu nabrała naprawdę królewskiego wyglądu, tak że biografowie słusznie nazwali ją skrzyśłowaniem Junony z Minierwą na bazie Wenery.

Co się tyczy baśniopisarza, nie opuścił on już lochów zamkowych, choć do końca życia traktowany był, jak przystało na internowanego intelektualistę, w rękawiczkach. Nie mógł

jedynie pisać. Dlaczego? Rozamunda, z którą spotkał się parokrotnie w cztery oczy, wyjaśniła powód nieobejmowania go amnestią i przydziałem papieru:

- Wy, literaci, jesteście zawsze perfekcjonistami. Zawsze, jeśli wam się pozwoli, poprawiacie dzieła. A tymczasem stara wersja historii Kopciuszka jest tak dobra, że nie widzimy powodu cokolwiek w niej zmieniać.

## ŚWIATŁO I WDZIEK

Księżyc srebrzy dachy ponad zaułkiem. Cienie cyprysów układają się niczym zastęp poległych olbrzymów, galeryjka balkonu wynurza się z mroku, faluje firanka. Młode, energiczne ręce chwytają występy muru, stopy znajdują oparcie na niemal gładkiej ścianie. Gdzieś wyje pies. Hałas w uliczce czy tylko łomot serca...? Już, już poręcz, ostatni wysiłek. Z wnętrza komnaty westchnienie, a może tylko przeciągnięcie. Szept przybysza:

- Roma, Roma... Jesteś tam?

- Jestem i czekam, Juliuszu.

Trawa między kamieniami płacze rosą, jakby doskonale znała zakończenie...

\* \* \*

Od niepamiętnych czasów wstrząsała Amiraną zadawniona waśń rodowa. Dokuczliwa jak drzazga i jątrząca jak propaganda ościennej Erbanii. Nikt nie pamięta, jak się zaczęło. Czy w czasie wędrówek ludów w V stuleciu Mon kolaborował z najeźdźcami, a Cap nie, czy też

w trakcie krótkotrwałej fali zoroastryzmu jedna familia postawiła na Ormuzda, a druga na Arymana - dziś trudno ustalić. W każdym razie epoki mijały, dynastie wstępowały i spadały z tronu, a konflikt trwał.

Od kilkuset lat zwaśnione rodziny wyrzynały się nawzajem, polując na się: a to z naganką, a to na zasiadkę, a to z psami, a to za pomocą zasadzek. Jeśli Monowie stawiali na postęp, Capowie opowiadali się za ancien regimem, kiedy pierwsi przechodzili do obozu reform, drudzy lądowali na żołdzie ościennych mocarstw.

Owszem, bywały w waśni przerwy: kiedy wśród żywych zostawały tylko kobiety z dziećmi przy piersi. Trzeba było wtedy czekać, aby wyrosło nowe pokolenie i konflikt mógł

wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Szczególne kłopoty zdarzyły się na początku panowania regenta Remigiusza; ojcowie rodów mieli wówczas po pięciu synów w wieku do vendetty sposobnym, co pozwoliło przez ponad rok nie próżnować grabarzom, poetom, Surnalistom, a także potępiającym zasady odwetu kaznodziejom.

Atoli, kiedy dokonano już ostatniego pochówku (patriarchowie rodziny zatłukli się kosturami podczas przypadkowego spotkania w dniu św. Zyty podczas sumy), na placu boju, obok szerokiego zastępu wdów, pozostało jedynie dwoje nieletnich potomków: Roma Cap i Juliusz Mon.

Nie muszę udowadniać, jakie straty z powodu późniejszego wieloletniego przestoju poniósł przemysł pamiątkarski, hotelarstwo (w dobrych czasach turyści ściągali gromadnie, aby śledzić krwawe zmagania), poszli z torbami rusznikarze i płatnerze, spadły ceny na pergaminy z serii kryminalnych, słowem, nastały lata chude jak ser (po angielsku sir). Siedem chudych lat!

W onym czasie najchudszy z sirów był Leonard, starszy donosiciel, pierwsze ucho Regenta. Leonard był tak chudy, że potrafił się wkręcić wszędzie i pozostawać nie dostrzeżony aż do chwili, gdy zabrał głos. Ale przeważnie nie zabierał.

W pewne majowe popołudnie poprosił o posłuchanie u władcy w sprawie pilnej i nie cierpiącej zwłoki. Spotkali się w altanie mauretańskiej. Leonard ukląkł, trochę z uszanowania, a trochę dlatego, że o dwie głowy przewyższał monarchę, i czas jakiś szeptał zawzięcie.

- No, to koniec - przerwał w którymś momencie Remigiusz.

- Niewątpliwie koniec - zgodził się Leonard.

- Ale czy może być?

- Może być.

- I co teraz?

- Nie wiem.

Myślenie nie należało do najmocniejszych stron Regenta. Ale i on doskonale rozumiał

powagę sytuacji. Małżeństwo dwojga młodych, pochodzących z wrogich dotąd rodzin, mogło prowadzić do destabilizacji Amirandy. Groziło chaosem i anarchią. Kryzys turystyki można by jeszcze przeboleć, ale czym załatać deficyt u królewskich bookmacherów? Dotąd zakłady, kto kogo i w jakim stosunku, stanowiły cenną pozycję w budżecie. Yendettolizator ściągał z rynku nawis inflacyjny, a nadto budował obiekty sportowe, jak to gimnazjony, hippodromy, termy i więzienia.

Poza tym absorbował umysły - ludzie zajęci waśniami Monów i Capów nie wtrącali się do polityki, zostawiając rzecz fachowcom, natomiast Heroldia Naczelną zawsze na uzasadnienie nieurodzaju, pomoru drobiu, zarazy czy zawalenia akweduktu miała gotowe wytłumaczenie i winowajcę - waśń!

A teraz banalnie przy ołtarzu, w kurzawce z dmuchanego ryśu miało się to wszystko skończyć?

- Czy

ta

para

szczeniaków

nie

orientuje się, jak

ich

nie

przemysłany

krok komplikuje nam wszystkim życie?! - wybuchnął Remigiusz.

- Są zakochani i głusi na resztę świata.

- A może ojciec Laurenty mógłby przemówić im do rozumu?

- Ojciec Laurenty nie przekonałby nawet własnej córki, gdyby miał. W czasie jego kazań nawet pobożne obrazy zwykły ziewać.

- A matki wdowy?

- Udają, że nic nie wiedzą, ale w skrytości sprzyjają młodym!

Zrozpaczony „monarcha zastępczy” począł w namyśle trzeć czoło i przetarłby je niechybnie na wylot, ale nagle oświeciła go nowa myśl.

- A gdyby jakiś gładysz, specjalista od podrywania, uwiódł Romę?

- Nie taka ona głupia. Zresztą, swoje już w życiu przeszła, a teraz jest naprawdę zakochana.

- Swoje przeszła? Przecież ona ma dopiero czternaście lat.

Donosiciel zaśmiał się cichutko:

- Wasza córka ma trzynaście i gdybym się nie krępował z powtarzaniem...

- Słucham?

- W koszarach gwardii mówią o niej „głębokie gardło”.

- Wiem, przepięknie śpiewa...

RównieŜ próba uwiedzenia Juliusza spaliła na panewce. Poza Romą młody człowiek kochał jedynie matkę (ale teŜ bez przesady). Leonard z upowaŜnienia władcy dwoił się i troił. Raz uŝpił dziewczynę. Sądził, Ŝe na ten widok jej ukochany popełni samobójstwo.

Daremnie -Juliusz studiował medycynę i błyskawicznie ocucił wybrankę zastrzykiem z kofeiny. Jedynym efektem było przyspieszenie daty ŝlubu.

W kręgach dworu powiało grozą. PowaŜnie zaczęto rozwaŜać, czy nie dokonać na Juliuszu skrytobójstwa, ale Roma nie miała krewnego, który nadawałby się na partnera do spisku.

Nie pozostawało więc nic innego, jak przyjąć plan wykonany przez Leonarda....

\* \* \*

Księżyc srebrzy dachy poza zaułkiem. Smukłe cyprysy, niczym zamarły pochód pątników, zastygły w oczekiwaniu. Po prawie gładkim murze wspina się kochanek... Dziś ma dość wysoko - na skutek złej konserwacji poprzedniego dnia urwał się balkonik i komisja miejskiego konserwatora zabytków zamurowała okienko. NajbliŜszy czynny otwór jest dopiero na trzecim piętrze. Ale czego nie czyni się z miłości. Eros poŝycza skrzydeł. Na wpół

gładki mur wydaje się prawie Jakubową drabiną do nieba. Wychylona dziewczyna gestami białych rączek i falującego biustu dopinguje ukochanego.

- Szybciej, ach szybciej - zdają się wołać otwarte, ale nieme ze względu na konspirację usta. - Wszak za bramą czeka twój wierny koń Piorun, a w cmentarnej kaplicy ojciec Laurenty prasuje stułę... Ach, najdroŜszy!!!

- Idę, idę... Dla ciebie gotów jestem pokonać północną grań Jungfrau - zdają się śpiewać oczy alpinisty.

Nieoczekiwanie pohukuje puchacz! O, chwilo zguby! Ręce wspinającego się tracą przysłowiowy grunt pod nogami. Jeszcze Mon usiłuje chwycić krawędź balkonu, ale obluzowany kamień wymyka mu się spod palców. Krzyk, a właściwie dwa bolesne krzyki splatają się w tragicznym forte w wąskim kanionie zaułka. Po odbiciu się od rynnicy ciało męŝczyzny wykonuje półtorej ŝruby Auerbacha i pada na ziemię, aby tam zastygnąć.

- O, miły mój! - rozdzierająco brzmi z góry sopran niewieŝci - lecę do ciebie i nic nas nie rozłączy...

Gdyby Roma miała skrzydełka jak gaska, to moŜe by wylądowała miękko, ale skrzydełek brak, a nawet trzy spódnice nie zastąpią spadochronu. Jak worek szmat pada obok ukochanego, w bolesnym skurczu przetacza się i zastyga na jego łonie...

Gdzieś nietaktownie ozwały się oklaski, ale zdusiły je pełne oburzenia syki. Audytorium dramatycznego finału miłości, rozłokowane w zaroślach, piwnicach i dachach, wycofuje się w milczeniu, unosząc w sercach dojmujący Ŝal za tak młodo zmarłymi kochankami.

- A mówiłam ci, że się zabijają, tak jak było w folderze - mówi gruba, krzykliwie ubrana Amerykanka do swego wysuszonego męża.

- Ciekawe, czy ich odratują? - wtrąca się do rozmowy Japończyk. - Bo miesiąc temu odratowali...

- Jeśli nawet odratują, to i tak nie wiadomo, czy uda im się połączyć, przeciw-

waż rodzinna... - komentuje turysta z Niemiec.

Wycofujący się tłum przepuszcza pędzącą co koń wyskoczy kolosę pierwszej pomocy reanimacyjnej. Nikt nie zauważa chudego jak Śuraw mężczyzny o gackowatych uszach, który przeciska się pod murem; z ukontentowaniem zaciera rękę.

- Znowu się udało - melduje pół godziny później Remigiuszowi.

- Jak grali? - dopytuje się monarcha.

- Średnio, ale z poświęceniem.

- Rezultat?

- Uraz obojczyka u mężczyzny... z kobietą gorzej, prawdopodobnie pęknięcie wątroby.

Ale za miesiąc będzie wszystko jak należy. Chętnych do tej roli nie brakuje.

Nie trzeba chyba dodawać, że rozmowa dotyczy kaskaderów. Prawdziwi Roma i Juliusz po otrzymaniu obfitego stypendium zostali wywiezieni daleko za granicę, z prośbą, by nie wracali do Amiryndy. Zresztą, jest to raczej nie do wykonania. W warunkach emigracji ich związek po szeregu efektywnych bójek rozpadł się. Juliusz okazał się bowiem zakamuflowanym transwestytą, a Roma - małą drobnomieszczańską historyczką. W kłótniach wypominano sobie wszystkich poległych przodków oraz profesję mamusi, czego Julek nie zdzierżył. Obecnie Mon przebywa prawdopodobnie w Południowej Rurytanii, a Capówna w Etanii.

Natomiast w historycznym zaułku co miesiąc odbywa się w różnych wariantach misterium miłości i romantyzmu, a wielu „konspiracyjnych widzów” śledzi je ze stałą nadzieją, iż może tym razem młodym się uda.

W protokołach Leonarda impreza, rozgrywająca się zawsze podczas pełni księżyca, nosi kryptonim *Światło i wdziałko*.

## **SZKLANY DOŁEK**

Działo się to w czasach, kiedy całej bajeczności alternatywnego świata nic nie zagrażało ze strony światopoglądu laickiego. Zanim jeszcze materializm nie przetrzebił

tysięcznych rzesz krasnali, nie zatrul leśnych źródeł, z których tak lubiły korzystać najady i driady. Zanim tablice „Zakaz kąpielii” nie pozbawiły środków do Śycia rozlicznych topielic i centaurów, a

jednorośców, gryfów i harpii nie wylapano do ogrodów zoologicznych.

Czy ktoś potrafiłby oddać cały urok ówczesnej Amirandy, owych zamków, piękniejszych niż fantasmagorie Ludwika Bawarskiego, zamieszkiwanych przez duchy i wampiry; kopalnianych sztolni, zaludnianych przez gnomy i olbrzymy; rozstajów przycementarnych, gdzie umarli zwykli schodzić się na plotki z żywymi; jaskiń, przed którymi wygrzewały się leniwie ostatnie dobroduszne jaszczury, nieświadome, że ich jurność skończyła się wraz z jurą.

Panowanie Remigiusza można by nazwać szczęśliwym. Jego doradca Leonard podsuwał

mu w każdej sytuacji dowcipne rozwiązania, które pozwalały robić ludziom wodę z mózgu, a w przypadku kłopotów - zwać winę na kogoś innego.

W jednej sprawie jednak tandem rządzący był absolutnie bezradny: królowa!

Jedynaczka!

Remigiusz nie potrafił zliczyć nocy przesiedzianych bezsennością z powodu Rosanny.

Z wypitych na przemian z neospazminami kaw można by stworzyć dwa równej wielkości jeziora. I wszystko na marne.

Rosanna piękna nie była. Ale uroda, kiedy jest się dziedziczką równie wspaniałej krainy jak Amiranda (a była to monarchia niemała, zważywszy, że już w średniowieczu potrafiła zadłużyć się na pięć bilionów kop groszy rurytańskich), naprawdę nie stanowi problemu. Zresztą najgłupszy nawet malarz potrafi przy odrobinie tempy i wyobraźni wyprostować i skrócić najjaśniejszy (bo błyszczący) nosek, usunąć zbitego zęba, wyrównać łopatki, podciągnąć biust, by wyglądał

jak jabłuszka jej kuzynki Królowy Disney-Śnieżki... A co się tyczy nóg... Cóż, królowy portretuje się zazwyczaj w długich sukniach bądź kadruje w planie amerykańskim.

Problem polegał na czymś zgoła innym.

Rosanna lubiła się puszczać. I to od dziecka.

Zacząło się niewinnie, od zabaw w doktora z korpusem paziów. Potem jednak grono poszerzyło się o giermków, rękodajnych, szwajcarów, odźwiernych, kucharzy, koniuszych, gwardzistów, pretorianów, charge d'affaires krajów ościennych, delegatów udających reprezentacje społeczeństwa, przekupniów, turystów, mnichów z zakonu luizytów, kocmołuchów podkuchennych, artystów z trup dworskich (z wyjątkiem baletu), heroldów, listonoszy, ogrodników, przypadkowych złodziei - słowem wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zawitali do zamku, przy czym pomysłowość królowy pod tym względem bywała niewiarygodna. Potrafiła

zawsze zmylić pilnujące ją dzień i noc dworki, a

że wygimnastykowana była i drobna, nie stanowiły dla niej przeszkody kraty, czy palisady.

Gzysms, rura kanalizacyjna, dziura stwarzały zawsze sposobną trasę. Potrafiła umknąć z komnat w koszu na bieliznę, w pojemniku śmieciarzy, w torbie listonosza czy pod sutanną osoby duchownej. Przedzierała się przez zapory moralności w charakteryzacji, w zbroi, jako rzeźba, mumia z muzeum osobliwości, oswojony niedźwiedź.

W najgorszym wypadku, kiedy wzmocniono strasze do granic obledu, wykorzystywała dziure po seku czy otwor w odszpuntowanej beczce, w której się zamknęła. Poza tym, jako osoba wesoła i hojna w rozkoszach, miała niezliczoną liczbę wdzięcznych przyjaciół, zawsze gotowych do udzielania pierwszej pomocy.

Jeden tylko zauszniak regencki Leonard pozostawał nieczuły na jej wdzięki, ale sama natura skierowała jego zainteresowania w zupełnie innym kierunku, co sprawiło, że wolny czas najchętniej spędzał, śledząc z wypiekami na chudych, pergaminowych policzkach próby baletu i pantomimy.

W wieku szesnastu lat Rosanna miała już tak zaszarganą opinię, że mimo wspaniałego wiana i widoku na tron nikt nie kwapił się do śniaczki.

Dwór Rurytański zbył emisariusza wykrętem dyplomatycznym, władca Transylwanii na wszelki wypadek wstąpił do klasztoru, a królowa brytyjska miała oświadczyć, że za taką pannę nigdy w ści syna nie wyda, choćby była to jedyna kobieta na świecie.

Mimo obniżenia wymagań emisariusze Remigiusza rychło zrezygnowali z mocarstw i poczęli objeżdżać księstwa dzielnicowe, antyszambrować po rozmaitych alternatywnych Lichtensteinach i Monakach, potem penetrować środowiska diuków, markizów, hrabiów, a nawet baronetów. Reflektantów nadal nie uświadczylbyś... To znaczy, może byliby, ale jaki arystokrata, choćby nawet i miał chrapkę na Amirandę, zgodziłby się ostać pośmiewiskiem świata? A honor w onej epoce stał wyżej niż wszelkie doczesne profity.

- Noblesse oblige! - jak mawiała do swego szpica Noblessa królowna Rosanna w rzadkich chwilach samotności.

Można było tylko współczuć Heroldii Centralnej, która dokonywała karkołomnych interpretacji, dementując opinie na temat księżniczki, na zmianę kokietując bądź

poszturchując korespondentów zagranicznych, którzy i tak swe korespondencje z Amirandy rozpoczynali: *Jak dowiadujemy się ze źródeł niezależnych...* Ten i ów narażał się na chłostę albo karne wywalenie za granicę, ale reputacja Rosanny bynajmniej na tym nie zyskiwała. Przeciwnie, wyolbrzymiano jej sukcesy, posuwając się do złośliwych porównań prowadzenia się królowny i sytuacji gospodarczo-społecznej trapezoidalnego królestwa.

A że zawsze musi być jakieś wyjście, pewnego dnia na pokojach monarszych zjawił się Leonard w towarzystwie architekta, Włocha o zabójczym wąsie i osobliwie krótkich nogach. Ten co rychlej wyciągnął zwój kalek technicznych i pokrótce scharakteryzował swój plan. Inwestycja miała nosić nazwę „Szklana Góra”.

Remigiusz zachwycił się pomysłem, tym bardziej że Leonard sugerował, iż po kilku latach



kwarantanny reputacja królowny się poprawi, miejsce urągłej ciekawości zajmie współczucie dla uwięzionej, a moŜe i sama Rosanna zmieni się, jeŜeli nawet nie w dziewicę, to w dobry materiał na Ŝonę.

- Akceptuję! - zawołał Regent. Ale kiedy architekt opuścił pokoje, zwrócił się do zausznika: - Czy musimy budować Szklaną Górę licencyjną, wydawać cenne dewizy, zamiast zrobić to własnymi siłami, opierając się na krajowej dokumentacji i tubylczej myśli technicznej?

- Jak zwykle ma Najjaśniejszy Pan genialną słuszość!

Budowa miała mieć cztery fazy:

- 1) umieszczenie królowny w epicentrum odosobnienia,
- 2) konstrukcja obiektu,
- 3) rekonesans władcy,
- 4) oficjalne otwarcie.

Inwestycję umieszczono w rejonie dzikim i niedostępnym. JuŜ sama natura miała odstraszać Ŝmiałków. Tylko najwytrwalszym dane było zmierzyć się ze szklarskim arcydziełem.

Na rekonesans Remigiusz i Leonard obrali widną noc czerwcową. Według odręcznej mapki, sporządzonej w jednym egzemplarzu, ruszyli samowtór na teren zakończonej inwestycji.

W tyle pozostawili gwardzistów, a nawet ochronę osobistą. Szli przez gęste oczerety, ostrokrzewy i gaje kaktusowe, aŜ wreszcie dotarli w pobliŜe. Tu zausznik wykazywać zaczął

pewien niczym nie uzasadniony niepokój.

- Nigdzie

nie

widzę

góry,

cholera,

nigdzie

nie

widzę...

MoŜe

zrobili

ją niŜszą niŜ w planach.

- Głupiś, po prostu doskonale ją zamaskowali - roześmiał się Regent.

- Ja tylko tak... - zaczął Leonard, ale urwał i zastrzygł uchem. Gdzieś bowiem wśród zarośli, parowów i głązów zabrzmiał śpiew:

*...Gdzie ci męŜ czyż ni... ?*

- Córuś moja, córuś! - Ucieszył się monarcha, postąpił w przód, a potem krzyknął.

Nogi jego bowiem straciły oparcie, ręce próŜno usiłowały schwycić się kolczastej opuncji.

Doradca pragnął pospieszyć mu z pomocą, ale ledwie zrobił krok, sam wpadł w poślizg.

Krzywizna, zrazu nieznaczna, szybko nabierała spadku niczym olbrzymi tor bobslejowy, przechodząc w olbrzymi, powlekany szkłem lej. Tocząc się, aŜ szły iskry od brylantowych guzów monarszego przydzwiewku, osuwali się w głąb.

- Co to jest, co się dzieje? - skamlał Regent.

- Zdaje się, Őe ci kretyni odczytali plan do góry nogami i zamiast szklanej góry wykonali szklany dołek.

- O, skurczygnaty - jęknął rozdzierająco Remigiusz.

Nie dotarł do samego dna. Monarsze serce nie wytrzymało własnego upadku. Leonard miał mniej szczęścia. Przez następny tydzień stał się igraszką w bezlitosnych rękach królowny.

A potem umarł z miłości, jak:

- Ekipa wykończeniowa.

- InŜynier glazurnik.

- Pasterz, który zaplątał się w poblisze.

- Pustelnik.

- Trójka koniokradów z czwórką koni.

- Poszukiwana banda przemytników piwa z kaktusów.

- Ekipa poszukiwaczy z Regentsburga.

- Ekipa poszukiwaczy ekipy.

- Wycieczka szkolna z Gimnazjum Męskiego nr 5 im. Św. Limeryka.

- Oddział armii zaprzyjaźnionej wracający z gościnnych manewrów.

Zresztą wyliczenie wszystkich, którzy w ciągu tysiąclecia wpadli w dołek kobiety-modliszki, przekraczałoby rozmiar ksiąŜki telefonicznej miasta Chicago.

Nie wrócili równieŜ ci, których kolejne administracje wytypowały do zlikwidowania Rosanny.

Przedsiębiorcza królewna sprawiła bowiem zawód wszystkim, którzy liczyli, Őe kiedyś umrze ze starości... W odpowiednim bowiem momencie urodziła córkę, która przejęła z czasem wszystkie jej funkcje. Potem w sztafecie pokoleń zmieniła ją wnuczka.

Najlepsi agenci w diamentowych rakach opuszczali się na dno leja. I nigdy nie wracali.

Wreszcie w czasach nowoŜytnych zasieki z drutu kolczastego przekroczył agent 1911

„Wunderwaffe”, komórki do spraw likwidacji zagroŜenia seksualnego. Sportowa sylwetka, płowa czupryna, niebieskie, zimne oczy zawodowca.

- Ten to się uwinie... - cieszone się w kołach zbliŜonych.

O losie poprzedników krąŜyły najrôŜniejsze wieści, niektórzy przebąkiwali o kanibalizmie, inni o okrutnych torturach, jakie spotykały śmiałków na dnie.

1911-tka zabrał się do rzeczy metodycznie. Opasany liną i dobrze uzbrojony opuścił się w paszczę Krateru Nienasyenia. Nie było go dzień, dwa. AŜ dyŜurujący przy kołowrocie uczyli trzy charakterystyczne szarpnięcia. Ruszyła z gwizdem machina parowa napędzająca wyciąg.

Po godzinie agent wraz z Rosanną XXXVIII znaleźli się na powierzchni. Komendant komórki do spraw likwidacji zagroŜenia odciągnął asa na bok.

- Miałeś zlikwidować, a nie wyciągać - warknął. - Wiesz, jakie zagroŜenie to spowoduje?

- Nie spowoduje. - Z błękitnych oczu wyzierała skandaliczna pewność siebie.

- W takim razie moŜe wyjaśnisz mi, jak tego dokonałeś?

- Tajemnica zawodowa.

Na Rosannie XXXVIII wyginęła owa zagadkowa dynastia Królewien ze Szklanego Dołka. Wyjaśnienie przyniosło dopiero w 89 lat potem otwarcie archiwów.

Agent 1911 w istocie nazywał się Iwonka i był swego czasu najpopularniejszą w kręgach artystyczno-filmowych lesbijką.

A Szklany Dołek? Postępowe kierownictwo Amirandy przekształciło go w obóz doŜywotniej

reedukacji dla jednostek nieprzystosowanych do baśniowej rzeczywistości.

Oczywiście, można tam również wpaść na własną prośbę.

Ale nie ma już po co.

## TRZECI BRAT

Antek nie lubił chodzić do szkoły. Nawet tej wieczorowej, zasadniczej przyklasztornej, po której można było zostać skrybą, pomocnikiem bibliotekarza, albo nawet wicebuchalterem.

Mimo swych czternastu lat chłopiec wiedział, że społeczeństwo amirandzkie dzieli się na szlachetnie urodzonych (tych w niniejszej historii pominiemy), cwaniaków i frajerów. Do tych ostatnich należał jego ojciec, który szkoły ukończył, kursy korespondencyjne w stolicy też, uczciwy był, a całe życie klepał biedę jako młodszy mincerz w mennicy fałszywych pieniędzy dla potrzeb kontrwywiadu. Niebogaty był też stryj Alojz, który został kopaczem metali kolorowych (z wyjątkiem złotego i srebrnego) i poza trzykrotnym przysypaniem, dwoma wybuchami metanu, pylicą, astmą i egzemą dosłużył się ośmiu rzędów okolicznościowych medali, za które po śmierci Alojza wdowa otrzymała jeno dyplom z Officjum Skupu Surowców Wtórnych.

Jak ostatni kiej urządził się też najstarszy z braci, Frycek, który uwiedziony patriotyczną poezją zgłosił się ochotniczo do armii, lecz zamiast wyruszyć w pole, zajmował się głównie wznoszeniem dzielnicy willowej dla garnizonowej socjety.

Co innego najmłodszy - głupi Bodek - ten wiadomo, że nie zginie. Mimo swych dwunastu lat zdrowo kombinował. A to czatował na łączce za opactwem i zbierał broń porzuconą po nielegalnych pojedynkach, którą odsprzedawał zbójcekim paserom. A to mył

szybki w karetach przy stacji pocztowej, za co nieraz półkoronówkę dostał. Często najmował się na posłańca i prznosił bileciki - ponoć pełne medytacji teologicznych - między winnicami rozdzielonymi klasztorami, żeńskim i męskim. Do pilnowania krów wynajmował sobie zastępcę, Krzywego Józka, któremu jednak nie płacił w gotówce, a jeno podprowadzał

pod szparę w alkierzyku, kiedy siostra Anielka do snu się rozbierała. Krzywy Józek uważał, że robi bardzo dobry interes i pastuchował ze wzmożoną ochotą.

A Anielka? Ledwie miała trzynaście lat, a już chodziła wieczorami do gospody i wracała z rumieńcami na twarzy i twardą walutą brzęczącą w woreczku na podołku. W wieku lat piętnastu została utrzymanką dziedzica Czterech Mostów, później zaś, kiedy strzeliła jej siedemnastka, wyszła za męża za przyjezdnego turystę z Południa i do dziś regularnie przysyła rodzicom daktyle i konterfekty beśowych wnuków.

Antek rozważał nawet, czy nie zmówić się z Fryckiem, gdy ten będzie na przepustce, i nie podkablować Bodka u starych, zanim ten, jak we wszystkich bajkach bywa, nie wymiksuje z dziedzictwa starszych, mądrzejszych i pracowitszych braci. Ba, kiedy z Fryckiem dawało się mówić jeno o broni białej i Syciorysach sławnych amirandzkich dowódców.

- Zobaczycie, przyjdą lepsze dni - powiadał w rzadkich chwilach trzeźwości ojciec. - Świat się jednak zmienia. Słyszałeś, synu, w Rurytanii monarchia stała się konstytucyjną, a w Axarii wybuchła nawet rewolucja. Naukowo-techniczna.

I Antek wierzył. Chodził do szkoły, choć nie lubił.

Tego dnia lekcje katechizmu i wychowania obywatelskiego przeciągnęły się aż do zmierzchu. Toteż Antek wracał z tornistrem pod pachą i duszą na ramieniu.

Ostatnie promienie słońca zgasły za Wzgórzami.

Ruina zamku granicznego wydawała się jeszcze wyższa, jeszcze mroczniej sza. Straszne rzeczy opowiadali o twierdzy w Przełazie. Ponoć IV ordynat Przełazowski zorganizował kiedyś przyjęcie, na którym w wyniku strajku rzeźników zabrakło mięsiwa. Dobry gospodarz polecił

tedy upiec sześć swych kochanek, za co w noc bezksiężycową porwał go szatan, przyjechawszy małą, nie oznakowaną kibitką w otoczeniu sześciu zbrojnych. Niektórzy mówili, że nie poszło o zjedzone niewiasty, które, jak wiadomo, i tak duszy nie mają, a o tajne kontakty zagraniczne wielmożny. W każdym razie nikt już więcej o nim nie słyszał. Duchy zaś świeżo upieczonych potraw błakają się po omszałych blankach, skwierczą na boczku głównej bramy, wyją z zaśniedziałych rzygaczy ryniennych i psują smak jadała we wszystkich austeriach w okręgu siedmiu mil.

Oczywiście zamek w Przełazie można było ominąć, skręcając za mostkiem w prawo i podążając wzdłuż muru cmentarnego, pod którym ciągnęły się w dwóch rzędach mogiły nonkonformistów - jak to wampirów, heretyków, zabójców złapanych na gorącym uczynku oraz samobójców. Pochowani dość niechlujnie, lubili nocką a to przechodnia za nogawicę złapać, a to w łydkę ukąsić, a to pod ziemię wciągnąć.

Antek zadygotał. Znów pomyślał o Bodku i splunął. Jego brat dwunastolatek naturalnie nic z duchów sobie nie robił - stróżowi cmentarnemu dostarczał bimber, a i z upiorami kręcił jakieś lewe interesy. Od strony rozstajów dobiegło wycie wilka. Włosy zjeżyły się na rudym łbie nastolatka. Ostatni list gończy za Wilkołakiem zdjęto wprawdzie sprzed posterunku, gdy potwór urzeczony kazaniami księdza Teofila zgłosił się sam do kruchty po kaganiec i świadectwo szczepienia przeciw wściekliznie, zawsze jednak mógł

pojawić się jakiś nowy. Na wszelki wypadek Antek memlać począł modlitwę do św. Zyty, chroniącej niczym puklerz przed ingerencją zła, kiedy blask od strony wschodnich bagien granicznych uderzył jego oczy.

- O raj! - zawołał chłopak i przyklęknął.

A blask się zbliżał. Nie była to ani luna pośarów, ani spadająca gwiazda.

Najpierw przeanalizował możliwość cudu. Przeciwnie Jagnie, córce listonosza, systematycznie ukazywała się św. Zyta na osiołku, w koronie z niezapominajek i z torbą pocztową u boku. Ale listonoszówna była dziewczyną brzydką jak noc i zarazem - a może właśnie dlatego - szalenie

bogobojną, Antek zasię miał sporo grzeszków, wyliczając tylko z dzisiejszego popołudnia: trzy kłamstwa wobec ojca Teofila, bójkę z kolegami i brak marginesu w nowym zeszycie do algebry, co stanowiło grzech straszny i śmiertelny.

A więc nie cud. Cóż więc innego wchodziło w grę?

Nagle na drodze przed sobą, od strony wsi, posłyszał tupot stóp i wołania kilku ludzi.

Zaraz rozpoznał głos ojca, Bodka i sąsiada. Wszyscy byli niezwykle podnieceni.

- Synu - zawołał młodszy mincerz, zrywając mu czapkę z głowy - doczekaliśmy się!

Mówiłem, że od lat Widmo Postępu krąży po świecie. Dziś dotarło ono i do Amirandy.

\* \* \*

Gnał już siódmą godzinę ścieżkami wśród winnic, miedzami wskroś chudych poletek, mijał gaje oliwek, przedzierał się przez gąszcze jeżyn, dążąc do Białego Przysiółka, dokąd latem przenosiła się ekipa rządząca. Ojciec przykazał mu, by nie szczędził sił, wynajął dlań karłowatego konia oraz wręczył list do Pierwszego Zastępcy Wicelowczego z poleceniem oddania do rąk własnych.

- Nie daj się nikomu wyprzedzić, a spotka cię nagroda, splendor i kariera niechybna. Goń, zawieź wiadomość i niech cię św. Limeryk błogosławi!

Antek nie tracił czasu, odczekał tylko, by matka zrobiła węzełek z wałówką. Sam jedynie skrępował Bodka i dodatkowo uwiązał go do kuchennego stołu, czuł bowiem, że cwany braciszek zechce go niechybnie wyprzedzić, i ruszył w drogę.

Konik padł na pięć stadionów przed pierwszymi zabudowaniami Białego Przysiółka.

Już wśród szpalerów topolowych błyskała sygnaturka na pałacowej kaplicy i niosło się gęganie regenckich gęsi. Antek z Sajem porzucił w rowie martwego towarzysza i puścił się pędem dalej przez grzędy chmielu, grochu, zagony tytoniu. Szybciej i szybciej - aż wpadł

prosto w ramiona straży ogrodowej.

Wierny poleceniom rodzicielskim nie puścił pary przed ciurami, tylko śadał

posłuchania na dworze. Przy okazji wydało się, że ojcowski list ostawił w sakwie przy truchle konia, a gdy doprowadzono go na miejsce, spostrzegł, że tymczasem trupa ukradli.

Na dobry początek Antek dostał więc tylko dziesięć bizunów za tratowanie dóbr stołowych i raz w gębę za pyskowanie straży. Potem zamknięto go w słuśbówce na strychu jednej z oficyn i obiecano, że gdy pan Pierwszy Zastępca Wicelowczego wróci z polowania, chłopak dostąpi ewentualnie zaszczytu rozmowy.

Godziny płynęły. Przez małe, zakurzone okienko więzienia mógł obserwować ruch na dziedzińcu

słuŝbowym, zmiany wart, amory gwardzistów i kuchennych dziewczek, korowód dostawców i dzierŝawców oraz punktualne przyjazdy dyliŝansów pocztowych. Jakoŝ

nadjechał kolejny, pachołkowie rzucili się wypręgać konie, gdy Antek dostrzegł, jak jeden z ciasno ułoŝonych na dachu tobołków poruszył się, wyprostował, potem spuścił na ziemię.

Musiał to być karzeł, bo wzrost miał nikczemny. Rozejrzał się czujnie po dziedzińcu, potem wypatrzył lukę między jednym posterunkiem a drugim i puścił się pędem między wozownią a stajnią w stronę pałacu. Sposób, jakim wzbijał bosymi piętami kurz, coŝ Antkowi przypominał...

A potem pomyślał, ŝe przywiązanie kogokolwiek do nogi stołu, który zawsze moŝna podnieść, jest pomysłem naprawdę słabym.

- No i pięknych czasów doczekaliśmy! Uwaŝaj, jak czeszysz, capie! - Pięść Regenta Ruprechta III wylądowała na bladym licu fryzjera.

- Uprzejmie dziękuję za pouczenie - rzekł z przyklękaniem balwierz. Popołudniowa toaleta władcy miała się ku końcowi. W altanie ŝród oleandrów i rododendronów obok słuŝby znajdował się nadto: Wielki Marszałek, Podskarbi, Minister Policji oraz Trefnisia, faworyta królewska, nazywana równieŝ „pierwszym języczkiem Białego Przysiółka”.

Trefnisia poza innymi przymiotami miała i ten, ŝe była wyjątkowym przypadkiem błazna-kobiety. Zmaskulinizowanie tego zawodu jest o tyle dziwne, ŝe coŝ przyjemniejszego jak poŝmiać się i poigrać pospołu. A jednak Chico, Stańczyk, Yorick mogą zaŝwiadczać, ŝe stanowisko to okupowali głównie męŝczyźni. Inna sprawa, ŝe nawet obdarzony nadzwyczajnym

poczuciem

humoru

władca

nie

ŝcierpiałby

kpinek

z

ust

kobiety.

Toteŝ

Trefnisia

swą

kariere

zawdzięczała

taktyce,

kpiła

bowiem

z wszystkich z wyjątkiem Regenta.

- Jestem wściekły! Jestem wściekły! - zawołał jeszcze raz Regent i zatupał

gniewnie

bucikami w podłogę altany. - „Postęp pod bramami”, co za skandal! Gdzie był mój wywiad i kontrwywiad, za co płacę astrologom i chiromantom? Nikt nas nie uprzedzał, nikt nie ostrzegł...

Minister Policji miał na końcu języka, Œe tych, co przestrzegali, w samej baszcie północnej znajduje się ze trzy setki, a jego słuŜby wyłapują właśnie ostatnich sygnatariuszy manuskryptu 29, ale Œe nie naleŜał do ludzi gadatliwych, poprzestał na krótkim westchnieniu.

- Z przedziałkiem czy do góry, Najjaśniejszy? - zapytał, odczekawszy wybuch furii, golibroda.

- Rób jak chcesz! No i co wy na to, panowie?

- Póki co, nie powinniśmy się denerwować, zdrowie przede wszystkim -

oświadczył Wielki Marszałek, zwany przez niektórych Małym Kunktatorem.

- Ale on stoi i puka - warknął władca - jeśli mu nie otworzymy, sam wlezie.

- Ja bym nie demonizował - powiedział rozlewnie Podskarbi. - I co, jeśli nawet wsadzi nogę w drzwi? Postęp u nas się nie przyjmie. Komu to potrzebne? Społeczeństwo polubiło stagnację, nam teŜ z nią dobrze. A przyszłość to wielka niewiadoma, zmiany... być moŜe, nawet personalne...

- W technice wojskowej - rzekł Marszałek - proszę bardzo. Osobiście uwaŜam, Œe kusza zawsze wygra z armatą, ale jeśli ktoś chce działa, niech działa! Ale juŜ co do architektury... mam wątpliwości. Gotyk odpowiada duszy naszego społeczeństwa, a renesans to takie fiu-bódzium.

- MoŜe by powitać postęp transparentami: „Gotyk tak, renesans nie” ? - zachichotała Trefnisia i wypięła tyłeczek do najjaśniejszego klapsa.

- Tak, a przy okazji przyznać się, Œe coś takiego jak renesans istnieje, mimo Œe od lat dementujemy



wszelkie przecieki na jego te mat - wybuchnął Minister. - A przecieŜ

renesans to nie tylko architektura, to - proszę mi wybaczyć uŜycie tego słowa w dobrym towarzystwie - reformacja...

- Przepraszam, Ŝartowałam - pisnęła Trefnisia.

- Istnieje niebezpieczeństwo, Ŝe jeśli nie zaakceptujemy postępu oficjalnie, inicjatywa moŜe nam się wymknąć z rąk - głoŝno za stanawiał się Podskarbi. - Ludzie mogą zacząć uprawiać go skrycie, więcej powiem, ja ich znam, będą sobie nielegalnie pędzić postęp.

- Niech spróbują! - warknął Minister.

- W Erbanii spróbowali i jest efekt: republika. Poza tym nie moŜemy oŝmieszać się przed światem.

- No, to moŜe by się oŝmielić, przeŜegnać i wpuścić? - wtrąciła się błazenka.

Amirandcy prominenci połapali się za głowy.

- Ty wiesz, co by się porobiło?! - zakrzyknął policjant. - Po pierwsze, nikt z nas nie utrzymałby się dłuŜej niŜ rok na stanowisku...

- A po drugie?

- Po pierwsze jest juŜ wystarczającym argumentem, aby widma nie wpuszczają! Nasze Ŝredniowiecze trwa ponad szeŝćset lat. Szeŝć wieków, moŜe nie najlepszych, ale trwałych!

Nasze instytucje są, zdaniem niektórych, anachroniczne, jednak sprawdzone, a postęp od razu zapytałby o celowość choćby stanowiska Regenta, które - co tu kryć - trochę się przeŜyło... Znaczy, tak twierdzą nasi cynicznie sprzedajni przeciwnicy! Postęp to jakby remont, a wiecie, są budowle, w których wyciągnięcie jednej cegiełki zmusza do wymiany następnej, potem następnej...

Uczyniła się cisza, w której słychać było jeno łomot serc i trzask nielicznych, mocno aktualnie opracowanych szarych komórek Regenta...

- A gdyby przegonić go oręŜnie? - zapytał Marszałek. - JuŜ samo zjawienie się tego widma w pobliŜu, jego nieprzyjemna bliskość moŜe mieć karygodne następstwa. Niewolnicy w koloniach tylko czekają na okazję buntu, wśród niesfornych Ŝaków zawsze tli się zarzewie niepokoju. Koszty naszego pobłaŜania mogą okazać się straszne. Ster nawy państwowej mógłby przejść w nie przygotowane ręce demagogów! Nasza monarchia jest, jaka jest. Zmiany mogą doprowadzić do tyranii i despotyzmu lub chaosu i anarchii. Skończyłem! -

To rzekłszy sapnął, gdyŜ taka porcja intelektualizmu stanowiła miesięczną dawkę moŜliwą dla wojskowego.

- Ale z postępem jeszcze nikt nie wygrał - oponował Podskarbi - trzeba się z nim pogodzić i tylko neutralizować jego następstwa. Poza tym troszkę nowości by nie zaszkodziło. Nasza gospodarka,

cóŜ... W alchemii jeszcze wiek temu przodowaliŝmy, a dziś zamiast kamienia filozoficznego potrafimy zrobiÊ najwyŝej węgielny, i to jeno z piÊcioletni gwarancj.

- Takie mówienie to tylko woda na wiadomy młyn! - krzykn Minister. - Moim zdaniem, trzeba powiedzieÊ postêpowi twardo nasze stanowcze nie! A poufnie daÊ do zrozumienia, Ŝeby troch zaczekaÊ.

- Wszystko to kiepsko wyglda - rzekÊ ogldajc w lustrze gotow fryzur Regent.

- Dajcie go do czesania ogonów moim koniom! - dorzuciÊ pod adresem balwierza.

- A moŝe nie bdzie tak źle? - powiedza nagle Trefnisia. - Jeŝli bdziemy wpuszczaÊ widmo postêpu pomalutku, powolutku, na zmian zapraszaÊ i wypraszaÊ, zachcaÊ i zniechcaÊ, unikniemy ryzyka. W koŃcu postêp nie musi byÊ aŝ tak bardzo postêpowy.

Adaptujc go do naszych rodzimych warunków i tradycji narodowych, wyhodujemy sobie nasz postêp konserwatywny...

Minister Policji chciaÊ zarechotaÊ, ale zauwaŝyÊ naraz zmian w licu Ruprechta, ktre staÊo si uduchowione, rozpromienione.

- Ty masz łeb, mała! Sapristi! - wykrzykn hegemon. - Oczywiŝcie, zmieni si par nazw, da nowe opakowania i pozostaniemy zdrowi, chociaŝ postêpowi... Na pocztek przyznamy temu widmu wiz tranzytow. Wpuŝcimy je na miesic i potem podzikujemy. Przeanalizujemy sytuacj i znw je zaprosimy... Dwa kroki naprzd, dwa kroki w tył...

- Przepraszam, Ŝarto... - zaczaÊ Trefnisia, ale zagłuszyły j oklaski dygnitarzy.

\* \* \*

Antka zwolniono o zmierzchu. Pierwszy zastpca Wicełowczego wezwaÊ go do swej kancelarii połoŝonej w jednej z dalszych oficyn. Po drodze naleŝaÊ przejŝÊ rozległy plac wewnętrzny oraz mniejszy placzyk z Prgierzem Objazdowym. ZmierzchaÊo, ale młody poŝlaniec zauwaŝyÊ w dybach jakiegoŝ nieszczęŝnika, ktry broczyÊ krwi ze schłostanych pleców. Antek spuŝciÊ głow, byÊ bowiem młodzicem wraŝliwym na cudz niedol. Wtem dobiegÊ go jkliwy, na wpół dziecinny głosik:

- Braciszku, braciszku!

Nie odpowiedza, ale w duchu zatarÊ rce. Nareszcie Bodeczek si doigraÊ. Złapali go na próbie nielegalnego wtargnicia i ma za swoje.

- Braciszku, wody, wody...

\* \* \*

Pierwszy Zastpca Wicełowczego byÊ suchym drabem w mundurze leŝnika.

- Antek, syn Wincentego spod Przełazu? Pamiętam, kłusowało się tam za młodu, a wasz ojciec mnie zresztą całkiem słusznie zadenuncjował. Rad jestem mu wielce za to, bo dzięki temu trafiłem w ręce właściwych ludzi i dziś... No, ale z czym przychodzisz?

- Ojciec kazał mi powiedzieć, Œe nad naszą granicą...

Antek urwał, gdyŒ do izby wszedł jakiś niŒszy funkcjonariusz.

- Wasza Miłość, skazaniec ze szczętem omdlał, moŒe by go rozkuć?

- Nie mówię tak, nie mówię nie, prywatnie radzę: rozkuj tego szczeniaka, gdyŒ nie wiedział, co czyni.

- Przepraszam - wtrącił się chłopak - a za co dostał takie manto?

- Zuchwale pytasz, ale powiem ci, bo przypominają mi się najlepsze lata młodości. Wyrostek ów przyszedł dziś na dwór niosąc wiadomości znad granicy. Szczegółów nie znam, bo je utajniono, ale chyba nie były dobre. A nasz Najjaśniejszy Pan nie lubi tych, co przynoszą mu złe wiadomości. Jedyne młody wiek uchronił chłopca przed stryczkiem... No, ale co miałeś mi przekazać...?

- Ja... w zasadzie... no, tatko kazali przekazać mi wyrazy najwyŒszego uznania dla Waszej Wysokości.

\* \* \*

Co się tyczy postępu. Obawy nie sprawdziły się. Z nowości szerokiego świata dotarła do Amirandy jeno epidemia francuskiej choroby, w stosunkowo lekkiej postaci. Sam zaś postęp, jak to juŒ często bywało, przeszedł bokiem.

Dzięki protekcji Pierwszego Zastępcy Antek dostał posadę na dworze. Na emeryturę przeszedł pięćdziesiąt lat później jako starszy Supernaganiacz Regenckiej Nagonki. Jego brat Frycek został z czasem klucznikiem ruiny w Przełazie. A głupi Bodek? No, niestety, po wyzdrowieniu i dorośnięciu nie tylko chytrymi prawniczymi kruczkami wyzuł starszych, mądrych braci z ojcowizny, ale za panowania postępowego Ruperta II - jako osoba represjonowana za poprzedniej administracji - został publicznie zrehabilitowany, zaproszony do Rady Doradczej przy Tronie, a w dalszej kolejności obdarzony Prezesurą Akademii.

## **NIEWIDZIALNY REGENT**

- To jest po prostu popelina - powiedziała na wstępie referatu sprawozdawczego Generalna Wiedźma Przewodnicząca, otwierając LXIII Nadzwyczajny Sabat na Kosmatym Pagórku.

I miała rację. W onych czasach nawet tak idealna sfera jak bajeczność stała się przedmiotem procesów gnilnych, postępującego zwyrodnienia i schodzenia na psy.

Korzystając z poluzowania struktur świata alternatywnego, hucpiarskie cwaniactwo przekroczyło wszelkie granice, precisnęło się przez szpary międzywymiarowe i runęło na nie przygotowany świat

bajecznych, a więc z natury idealistycznych praw i akcesoriów.

Z niewiadomego poduszczenia koniki garbuski zaczęły prostować grzbiety i zapisywać się do gonitw wiosennych (niektóre z nich dorabiały również, spekulując biletami). W ślad za nimi kije-samobije zaśładały podwyski swoich i tak wysokich uposażeń, domagając się nadto elektronicznych końcówek z Japonii. Doszło do tego, że rzadko która czarownica poleci na sabat na miotle słuśbowej bez pleksiglasowej kabiny ochronnej, a skorumpowane złote rybki spełniają gratis najwyżej dwa życzenia, za trzecie kaśa sobie płacić w dewizach.

Głęboki niesmak wywołała w Axarii afera śpiącej królowny, która, jak się okazało, drzemała tylko w dzień, nocami zaś oddawała się wyuzdanym uciechom z rozmaitymi dziwolągami, spieszącymi do niej z całego kontynentu.

A jakimi słowami określić proceder fałszywego królewicza (z wykształcenia golibrody), który objeśdzał ze starym pantoflem bardziej zapadłe prowincje, łudzac sierotki intratnymi propozycjami i wykorzystując ich łatwowierność w sposób haniebny, choć świadczący o dużej znajomości rzeczy?

Czy nie skandalem było sprzedanie księciu Transylwanii siedmio-milowych butów, z których - jak się okazało - jeden był o numer mniejszy (sześciomilowy), przez co nieszczęsny arystokrata zginął na skutek szpagatu, rozdarty już po pierwszym kroku.

A zlikwidowana dopiero metodami policyjnymi szkoła „Głupich Jasiów” obiecująca najmłodszym, nierozgarniętym synom z rodzin kmiecych i mieszczańskich niebywałe kariery dyplomatyczne...?

Degrengolada postępuje. W ówczesnych doniesieniach agencyjnych nie brak informacji o paktach między specjalistami magii białej i czarnej celem wspólnego drenowania rynku. Plotkuje się o transferach duszyczek piekło - niebo i vice versa za grube łapówki, co drugi zaś prorok po mocniejszym przyciśnięciu okazuje się fałszywy jak pies.

A propos! Stare powiedzenie lokalne głosi: „jeśli jest kij, znajdzie się pies, na którym da się go wypróbować”.

Pomysł czerpiący ze zwyrodniałego ducha dekadencji załgał się któregoś dnia w głowach eksponowanych członków Wielkiej Ścisłej Tajnej Rady Trapezoidalnego Królestwa, składającej się przeważnie z ludzi małego kalibru, ot, gdzieś 6,25. Tajność Rady była tak duża, że ostatnimi czasy obradowała ona w składzie pięcioosobowym w tajemnicy przed monarchą, ale zawsze dla jego dobra.

Tej nocy na porządku dnia stanęła kwestia, która niczym puszczyk z Wieśy Skazańców przeraziła całe dobrane towarzystwo.

- Koledzy, sytuacja jest niewesoła, Regent przestał nam ufać!

Gdyby mówiącym był ktokolwiek inny, a nie Szef Ochrony Osobistej, zapewne wszyscy wrzუსzyliby tylko ramionami.

- Znaie mnie dobrze - ciągnął Wielki Tajny Wiceprzewodniczący - i wiecie, koledzy, że w pewnych

sprawach nie Œartuję. Informacja jest pewna, a oto jej Œródło...

Golibroda, Łaziebny, Ochmistrz i Szatny (osoby, w których rękach ostatnimi czasy skupiła się pełnia władzy) wyciągnęli szyje. Z ukrytych w boazerii drzwiczek wyłoniła się chuderława sylwetka regenckiego Sekretarza.

Powiało grozą, młody człowiek miał wśród przywódczego ciała fatalną reputację. Po pierwsze - umiał pisać i czytać, co pogłębiało nieufność całego grona, po drugie - notorycznie kapował, po trzecie - nie pił, a po czwarte - na swoje stanowisko wskoczył po dymisji z Naczelnej Heroldii, gdzie pełnił funkcję starszego demagoga. Przedtem pracował jako błazen i dał się poznać z wyjątkowo marnych lizusowskich kalamburów, a jeszcze wcześniej przeszedł

szkołę Œycia w prefekturze pretorianów. Pracował wówczas na odcinku wyłapywania dowcipów niepoŒadanych i puszczania w obieg właściwych. Podobno odnosił na tym polu znaczne sukcesy. W końcu wskazani przez niego anegdociarze w dziesięć lat usypali Kurhan im. Swobód Obywatelskich, na którym stanął monumentalny posąg Regenta z małeńką Temidą w ręku.

- I kogo pan nam tu przyprowadził? - jęknął Ochmistrz.

- A co, moŒe się nie podoba? - zapytał zadziornie Sekretarz. - Sam z własnej nieprzymuszonej woli przyszedłem do was, albowiem mój pan i władca, niech samo niebo mości mu drogę aŒ do nieba, zwariował.

- Tylko? - Dworacy odetchnęli.

A potem kaŒdy zaczął się zastanawiać, jak doszło do tego, iŒ oni, najbliŒsi, niczego nie spostrzegli.

„W pasjansach oszukuje siebie jak dawniej” - pomyślał Golibroda.

„W kąpieli wystarczają mu dawne perwersje” (Łaziebny).

„Ma apetyt” (Ochmistrz).

„Tylko raz, dla Œartów, ubrał się w bieliznę królowej”(Szatny).

Sekretarz odczuł ich wątpliwości.

- Nie w tym rzecz! Choroba NajjaŒniejszego Pana ma głębokie podłoŒe. On chce się zbliŒyć do ludu.

- Saprستي - przemknęło Ochroniarzowi. - A my to co, arystokracja? Arystokrację skanalizowaliśmy w Wielkiej Jawnej Radzie, która od lat obraduje i zatwierdza, obraduje i zatwierdza, ale przecieŒ nie manic do gadania.

- Nie dalej jak wczoraj - kontynuował eks-błazen - NajjaŒniejszy Pan zwierzył mi się z chętki wyjścia na miasto bez eskorty, incognito. Pogadania jak Amirandczyk z Amirandczykiem. O wszystkim.

- No tak - westchnął Ochmistrz.

- Skleroza - kiwnął głową Łaziebny.

- Groźne dla otoczenia - przemknęło Wiceprzewodniczącemu.

- Podejrzliwość pana Regenta nie zrodziła się dziś, rosła latami - ciągnął Sekretarz. - Nie wiem, skąd wpadł na pomysł, Œe nie mówimy mu wszystkiego o sytuacji, Œe jego własne pomysły są starannie dopracowywane planami waszego kółka... MoŜe to istotnie starość.

A moŜe chęć dokonania u schyłku panowania dzieła na miarę historyczną. Jestem przekonany, Œe jeśli go nie powstrzymamy, za tydzień wymknie się nam na miasto.

Zrobiło się nieprzyjemnie. Szatny począł lamentować, Œe na pewno wyjdzie wtedy na jaw, iŜ wszystkie pałace w Wielkiej Alei mają jedynie fasady z tektury i gipsu, za którymi ciągnie się morze lepierek biedoty. Nie da się teŜ ukryć, Œe paradnego dywanu starcza jedynie na długość jednej ulicy i co zostanie rozrolowane przed Regentem, musi być rolowane zaraz za nim.

Ochroniarz dorzucił jeszcze jeden szczegół: Szef państwa nie zamierzał ujawniać, nawet najbliższym, dokąd się będzie udawać i w jakim stroju wystąpi. Tu Wiceprzewodniczący rozdygotał się i szybko popił kordiału uspokajającego.

- Straszne, straszne! - zgodził się Balwierz. - Jeśli Najjaśniejszy Pan występując incognito porozmawia z nie przygotowanymi jednostkami, dozna szoku. MoŜe zachorować. ZaŜądać zwołania Stanów Generalnych...

- Tak czy siak, nasza sytuacja nie byłaby wtedy wesoła - podsumował Szatny.

Milczenie zawisło w komnacie jak wielki znak zapytania.

Usunięcie Regenta? Nie, to byłoby zbyt ryzykowne, zwłaszcza Œe następca miał juŜ swoich własnych sekretarzy, łaziebnych, koniuszych. Próba wyperswadowania pomysłu rodem z *Baś ni Tysią ca i Jednej Nocy* - problematyczna. Regent naleŜał do ludzi upartych jak muł

i zaciętrzewiających się jak muła.

- Mógłbym zaproponować pewien chwyt psychologiczny - zaczął najwyraźniej przygotowany na tę okoliczność Sekretarz.

\* \* \*

Regent Raul siedział zaszępiony w swoim bujanym fotelu i patrzył na grube krople deszczu ściekające po kryształowej szybie. Rozmyślał. MoŜe wspominał dzieciństwo sielskie, kiedy jako młodszy syn kierowany był raczej na drogę duchowną i dopiero po epidemii czarnej śmierci nieoczekiwanie ostał się infantem, a moŜe zastanawiał się nad kapryсами meteorologii. Z pokolenia na pokolenie klimat w Amirandzie stawał się coraz chłodniejszy, bardziej kontynentalny. Wiatry wiały przeważnie od strony bezmiarów lessyjskich, tak jakby chciały oderwać Amirandę od jej tradycyjnego kręgu

kulturowego i wepchnąć w inny. A moŜe dochodził do wniosku, Ŝe na dokonanie niezwykłych, historycznych czynów zostaje mu coraz mniej czasu. Na razie deszcz krzyŜował jego plany. Zdecydował się wszak na ryzyko z anonimowym spacerem, ale nie na zmoknięcie.

- Nie wiem, czy Najjaśniejszego Pana to zainteresuje – powiedział w pewnym momencie Sekretarz - ale mam ciekawy raport naszego kontrwywiadu.

- No - Raul nie raczył odwrócić głowy.

- Kurierowi Erbańskiemu skonfiskowano przesyłkę, którą wiózł w darze następcy tronu Axarii. Kwartę płynu o nazwie Antymałmazja.

- Ile procent? - oŜywił się Regent.

- Zbadaliśmy. To bezalkoholowy płyn magiczny. Ciecz owa pozwala ludziom, wyłącznie jednak krwi królewskiej, stawać się nie widzialnymi na dowolny okres... Mniej więcej pięćdziesiąt gramów starcza na dzień.

- Ciekawe. I co zrobiliście z tą kwaterką?

- Mam go w mej sekreterze, Najjaśniejszy Panie.

Płyn miał konsystencję miodu i kolor pistacji, a po posmakowaniu z lekka draŝnił podniebienie aromatycznym kwaskiem.

- Spróbuj! - rozkazał Raul tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Proszę bardzo, choć na me chamskie ciało to nie moŜe podziałać - zgodził się Sekretarz i pociągnął tęgi łyk.

Regent odczekał kwadrans, a ponieważŝ jego doradca nie padł, nie zsiniał ani nie dostał drgawek, sam spróbował eliksiru.

- Dobra ta Antymałmazja i mówisz, bezprocentowa?

Przez moment poczuł gwałtowne wewnętrzne ciepło, które po paru sekundach ustąpiło miejsca chładowi. W koronowanej głowie zakręciło się, a zaraz potem ciałem owładnęła nadzwyczajna lekkość. Monarcha począł płaszać po komnacie, jak gdyby nic nie waŜył...

- Gdzie jesteś, Najjaśniejszy Panie? - zakrzyknął nagle Sekretarz.

Regent jeszcze nie wierzył, klasnął na straŜe. Prawie natychmiast pojawił się rosły halabardnik.

- Dalibóg, sam kaftan chodzi po komnacie, czary, czary, a gdzie Najjaśniejszy Pan?! -

zawołał funkcjonariusz. Raul juŜ prawie wierzył. Rozebrał się do naga i polecił wezwać swą

ulubioną nałóŜnicę. Kiedy weszła, zawołał do niej. Dziewczyna krąŜyła po sypialniach, a ponieważ nie mogła odnaleźć władcy, rozplakała się. Pewnych problemów dostarczało lustro. To odbijało niewidzialnego w pełnej krasie monarszej golizny.

- To tylko subiektywne wrażenie - tłumaczył Sekretarz. - Najjaśniejszy Pan wie, gdzie stoi i jak wygląda, więc się widzi oczyma wyobraźni, choć obiektywnie go nie widać. Ale to ustąpi. Zresztą już teraz... czy to jest widzenie ostre?

- Masz rację, a z każdą chwilą jakby bardziej rozmazane...

\* \* \*

Nudystyczne eskapady Regenta na miasto, rozszerzone następnie na okoliczne wsie i przysiółki, stały się rychło etnograficzną osobliwością Amirandy. W przeszkoleniu ludu pomogła plotka. Silniejsza niż jakkolwiek kanał informacji. „Regent popadł w ekshibicjonizm patologiczny” - niosła wieść gminna. „Jedyna rada udawać, że się go nie widzi. Jakkolwiek reakcja może odbić się na jego zdrowiu i na głowie reagującego”.

W następnych tygodniach społeczeństwo wzorowo zdało egzamin z dyscypliny. Nie było mowy o chichotach, zaczepkach czy nawet podniesieniu oczu. W czasie tych przechadzek dzieci przezornie nie wypuszczano z ochronek i szkółek. A że naród Amirandy przywykł do rozmaitych szaleństw władców, jak choćby wyścigi świń Ryszarda V czy Roszada Totalna Roberta Piotra, królewski naturyzm nikogo nie był w stanie zaskoczyć.

Nagość monarchy miała jeszcze dodatkowy plus - goły Regent nie miał najmniejszych szans zgubienia się eskortie, dyskretnie podążającej z tyłu, z przodu i z boku. Widoczny już na milę, stanowił doskonały punkt dozoru dla wszelkich służb. Zawsze można było w porę a to dywan rozwinąć, a to spsiały zaułek wytynkować, a rodzinę biedaka, do którego szedł na obiad, ochędożyć i gwardzistów porzebieranych za obywateli wzdłuż trasy rozstawić.

A czy uprościło się życie Tajnej Rady? Musiano tylko tłumić śmiech, gdy z doskonale widocznej galeryjki Jego Goła Najjaśniejszość podsłuchiwał posiedzenia swoich doradców. Wskutek tego obrady wymagały starannych scenariuszy, spory wszak musiały wyglądać prawdziwie, a racje na kontrowersyjne.

Prawdziwe obrady odbywały się nocami w piwniczce pod Wieżą Skazańców i tam właśnie, na krótko przed świtem, wpadła kiedyś z krzykiem nałóŜnica Beata.

- On zniknął, naprawdę zniknął! - łkała.

- Kto? - zapytał głupawo Przewodniczący.

- Najjaśniejszy Pan. O Boże! Co my zrobimy? Może przedawkowaliście Antymałmazję?

- Co było do przedawkowania, to całkiem niegroźny napój z odrobiną środka halucynogennego - rzekł Sekretarz, ale ponieważ wszyscy zerwali się i pobiegli na górę, podąŜył za nimi.



Zrewidowano sypialnię i przyległe pomieszczenia. Regenta nie znaleziono.

Przeszukano schowki, szafki, tajne przejścia - ani śladu.

- A może on naprawdę stał się niewidzialny? - podsunął Szatny.

- To naukowo wykluczone, zwłaszcza za pomocą Antymałmazji - stwierdził Sekretarz.

- Milcz, głupi gryzpiórku - zgromił go Ochroniarz. - Ja wiem od mojej ciotki, że cuda się zdarzają...

- Tak, tak - podtrzymał tezę Golibroda. - Być może, siła wiary stała się u niego tak potężna, że zmieniła przeświadczenie o niewidzialności w niewidzialność realną.

- Raczej jest to sugestia. Możemy być zahipnotyzowani i nie dostrzegać Najjaśniejszego Pana, który stoi między nami i śmieje się w kułak.

Zrobiono test. Wszystkie komnaty posypano mąką. Daremnie, nigdzie nie pojawiło się odbicie niewidzialnej stopy.

A przecież Regent gdzieś musiał być. W starych murach czuło się po prostu

jego

obecność. Strach spętał wolę i myśli członków Tajnej Rady. Kilku z nich nie wytrzymało nerwowo i salwowało się ucieczką.

Wykorzystała to Jawna Rada, która nagle przypomniała sobie o prerogatywach Senatu i zabrała się za rządzenie. Doradców (tych, co jeszcze zostali) rozgoniono na cztery wiatry. Cały kraj przeszukano wszczepnie i wzdłuż, dokładniej niż wyspę z pierzem. I nic. Nie pomogły psy, prywatni detektywi i wyznaczone nagrody.

Sytuacja stawała się groźna. Nie można było ogłosić bezkrólewia, bo na to mógł tylko czekać przyczajony w kokonie niewidzialności Raul. Niektórzy mówili, że cały czas krąży wśród senatorów i dostojników i notuje ich zachowania, aby we właściwym momencie ujawnić się i rozpocząć wielką czystkę.

I kiedy wszelkie nadzieje na pozytywne wyjaśnienie upadły, wpłynęła utrzymana w ostrym tonie nota dyplomatyczna z ościennej Rurytanii. Zaczynała się ona pytaniem: Dlaczego, do jasnej cholery, już drugi miesiąc po nadgranicznych zamkach, arsenalach i magazynach rurytańskich pęta się goły jak święty turecki Regent Raul, który pomimo protestów oficerów i wyzwisk strażników udaje, że go nie ma, pilnie rysując sobie plany fortyfikacji i notując stan uzbrojenia?

## ZASTĘPSTWO

„W poszukiwaniu rzadkich okazów motyli, takich jak papuziacz blady, krętek tęczownik czy niepylak polkolor, przybyłem do Nordlandii, której wyspy obfitowały wręcz w endemiczne gatunki flory i fauny...” - Tak rozpoczyna swą opowieść Harald Haraldson, jeden z mniej znanych kolegów

wielkiego Linneusza, podróżnik, którego przyrodnicza pasja zapędziła aż do owej północnej wyspy, należącej wprawdzie w połowie do Amirandy, ale związanej z nią jeno unią personalną. Haraldson dotarł tam konspiracyjnym szlakiem handlarzy i przemysłowców, który wiodł w owych czasach przez Inflanty i Kurlandię, by w odpowiednim miejscu, znanym tylko nielicznym, przeniknąć przez wrota międzywymiarowe i z XVIII-wiecznej rzeczywistości trafić we wczesny amirandzki barok.

„Samą Amirandę poznałem byłem we wcześniejszych eksploracjach, uwiecznionych odkryciem odmiany skarabeusza (*scarabeus haraldi*) i całej rodziny karaluchów ogromnych rozmiarów, które - oswojone i przyjacielskie - w niejednej regentsburskiej rodzinie zastępowały psa lub kota.

Do czarownej i gościnnej Nordlandii przybyłem w samym środku krótkiego, acz esencjonalnego lata, gdy cała natura zdawała się kipieć witalnością, a moja siatka za każdym niemal ruchem odkrywała nowe gatunki, rodzaje, rzędy. Wynająłem pokój w gospodzie na skraju rynku w miasteczku, które z braku większych pełniło rolę stolicy prowincji. Gospodarz, ruchliwy i apetyczny jak świeżo upieczony pączek, dokładał wszelkich starań, abym czuł się jak u siebie w domu, gospodyni zaś, Magdalena, młodsza o dekadę dobre ćwierć wieku, o migdałowych oczach i nieprzyzwoicie wydatnych piersiach... Ech! ...dużo by mówić. Czas pędził osobliwie rącho i anim się obejrzał, jak dni się skróciły, zawisły nisko słotne chmury, a ostry wichur zaczął chłostać niemiłosiernie.

Niespodziewanie nadeszła wczesna jesień nordlandzka. Właśnie wróciłem byłem z tygodniowego wypadu ku górą i ledwie wkroczyłem do gospody, zaordynowałem kąpiel (Magdalena pysznie wywiązywała się z roli łaźiebnej), a gospodarza poprosiłem o załatwienie transportu moich bagaży na najbliższy piątek... Siedziałem w kadzi, a delikatne dłonie niewieście masowały mi kark, gdy powrócił właściciel. Na jego krągłym licu wyraz codziennej dobroduszości ustąpił grymasowi, w którym rzekoma troska zdawała się mieszać ze złośliwym uśmiechem.

- Nie odpłynie pan już tego roku, nie odpłynie, panie Haraldzie.

Poderwałem się nie bacząc na nieskromność obnażenia.

- Jak to, mam bilet powrotny na „Królową Krystynę”...

- „Królowa Krystyna” wyszła w morze w poniedziałek.

- A galeon pocztowy?

- Poszedł do remontu...

Pytałem jeszcze o statki rybackie czy wojenne. Ale odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion.

Trwały sztormy, a wkrótce w cieśninach miał zacząć zbierać się lód...

- A południe wyspy, przecież za górą zaczyna się Erbania?

- Od pięciu lat znajduje się w stanie wojny z Amirandą. Musi pan u nas prezimować.

- Musi pan! - powtórzyła spuściwszy skromnie oczy Magdalena.

- To tragedia! - wybuchnąłem. - Ja nie mam czasu, przecież zima dla entomologa to martwy sezon!

- MoŜesz się pan zająć klasyfikacją pcheł, prusaków czy innego paskudztwa, mamy tego tałatajstwa nieprzebrane bogactwo - pocieszał gospodarz.

- A gdybym wynajął jakąś łódź?

Złudzenia ustąpiły szybko. Nie znalazłem ochotnika, który zaryzykowałby wypłynięcie na wzburzone wody. Być moŜe, część mieszkańców Nordlandii pochodziła od Wikingów, ale najwyraźniej akurat nie ta zajmowała się aktualnie Őglarstwem. Zresztą, moje Őrodki finansowe nie były wielkie. Kim Ő ja w ogóle byłem? Skromnym naukowcem o ograniczonych dochodach...

Tymczasem nastały mgły, słoty i przygruntowe przymrozki. Mój flirt z Magdaleną przeszedł wszelkie stadia. Od pierwszej adoracji poprzez gwałtowną fascynację a Ő po pierwociny obopólnego znu Őenia. Zresztą im skromniejsze były me prezenty, tym karczmarce mniej odpowiadał seks po skandynawsku. Równie Ő sympatia gospodarza, który latem traktował mnie jak syna, a jesienią jak szwagra, słabła wprost proporcjonalnie do kurczenia się mego trzosa.

Do listopada odkryłem i sklasyfikowałem wszelkie gatunki insektów występujących w ober Őy, z początkiem grudnia zaś wydałem ostatniego talara... Nie miałem ju Ő nawet na podr Ő powrotną.

Pobiegłem wówczas do banku, którego właściciel wiele razy podczas partyjek tryktraka zapewniał mnie o swej dozgonnej sympatii.

- Kredytu nie udziela się - powiedział mi suchy jak kabanos współnik.

- Zgodzę się nawet na lichwiarski procent! - zawołałem. - Muszę przecie Ő z czego Ő Őyć.

- Od tego są lombardy.

W lombardach spotkałem się z uprzejmą odmową. Gablotki z motylkami - to tylko posiadałem - nie wzbudziły niczyjzego zainteresowania. Przyodziewek mocno mi się zu Őył, a pierścień przegrałem ju Ő wcześniej.

Wróciwszy do zajazdu, zastałem moje rzeczy wystawione na korytarz. Magdalena królowała za szynkwasem, oschła i niedostępna.

- Nie mo Őecie mi tego zrobić, nie mo Őecie mnie wyrzucić! - wołałem usiłując całować jej ręce, ale schowała je pod barem.

- A właściwie, dlaczego nie? - odparła.

- Po tym wszystkim, co nas łączyło, po nocach szaleństwa i Őwitach upojenia...?

- Nie wiem, co pan ma na my Őli, ale jestem zajęta...

Za mymi plecami wyr Őł gospodarz. Jego twarz nie wyra Őała niczego.

- Takie jest Śycie, panie Haraldzie - rzekł. - Raz jesteŃmy na wozie, a raz pod... Przez wzgląd na sympatię nie wspominam o odsetkach od dłuŃu... Ba, nie upominam się nawet o sam dłuŃ. Zadowolę się pańską lunetą i ksiąŜkami.

- Ale jeśli mnie wyrzucicie, ja nie będę miał dokąd pójść, tam na dworze mróz, zadymka...

- Istnieje zawsze jeszcze jedno wyjście...

- A mianowicie?!

- Praca!

Tak przyszło mi zmienić status cudzoziemca dewizowego na podrzędnego gastarbeitera. Tylko Ńe absolutnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. W prowincjonalnej dziurze nie było stanowisk dla entomologów ani nawet ornitologów. W miejscowej szkole nie wyrażano zainteresowania moją ofertą pracy nauczycielskiej. Jako luteranin, i to reprezentujący wiedzę epoki Oświecenia, które tu miało dotrzeć w najlepszym wypadku za półtora stulecia, byłem nie do przyjęcia. Gdybym był rzemieślnikiem, znalazłoby się, być może, coś niecoś, ale z moimi rękami nawykłymi jedynie do łapania motylków nie nadawałem się nawet na parobka. Owszem, jakiś miejscowy wielmoŜa gotów był mnie zatrudnić jako stangreta, ze względu na wzrost i jasne włosy, ale koncepcja upadła, gdy wyszło na jaw, Ńe boję się koni.

Zziębnięty powróciłem do gospody. Musiałem wyglądać naprawdę ŃałoŃnie, gdyŃ

Magdalena dała mi kolację w zamian za pozmywanie, a jej mąŜ pykając fajeczkę pozwolił mi raz jeden zanoctować w schowku pod schodami i dorzucił na dobranoc:

- Pozostaje ci juŜ tylko zastępstwo...

Przerywamy narrację Skandynawa, by rzucić kilka informacji o tym specyficznym obyczaju. Instytucja Zastępców wykształciła się jeszcze w średniowieczu, przy czym jej prekursorem był Chłopiec do Bicia. Jak wiadomo, był to osobnik, który brał w skórę, kiedy Jego Wysokość Następca Tronu nie nauczył się łaciny, nadmuchał Ńabę, posmarował klajstrem tron Regenta czy podglądał fraucymer w łaźni. Aby sprawiedliwość była syta, a najjaŃniejsza sempiterna cała - łojono Zastępcę. Przy czym w krajach katolickich Chłopiec do Bicia wynagradzany był wedle dniówek, w protestantyzmie na akord, w państwach wschodu zaś istniały równieŃ Dziewczynki do Lania.

Per analogiam wykształciła się w Amirandzie kategoria zastępców. Zaczęło się od słuŜby wojskowej, z której nie zdradzający marsowych skłonności młodzian mógł wykupić się, wystawiwszy zmiennika. Później wynajmowano ludzi do spraw nieprzyjemnych. I tak miłosierny sędzia mógł sobie wynająć człowieka do odczytania srogiego wyroku, kat podstawić innego wykonawcę. Demokratyzując się, obyczaj wkroczył szybko na niwę penitencjarną. Powstali więc zastępcy odsiadkowicze, pręgiernicy (za forsz nadstawiali za skazańca karku pod pręgiem), dybiarze, galernicy przechodni, ciemniaki (specjaliŃci od głodówek w ciemnicy), wylupki i wycinki (fachowcy od przyjmowania kar detalicznych), piętniarze (pod koniec Śycia ostemplowani hańbiącymi znamionami od stóp do głów) i wielu innych.

Dłuższy czas zastępstwu opierała się kara główna, ale gdy zniesiono przeszkody prawne, szybko okazało się, że ochotników nie brakuje. Chory lub głodujący brak przystawał nawet na łamanie kołem, gotowanie w oleju, pal, stos, topór i inne zabiegi kata, mając perspektywę wydzwignięcia całej rodziny w górę o kilka szczebli drabiny społecznej.

Tu zaznaczmy, że bezkarna zbrodnia nie pozostała jedynie rozrywką szlachetnie urodzonych. Nic biedniejszego. Można wymieniwać dziesiątki przypadków ludzi, którzy ciułowali całe lata, aby zbierać kwotę na zastępstwo, otrucić szefa lub zarabaci teściową. Pojawiły się nawet księżeczki systematycznego oszczędzania bądź wynajem kredytowo-ratalny.

Proceder przybrał z czasem olbrzymie rozmiary i wymknął się praktycznie spod czyjejkolwiek kontroli, zwłaszcza finansowej; Transakcje przeprowadzano bowiem z ręki do ręki, toteż - aby ukrociwić bezhołowię - edykt Romana III wprowadził obowiązkowe pośrednictwo Banku Zastępców...

„Nazajutrz, choć mróz trzymał siarczysty, udałem się do Banku Zastępców. Jego nordlandzka filia mieściła się w małym domu, ongiś zamieszkiwanym przez miejscowego kata. Przyjęto mnie tam rzeczowo, sporządzono odnośne dokumenty i przygotowano zaliczkę”...

- Kiedy otrzymam pierwszą ofertę?

- W zależności od zgłoszeń. Tu proszę podpisać.

- A jakie bywają najczęściej?

- Bardzo różne. Co mieliśmy ostatnio? Aha, Baron chory na wątrobę potrzebował zastępcy na bankiecie u gubernatora. Było też zapotrzebowanie na pojedynek...

- Tego wolałbym nie.

- ...Mieliśmy też młodego szonkosia potrzebującego kogoś na noc poślubną. Ośenił się dla prestiżu, a jeśli idzie o miłość, preferował chłopaków... O, dłużnik podatkowy szukał

kogoś, kto zlicytowałby jego starego kompana...

- To mógłbym wybrać!

Urzędnik odłożył pióro, posypał tekst piaskiem i przyłożył pieczęć.

- Niedbale przeczytał pan tekst umowy. Zleceniobiorca zobowiązuje się z chwilą podpisania umowy do przyjęcia każdej pracy, jaka wpłynie, bez możliwości rezygnacji.

Na tym właśnie polega istota reformy.

Poczułem się niewyraźnie, oficjalista chyba to zauważył, ponieważ dorzucił dobrotliwie:

- Niech się pan nie denerwuje. Jest pan siódmy na liście, a teraz nie sezon. Zresztą wierzę, że spotka

pana szczęście.

Może powinienem coś zrobić? Udusić urzędnika, podrzeć dokument i zjeść kopie? Nie uczyniłem tego. Po pierwsze, zaskoczenie, a po drugie, głos wewnętrzny podpowiadał mi, że inaczej pozostanie mi jeno śmierć z głodu na obcej ziemi. Bez perspektywy ujrzenia brzegów jeziora Malaren i uniwersytetu w Uppsali.

Fakt,

że

stosunek

tubylców

do

mnie

uległ

radykałnej

zmianie.

W zajeździe czekał wysprzątnany stary pokój ze świeżą pościelą i czystymi firaneczkami w oknie, z widokiem na rynek, zwany również Placem Sprawiedliwości, ponieważ mieścił

się na nim pręgierz i - w miarę potrzeb - stos na czarownice lub szafot dla zbrodniarzy...

Normalnie nie zwracałem na to uwagi.

O świcie jednak, gdy zostałem sam w komnacie, Magdalena wymknęła się, pozostawiając za sobą woń pachnideł, zrobiło mi się cokolwiek niewyraźnie.

I nie przespałem już dobrze śnieżnej nocy. Cóż z tego, że właściciel banku znów obdarzał mnie swą sympatią, a na pogawędki wpadali zaciekawieni notable... Każdego poranek rozpoczynałem od wysłuchania najnowszych plotek. Potem biegłem do banku i pytałem: co z listą?

Moi poprzednicy trafili na dobrą passę. Pierwszy zastąpił tutejszego kwestora w uciążliwej podróży na krańce wyspy, drugi musiał zdać egzamin za jakieś leniwe paniątko, trzeciemu wprowadzie przypadł pręgierz, ale lekki, bo niewieści, czwarty odszczekiwał

w zastępstwie krzywoprzysięzcy, zresztą bardzo umiarkowanie. Piątemu zlecono, i owszem, pojedynek, ale ponieważ rywal wziął sobie jako zmiennika szóstego, obaj panowie porzucili na solidarnym podziurawieniu powietrza i wrócili do domu zadowoleni, że obu się upiekło.

Po tym godnym zazdrości podwójnym zmiennictwie nastąpiła dłuższa przerwa w zamówieniach.

I trwała, aŜ nastąpiła wiosna. Śniegi stopniały, strumienie nordlandyjskie wezbrały wodą.

Zewsząd budzić się poczęła otucha na lepsze.

AŜ któregoś ranka obudziły mnie niezwykle hałasy dobiegające z Placu Sprawiedliwości. Okrzyki, odgłosy pił i siekier... Jeszcze nie rozbudzony, poczułem, jak z szarych kątów wypęła trwoga, jak łapie mnie za gardło i tamuje oddech.

Magdalena wbiegła ze śniadaniem i najnowszymi ploteczkami.

- Szykuje się wielkie widowisko! - zawołała. - Złapano czarownicę, której na mękach udowodniono nadto szpiegostwo na rzecz ościennej Erbanii.

- Co to oznacza?

- Ano, Őe w pierw będzie łamana kołem, a później spalona! - zawołała karczmarka i poczęła rozstawiać tacki i misy. - Chyba Őe - dodała - chyba Őe starowina wysupła Őrodki na wynajęcie zastępcy.

Straciłem apetyt.

Upiorny strach porwał mnie za włosy. Pot gruby potoczył się po całym ciele niczym paciorki rozerwanego róŜańca. Magdalena chyba tego nie zauwaŜyła, wybiegła szczęśliwa, rozszczebiotana.

Uciekłem, oczywiście Őe uciekłem. W chudym paltociku, dziurawych trzewikach, z węzłkiem zawierającym niewielkie zapasy poŜywienia.

Wymknąłem się tyłem z zajazdu, potem uliczkami do dziury w murze obronnym, ku ogrodom, polom, wreszcie lasom. Trzeba by Ksenofonta. aby opisać me trudy, utrapienia i niebezpieczeństwa, jakie przeŜyłem przez owe dwa tygodnie. Szedłem najpierw nocami, kryjąc się po oczeretach, dygocąc z zimna, później, gdy oddaliłem się od regionów zamieszkanym, mogłem juŜ rozniecać ogień. Za poŜywienie słuŜyły mi pędraki, korzonki, czasem złowiona rybka. Dobrze, Őe wiedza entomologa pozwalała mi rozróżniać insekty jadalne od niejadalnych.

Tak dotarłem do Krzywych Szczytów, przekroczyłem granicę i trzykroć ucałowałem obcą ziemię, dziękując za ocalenie. Nigdy juŜ nie powrócę w parszywe progi Amirandy. Nigdy, choćbym miał być w Uppsali pospolitym skrybą albo czyścibutem rektorskim! Nigdy! Notuję te słowa siedząc na polanie z widokiem na małe erbanijskie miasteczko. Wiem, Őe wyglądam jak leśny człowiek, ale z mej gaŜy w Banku Zastępców uciulałem dość złotych talarów, aby mieć i na balwierza, i na kąpiel, i na czysty pokój w gospodzie... Idę. A następny zapis, da Bóg, uczynię juŜ na morzu płynąc do Sztokholmu”...

Manuskrypt Haralda Haraldsona nie posiada dalszego ciągu. Jak moŜna wyczytać z załączonej notatki słuŜbowej, został skonfiskowany przez straŜ miejską Runtervaldu, małego miasteczka, które dwa tygodnie wcześniej na skutek korektur granicznych przeszło spod administracji erbańskiej pod

prawowitą władzę Amirandy. We włóczędże rozpoznano uciekiniera-defraudanta z Nordlandzkiego Banku Zastępców. I bez większych kłopotów przekazano go we właściwe ręce. Nawiasem mówiąc, owa zmiana granicy wymuszona przez Erbanię miała na celu -

w zamian za piękne, choć nieurodzajne hrabstwo Runtervaldu - otrzymanie skalistego, acz bogatego w minerały Turneru...

Los Haralda nie został ustalony. Udało się natomiast na liście usług zastępczych znaleźć zlecenie, jakie przypadłoby mu, gdyby nie spieszna i paniczna ucieczka. Było to zamówienie markiza Rolanda, któremu z przyczyn sercowych nie uśmiechała się praca na stanowisku attache kulturalnego i koniecznie potrzebował kogoś, kto zamiast niego pośledgowałby na placówkę konsularną w Uppsali.

## TELEFON ZAUFANIA

- Słyszał już pan o tym telefonie? - zapytała Charlotta, rozsuwając ciężkie, aksamitne zasłony w oknach sypialni.

- Słyszałem, podobno kupiono licencję na wynalazek pana Bella - odrzekł

ziewając zagrzebany w poduchy męszczyzna, którego wiecznie nabiegła krewią twarz nieodmiennie kojarzy się z szaszłykiem.

- Wynalazek pana Bella to jedno, ten telefon to drugie. - Gospoia należała do osób doskonale poinformowanych z racji częstych wizyt w kościele i dzięki prenumeracie „Dzwonka Codziennego”.

Do zwyczaju należało, że po obudzeniu i podaniu śniadania robiła swemu panu prasówkę. Sam pan, Szambelan piątej kategorii, nie czytywał nic od czasu przedwczesnego przejścia na emeryturę. Należał do ludzi wygodnych i pozbawionych przesadnych ambicji. Całe życie przesłużył na niższych piętach drabiny urzędniczej, wykazując się bezwzględna lojalnością i subordynacją. Nigdy nie skazyło go własne zdanie - kiedy zwierzchnicy się mylili, on solidarnie mylił się razem z nimi. Toteż, gdy po czterdziestu pięciu latach nienagannej służby otrzymał

tytuł szambelania (najniższego wprawdzie stopnia, ale zawsze) i trzysta pięćdziesiąt silverów miesięcznej renty, służbowe mieszkanie z gospoia i bezpłatny bilet na koleje żelazne, mógł

uważać się za człowieka szczęśliwego. Nade wszystko bowiem cieszył go spokój, porządek i ład.

Nienawidził szczerze w równym stopniu: młodych ludzi z Akademii Sztuk Pięknych owładniętych przez zgubne demony impresjonizmu, ich uniwersyteckich kolegów szukających inspiracji w naukach Darwina lub Nietzchego i socjalistów. Gardził kawiarnianym rozpolitykowanym tłumkiem, a panująca monarchia, wciąż absolutna, wydawała mu się najlepszym z możliwych systemów. Każdy znał tu swoje miejsce, a gdy je opuścił, był

skutecznie przywoływany. I to dowodziło harmonii.

Oczywiście, Szaszłyk Szambelan, jak przezywali go za jego plecami sąsiedzi z kamienicy, miał swoje drobne grzeszki. Ale były to grzeszki odpowiedzialne. W piątkowe popołudnie grywał



na małe stawki w wista w Klubie Purytańskim, w sobotę pił (tak aby przez niedzielę móc wytrzeźwieć), w poniedziałek zaś chodził do burdelu, albowiem tego dnia stali bywalcy salonu Madame Tournau mieli zniŜkę.

Śniadanie składające się z trzech jajek na szynce z towarzyszeniem czarnej kawy z mlekiem, kilku chrupiących bułeczek, salaterki z serami i patery pełnej owoców rozłoŜyło się na nocnym stoliku. Szambelan zawiązał sobie serwetkę pod brodą.

- A jaka pogoda, Charlotto?

- Będzie padać. Natomiast to, co mówią o tym telefonie, to naprawdę niezwykle.

Podobno ludzie będą mogli telefonować do Zamku.

- AleŜ, droga Charlotto, po cóŜ mieliby to robić?

- Őeby przekazać swoje opinie, rady i uwagi.

- Nedorzeczość. Istnieje przecieŜ mianowany przez Najjaśniejszego Pana Senat, działa wyspecjalizowany aparat urzędników zbierających opinie, po cóŜ jeszcze aparat telefoniczny? Jest to plotka, obrzydliwa plotka szerzona przez wiadome koła liberałów i antychrystów.

- AleŜ napisali o tym w „Dzwonku Codziennym”, o tutaj: *Wychodzą c naprzeciw słusznemu zapotrzebowaniu szerokich mas admirandzkich, tytułem eksperymentu juŜ*

*wkrótce zostanie wprowadzony nowy system konsultacji ze społeczeństwem za pomocą*

*Telefonu Zaufania...*

- Moje pince-nez! - Szambelan zdawał się być poruszony. Gosposia sięgnęła po nie, ale w tym momencie ozwało się stukanie do drzwi, czynione zgoła profesjonalnie. Nie było to pełne ugrzecznienia stukanie doręczyciela pocztowego, dwuznaczne chrobotanie domokraŐcy, czy przyjacielskie puk-puk któregoś z nielicznych znajomych Szaszyka... Zresztą, nim ktokolwiek miał okazję postąpić ku drzwiom, te otwarły się same i stanęli w nich dwaj identyczni faceci w płaszczach ociekających wodą i charakterystycznie postawionych kołnierzach.

- Pan Wiktor, tytułarny Szambelan Starogrodzki? – zapytał minimalnie wyŜszy z przybyłych i nie czekając na odpowiedź, którą najwyraźniej znał, dodał: - Pan będzie uprzejmy pójść z nami...

\* \* \*

CięŜki kac telepał całym ciałem młodzieńca. Nie pomagał ani kompres sporządzony przez wiernego Jana, ani kufel dobrego de-nijskiego piwa przyniesiony przez Margaretę z piwiarni vis a vis ledwo minęła godzina trzynasta. ŐuŜu leŜał z przymkniętymi oczyma na puchowych poduszkach i czekał, kiedy objawy zatrucia miną lub przynajmniej zmaleją.

Trzy bankiety zakończone nad ranem w garderobach Teatryku Rewiowego „Kakadu” to nazbyt wiele

nawet dla zahartowanego w rozrywkowych bojach organizmu młodego mężczyzny. Swój stan zwykł on określać w podobnych okolicznościach „struganiem łódeczek z kory mózgowej”. Starał się więc odprężyć i nie myśleć. A nade wszystko nie wspominać. Wieczór był udany. Ekscesy umiarkowane. W końcu zestrzelenie Syrandola w małej sali w „Kakadu”, zderzenie płaszczy z paru przechodniów i spoliczkowanie dwóch konstabli, gdy ci naiwnie próbowali wylegitymować złotą czeredkę, nie należało do szczególnych osiągnięć. ŚuŚu, rozbierany na schodach przez wiernego Jana, resztką świadomości udzielił mu kilku poleceń. Ten jeszcze przed świtem pobiegł do kancelarii ojca młodzieńca. Starszy pan najpierw zaśmiewał się z powodu jego wybryków, a potem polecił

paru swym podwładnym zatuszować przykre wrażenie, zapłacić gdzie trzeba, a obu spoliczkowanych konstabli przenieść do służby w oddziałach pogranicznych.

- Może pomogłby panu masaż - zaoferowała się Margareta.

- Cicho! - jęknął tonem nieboszczyka ŚuŚu.

I Margareta umilkła spoglądając na Jana. Ten wzruszył ramionami i wycofał się z pokoju. Na schodach wypili resztkę piwa i poplotkowali na temat ekscesów młodego panicza...

Byli bowiem służbą nowoczesną. Jan, gdy miał wychodne, chodził na zebrania kółka wolnomyślicieli, a Margareta składała na wpisowe do wieczorowej szkoły Kobiet Samodzielnych. Po takiej szkole można było założyć własny hotel, a gdy się miało znajomości -

nawet dom schadzek, dostać posadę w urzędzie lub złapać męża.

- Kiedyś się, gówniarz, doigra rzekł szeptem kamerdyner - niech no tylko starszy pan wypadnie z łaski.

- Kiedy to będzie? - westchnęła Margareta. - Jest u szczytu.

- To znaczy niedługo. Na szczycie obok Regenta jest diablo mało miejsca i nikt go na dłużej nie zagrzał.

Rozmowy te przerwało przybycie krytym powozem dwóch facetów, którzy nie zważając na protesty wiernego Jana polecieli obudzić panicza i sprowadzić go na dół.

\* \* \*

- Jakże ja mam piękne ciało, nieprawdaż? - powiedziała Pamela do jednego ze swoich licznych luster.

Zwierciadło nie odpowiedziało, ale jego milczenie dziewczyna przywykła traktować jak aprobatę. Miała dziewiętnaście lat i śladnych skrupułów. Dzięki temu, kiedy inne koleżanki ze śmierzącego zaułka konały na gruźlicę w Hospicjum Św. Limeryka lub pracowały dzień i noc w burdelach dla kolorowych, które niczym miodne plastry kapały zepsuciem na dzielnicę Portową, ona pozostała kwitnąca, zadbana, bogata i niezależna. Przestrzegała przeciw zasady: nigdy nie mieć więcej niż pięciu kochanków. Ale za to dobrych. I miała: księżkę de M., baron Samuelsohn, właściciel sieci

banków, minister O. -

wydawca „Dzwonka Codziennego” oraz pastor Filibert - Pierwszy Kaznodzieja Sekty Ósmego Dnia. Stanowili oni wystarczający zestaw, aby być wygodnie i nie przepracowywać się. Awans Pameli powinien być chyba okrasą czytanek dla młodzieży podczas zajęć z „Anatomii Sukcesu”. Mając 14 lat i ojca alkoholika, poszła na służbę do państwa R. Tam wykorzystywana fizycznie przez ojca, syna i dziadka, już w wieku piętnastu lat doprowadziła, że oszalała z zazdrości na jej punkcie rodzinka wymordowała się nawzajem. Kiedyś zostawił przyzwoite legaty dla młodziutkiej pomocy kuchennej. Romans z przystojnym adwokatem pozwolił Pameli na wejście w posiadanie mieszkania, wyzwolenie się z łap ojca alkoholika i rozpoczęcie około szesnastego roku niezależnego życia, które trwało do dziś. Młoda kurtyzana była nie tylko dostatnio, ale zgromadziła w tym czasie niezłe zabezpieczenie. Miała i rezydencje, i papiery wartościowe, a nawet dobrą reputację, która sprawiała, że nikt nie ważył się na jakąkolwiek obelgę pod jej adresem.

Komisarz policji zbyt gorąco marzył, aby dostać się na rezerwową listę klientów Pameli.

Kroki na schodach - ktoś nie posłyszałby bezceremonialnego szurania podkutych buciorów - odezwały się tak nagle, że kurtyzana zdążyła nałożyć tylko swój amarantowy szlafroczek, w którym zazwyczaj przyjmowała pastora. A gdy dwaj przybyli wymienili jej imię i nazwisko, sięgnęła jedynie po futerko, parasolkę oraz buciki i, tak jak stała, podążyła do powozu.

\* \* \*

- I dlatego, moje panie, naszym hasłem pozostanie zawsze „Rodzina, Monarchia, Tradycja”. Nie poddamy się zgubnym wpływom liberałów i sufrażystek, nie chcemy równouprawnienia i rozdzarcia między obowiązkiem a wolną wolą, pozostaniemy kobietami. O

tak! - skończyła efektownie odczyt Sonia.

Zaklaskał bibliotekarz i jego pomocnik. Reszta sali, nie licząc śpiącego staruszka i dwóch nastolatków-imbecyli, ziała pustką. Plakat ogłaszający zebranie „Przeciwników Wyzwolenia Kobiet”

trzymał się na jednej pinezce.

Starsza pani w męskim śakiecie dopiła wodę z karafki, zebrała rozrzucone papiery i wyszła z sali.

- Wspaniale, hrabino, wspaniała prelekcja. - Bibliotekarz giął się w ukłonach.

- Frekwencja średnia - zauważyła Sonia.

- Przypadkowy zbieg okoliczności. W kaplicy obok przemawia pastor Ósmego Dnia, a poza tym przyjechał cyrk. Z cyrkiem nikt nie wygra. Ale następnym razem, słowo honoru, będzie lepiej. Wszyscy podzielają pani słuszne ideały. Nawet moja Sonia...

- A właśnie, dlaczego jej nie było?

Bibliotekarz coś bąknął niewyraźnie. Nie bardzo wypadało mu przyznać, że jego małżonka uczęszcza na wieczorowy kurs, gdzie uczy się zupełnie innego podejścia do Sycia, niż proponowała dzisiejsza prelegentka.

- Wezwijcie dorosłą - zakomenderowała arystokratka swym wysokim, nawykłym do rozkazywania głosem.

- Nie ma potrzeby - rzekł jakiś mężczyzna, który wyłonił się z cienia. - Wicehrabina Sonia Yo? Pani pozwoli z nami...

\* \* \*

Powóz kołysał się po wertepiastej drodze. Czwórka ludzi wpatrywała się w milczeniu we własne twarze. Od suśu zalatywało zapachem gorzelnicy. Pamela bezskutecznie usiłowała schować pod futrem kolana. Szambelan rozglądał się nerwowo, poruszając szczękami, jakby suł jakiś pokarm lub słowa. Jedynie Wicehrabina, snadź przywykła do różnych ekstrordinaryjnych sytuacji, wyciągnęła teczkę z notatkami i pisała coś zawzięcie. Firanki w oknach powozu były spuszczone, ale pasażerowie wiedzieli, że mężczyźni w płaszczach zajęli stanowiska z tyłu.

Dotąd nie padło żadne słowo wyjaśnienia.

- Co ja takiego zrobiłem? - zastanawiał się w duchu Szaszłyk. - Może gadałem coś przez sen? Nie, to wszystko musi być koszmarną pomyłką.

- Zdjęli tatę! - suśu czuł, jak trzeźwieje gwałtownie z każdą minutą.

- Rany boskie, nie byłam na okresowych badaniach! - myślała Pamela. - Jeśli księżę coś złapał podczas wizyty w Egipcie, to będzie ładny pasztet.

- No, cóż, pewnie moja akcja przeciwko wyzwoleniu kobiet okazała się niesłuszna, ale nie szkodzi, potępię ją, odetnę się od samej siebie i zgłoszę akces do sufrażystek. Też

dobrze! - pocieszyła się, szkicując odnośną wypowiedź, Sonia.

Powóz zatrzymał się raptownie.

- Wsiadać! - zabrzmiał głos jednego z drabów.

No więc wysiedli. Szambelan podał dwornie rękę Wicehrabinie, natomiast przepychający się z drugiej strony śuśuomal nie przewrócił Pameli. Znajdowali się w przepięknym parku. Tuś

po wewnętrznej stronie bramy, za którą tłoczyła się prasa i gapie. Cztery dziewczynki w wyszywanych cekinami strojach dolnoamirandzkich wręczyły im kwiaty. Eskortujący ich mężczyźni zniknęli. Mali, szybcy gazeciarze rozdali im najświeższy numer „Amiranda Kurier”.

Z pierwszej strony gazety wyglądały ich własne twarze, pełne dostojeństwa i skupienia.

*Nasi eliminaci, Wybraliś my najlepszych* - głosiły tytuły. Cokolwiek zdziwieni transparentem popatrzyli po sobie, a potem pobiegli wzrokiem ku centralnemu klombowi, z którego wystawał

niski, biało pomalowany budynek w stylu klasycystycznym z napisem na tympanonie -

„Budka Telefoniczna Numer 1”.

*Jak donosi nasz specjalny wysłannik* - głosiły pierwsze zdania „Amiranda Kurier” - *juś dziś*

*pierwsi reprezentanci społeczeństwa wypowiedzą się w imieniu szerokich rzesz ludności Amirandy w naszym upragnionym Telefonie Zaufania.*

- Brawo, brawo! - wołał zza przepięknie kutej bramy tłum kibiców zgromadzony z prawej strony.

- Roz-ma-wiaj-cie, roz-ma-wiaj-cie! - skandowali ci z lewej. Eliminaci popatrzyli po sobie, dookoła w alejkach było pusto.

- Ha, jak trzeba, to trzeba - rzekła Wicehrabina. Pospieszili za nią. Szaszłyk Szambelan z trudem dorównywał im kroku, on i skacowany śuśuomal pozostali trochę z tyłu. Emeryt, cały czas rozglądając się niespokojnie, najpierw spytał młodego playboya, o czym zamierza mówić przez telefon?

- O niczym - odburknął ten. - Poproszę o połączenie z tatką, i starczy.

- Jaka

ta

młodzieś

jest

cyniczna

-

pomyślał

Szambelan,

a

potem

zaczął się zastanawiać.

Bezpośrednia rozmowa nie uśmiechała mu się. Dotąd nawykł raczej do słuchania, do krótkich urzędniczych: „tak jest, Wasza Wysokość”, „oczywiście, Eminencjo” czy teŜ

„Ekscelencja ma pełną słuszość”. Poruszyć sprawę rent dla wysłuŜonych emerytów? - to zakrawałoby na prywatę. Zanim doszli do białego pawilonu, miał juŜ jednak listę spraw.

Po pierwsze, kwestie kar dla woźniców, którzy lekcewaŜyli sobie najwyraźniej rozporządzenie o przymusowym ogumieniu kół wozów w mieście stołecznym i hałasowali mu o Őwie pod oknami.

Po drugie, sprawa protestu w imieniu starszych ludzi przeciwko estetycznym bezeceŔstwom impresjonistów.

Po trzecie, koniecznoŔć uchwalenia zakazu wstępu psów nierasowych do parków publicznych...

- A ty skąd się tu wzięłaŔ? - Wicehrabina przeszła Pamelę wzrokiem pełnym pogardy.

- Mogłabym zapytać o to samo - odcięła się dziewczyna.

- Ja się nie mam czego wstydzić, cięŜką pracą zapisałam najchlubniejsze karty społecznej działalności w Amirandzie.

- Ja teŜ, tyle Ŕe nie społecznej...

Sonia Yo zignorowała odpowiedź.

- Działałam jako prelegentka i honorowa markietanka, piastowałam odpowiedzialne funkcje w Towarzystwie Hodowli Kanarkówi Papug Falistych, prezydiowałam Kołu Popierania Monarchii i sekretarzowałam Klubowi Przyjaźni Amirandzko-Amirandzkiej...

- A pracowała pani kiedyŔ na Ŕycie?

Arystokratka wygięła pogardliwie wargi i uznała, Ŕe dalsza rozmowa z rozmemłaną parwenuŔzką tylko uwłacza jej błękitnej krwi z awansu.

Weszli do rozmównicy. Cały pawilonik wypełniała rozległa poczekalnia, ze znajdującą się w Ŕrodku oszkloną kabiną. Nigdzie Ŕladu człowieka.

- I co teraz? - zapytała Pamela.

- Chyba pan z racji wieku i urzędu - Wicehrabina wyszczerzyła w uŔmiechu swe nieliczne zęby w stronę Szambelana.

- Zawsze ustępuję kobietom - wykręcił się dwornie.

- A ja młodzieŝy - Sonia skinęła na Pamelę.

- Mogę, czemu nie - wzruszyła ramionami kurtyzana - ale ja tam przemawiać nie umiem, ŝadnych problemów nie mam. I myślę, ŝe na rekonesans powinien pójść pan ŝuŝu.

Rozmowy z górą to dla niego nie pierwszyczna.

- Proszę bardzo, ale na kacu jestem bardzo szczery i, jak wygarnę, moŝe juŝ nie być dalszych rozmów. Zresztą, moŝe uzgodnilibyśmy sprawy, które warto by poruszyć na pierwszy ogień, ŝeby się nie powtarzać. Ja jestem za zniesieniem gorsetów obyczajowych, dopuszczeniem do wolnej miłości i nieograniczonej dystrybucji uŝywek. Dla biednych bezpłatnie...

Pamela zachichotała. Za to grdyka Szambelana podskoczyła jak szczur w gwałtownie hamującej windzie.

- Sądzę, ŝe najpierw powinniśmy podziękować władzy - rzekł - za daną nam moŝliwość otwartego i bezkompromisowego wypowiedzenia się na wszystkie tematy, a następnie zabrać głos...

- Dobra - przerwała Wicehrabina - ja zaś sądzę, ŝe najwaŝniejsza jest szczerość. Nie komplementy, nie czułe słówka, tylko prosto w oczy, po nazwiskach. O naszych problemach: rozwodrzeniu młodzieŝy, nieuczciwości arendarzy, lenistwie chłopów pańszczyźnianych, nieporządkach w niektórych zaułkach. Bez lakiernictwa! Nawet moŝna by skrytykować niŝsze szczeble administracji.

- Mój Boŝe - wyrwało się Szaszłykowi.

- Są za dobrzy i zbyt liberalni.

- Ja się na tym nie znam - zaczęła Pamela - ale moŝe warto byłoby wspomnieć o nędzy w dzielnicach południowych i zdzierstwach tamtejszych poborców, działających ręka w rękę z gangami. O przekupności sędziów i kłamstwach Heroldii...

- Czy ktoś coś tu mówił, bo mnie się wydawało, ŝe nikt? - zapytała Wicehrabina Szambelana.

Ręka ŝuŝu, błędząca od pewnego czasu po udzie młodej dziewczyny, ścisnęła je wymownie.

- Fajna jesteś, ale bardzo głupiutka - rzekł jej do ucha. - Kto ci o tym wszystkim nagadał?

- W łóŝku moŝna nauczyć się wielu ciekawych rzeczy.

- Będziemy losować kolejność wypowiedzi - powiedziała Sonia. - Napiszemy swoje nazwiska na karteczkach, wrzucimy do mego czepek, a ja wylosuję.

Los przewrotnie wskazał Wicehrabinę. Ta pokraśniała. Nie wiedzieć: z dumy czy raczej niepokoju.

- Idę wypełnić swój obowiązek - stwierdziła dramatycznie. - Ale proszę kolegów, abyśmy w swych

wypowiedziach unikali mówienia o sobie nawzajem. Mówmy o sprawach ogólnamirandzkich, a między sobą bądźmy solidarni.

Szaszłyk z przyzwyczajenia zaklaskał.

- O ile zechcą z wszystkimi nami rozmawiać - rzekł śuŚu.

Sonia zatrzymała się.

- A myśli pan, Śe mogą?

- Wszystko mogą.

Yo weszła do budki, zdjęła złotą, inkrustowaną rubinami słuchawkę. Na zewnątrz dobiegło powtórzone:

- Hallo, hallo!...

Ale potem arystokratka zatrzasnęła drzwi i dalszy przebieg rozmowy można było obserwować na niemo. Najpierw Wicehrabina stała profilem do całej reszty eliminatów, potem odwróciła się tyłem.

Słuchawkę ścisnęła tak silnie, Śe aŚ jej pobieleły nadgarstki. Skończyła po kwadransie.

- Jak było? - zapytał następny do rozmowy Szaszłyk.

- Prawidłowo i na roboczo - odparła Sonia, ocierając pot z twarzy.

- Powiedziała pani wszystko, co miała do powiedzenia? - zapytał niedowierzająco śuŚu.

- I jeszcze więcej - odparła działaczka i widząc, jak Szambelan wchodzi do kabiny, potruchtała, aby obserwować go z drugiej strony.

Tak więc, w jakimkolwiek kierunku by się odwrócił, wszędzie napotykał zaciekawione oczy współeliminatów.

Początek rozmowy był chyba nieprzyjemny. Szambelan Starogrodzki powiedział parę słów i wsłuchiwał się w odpowiedzi. Okropnie pokraśniał, a jego skóra przypominała teraz zleŚałą koninę. Sprawiał wrażenie, jakby słuchawka parzyła go w rękę i miał ochotę cisnąć ją na widełki, ale z wolna zaczął się rozkręcać. Jego usta poruszały się w coraz dłuższych zdaniach, potem doszła nawet gestykulacja. W sumie dialog trwał około pół godziny i zakończył

się wykonanym z uśmiechem pełnym czci, ale bez przesady ukłonem.

- Pańska kolej, śuŚu - stwierdził wychodząc.

Sonia wyglądała na niespokojną.



- Coś długo pana maglowali? - zauważyła.

- To była przyjemna desentelmeńska rozmowa na tematy najważniejszych spraw narodu i monarchii. Mieliście rację, trzeba było mówić o wszystkim. Bez oporów.

śusu chyba miał kłopoty z połączeniem. Trzykrotnie odkładał słuchawkę na widełki i podnosił ponownie. Ale wreszcie poszło. Sądząc z niedbalej pozy, rozmowa przybrała wręcz familiarny ton.

Musiały często padać śarty, playboy parokrotnie wybuchał serdecznym śmiechem, to znów nonszalancko przerzucał słuchawkę z ręki do ręki, dając obserwującym do zrozumienia, że nic a nic nie przejmuje się opinią z góry...

- Kto z panem rozmawiał, Regent? - zapytała Wicehrabina Szambelana.

- Nie, jego sekretarz, a z panią?

- Jego pierwszy sekretarz. Bystry człowiek.

Wreszcie śusu odwiesił słuchawkę i wyskoczył z kabiny jak z łódeczki, którą odbywał przyjemny spacer po stawie.

- Teraz ja - ruszyła Pamela.

- Nie ma takiej potrzeby - zatrzymała ją Sonia.

- Aleś to moja kolej! Puść mnie, stara kwoko!

- Już przekazałam twoje uwagi - stwierdziła nie dając się sprowokować Yo.

- Ja teś o nich napomknąłem - dorzucił Szambelan.

- Ale ja mam chyba prawo...

- Możemy to przegłosować. Kto jest za dopuszczeniem tej... małej do głosu? - zapytała Wicehrabina.

- Ja się wstrzymuję - rzekł dyplomatycznie śusu, który mimo pozoru rozbawienia po wyjściu z budki zdawał się być markotny.

Pozostała dwójka była, oczywiście, przeciw. Pamela odwróciła głowę, nie chcąc pokazać łez, które zakreśliły się jej w oczach.

- Liryczna kurewka - przemknęło Szaszyłkowi - trzeba się nią zainteresować.

Naraz podniosła się jakaś płytko w podłodze. Sonia wydała zdławiony okrzyk przestachu.

Z otworu wyłoniła się najpierw osmalona łapa, potem torba, wreszcie barczysta postać w

poplamionym kombinezonie. Monter obrzucił zebranych miłym spojrzeniem.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł - ale nie dało się wcześniej. Za minutę aparat będzie podłączony.

- Jak to? - wybąkała Pamela. - A dotąd?

- Był głuchy, panienko, jak pień. Głuchy telefon.

Nikt z pozostałych eliminatów nie podniósł spuszczonego oczu. Elektryk pogmerał coś jeszcze przy aparaturze, po czym dzwonek zabręczał. Przenikliwie, dostojnie.

- No, moŜna gadać - rzekł pracownik znikając w otworze.

Stali lekko zdetonowani.

- JuŜ moŜna - powtórzył elektryk - śmiało.

Wicehrabina spojrzała władczo na Szambelana, ten zrobił krok jak ptaszek hipnotyzowany przez węŜa.

- Aha, jeszcze jedna informacja. - Głowa z otworu wychyłała ponownie. - My, monterzy z koncernu telefonicznego, zrobiliśmy na własną rękę małą modyfikację. Przez dziurę czasową precyzyjnie przeliczyliśmy gigantofon (produkcja Z-L, lata pięćdziesiąte), wszystkie wasze rozmowy będą słyszane przez wielotysięczne tłumy zebrane przed bramą parku.

Nasi

towarzysze

zadbali,

aby

w

pół

godziny

zebrać

tam

całe

miasto. No, powodzenia...

Zapadła cisza. Telefon nadal dzwonił. Szaszłyk cofnął się aŜ pod ścianę. ŝuŜu przeglądał ubranie w

poszukiwaniu papierosa.

- Teraz chyba twoja kolej, Pamelciu - powiedziała słodziutko Sonia, pieszczotliwie głaszcząc lniane włosy młodej nierządnicy.

\* \* \*

Dźwięk podnoszonej słuchawki zabrzmiał w uszach wielotysięcznych tłumów zgromadzonych wokół parku niczym salut armatni. Ucichły rozmowy, nawoływania przekupniów, wstrzymali oddech studenci i konfidenti, przypadkowi przechodnie i bony do dzieci.

Rozległ się lekko zachrypnięty sopran Pameli.

- Hallo, tu Pamela, czy to Telefon Zaufania?

Cisza.

- Czy to Telefon Zaufania, bo ja chciałam przekazać w paru punktach...

Słowa przerwała świdrująca uszy melodyjka, raz, dwa, trzy, a potem rozległ się bezosobowy głosik:

- Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru...

## ZADANIE PONAD SIŁY

Czas kanikuly wymiółł doszczętnie ulice Regentowa, dwór udał się na wieś. Za nim umknęła pokaźna fala arystokracji. Koła finansjery i kupiectwa, zwolniwszy ruch w interesach, przeniosły się równieŜ do wód lub ku górskim uzdrowiskom. Na pograniczach trwał

spokój, a ciągnący się siedem miesięcy strajk kopaczy srebra - samoistnie wygasł.

- Nudy, nudy, nudy - powtarzał oparty mocno o stolik poeta Arystyd Tenn, pociągając łyk absyntu i rozglądając się za muzą.

Ale muzę teŜ wywiało z secesyjnego wnętrza; kabaret „Niebieski smok” zamknął swoje podwoje do jesieni. A jesienią? Jesienią niektórzy spodziewali się wojny. W świecie alternatywnym do Alternatywnego trwała bowiem zawierucha zapoczątkowana strzałami w Sarajewie. Wieści skąpe, ale jednak przenikały i niektórzy prorokowali, Őe i tu starcie koalicji Etańskiej z Rurytańską jest niechybne, mimo Őe konflikty międzynarodowe i sprzeczności klasowe nie dojrzały jeszcze do wojny. Ale czego się nie robi dla mody... Arystyd uniósł szklaneczkę.

- Twoje zdrowie, Piotrze! Kropelkę czystej sztuki i pamiętać o nas będą późne wnuki.

Partner Tenna, szczupły, melancholijny młodzieniec, odsunął kieliszek. Myślami przebywał

daleko stąd, w małym pałacyku na przedmieściu św. Limeryka, otoczonym gazonami kwitnących hibiskusów... w domku Ketty. Od wczoraj miał tam zakaz wstępu. Papa Urtenveld wyraził się

dostatecznie precyzyjnie. Nie dokończony prawnik, bezetatowy współpracownik

„Amiranda Kurier” nie miał nawet prawa marzyć o koneksjach z rodziną Króla RóŜanego Olejku i Pierwszego Importera PiŜma.

Jeszcze do wczoraj Piotr łudził się, Ŝe miłość przetrzyma próbę, Ŝe Ketty, nawet po oficjalnej odmowie ojca, przyjdzie i wyjadą razem, choċby do Nordlandii.

Niestety, śliczna blondyneczka rozczarowała go. Całkiem szczerze wytłumaczyła, Ŝe z luksusu rezygnować nie zamierza, a poza tym związek z młodym dziennikarzem zdąŜył jej się znudzić.

Piotr nie popełnił samobójstwa co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, nazbyt kochał Ŝycie, a nadto zdąŜył przywyknąć do przegranych, rozstań i koszy. Nie miał szczęścia, i juŜ.

Z wnętrza caffeterii niezbyt dokładnie widać ulicę, ludzie przesuwający się po trotuarach Placu Ratuszowego jawią się jako cienie z innego wymiaru, chyba Ŝe ich twarze znajdują się bardzo blisko szyby. Tak zdarzyło się i tego sennego popołudnia. W pewnym momencie Piotr zauwaŜył, Ŝe spoza okna wpatrują się w niego ogromne, piękne oczy osadzone w równie niezwyklej twarzy o boskich rysach i grubych, ciemnych brwiach. Nie zdąŜył

zareagować, twarz odsunęła się i kobieta zniknęła.

- Co ty wyprawiasz, a rachunek?! - krzyknął za nim Arystyd Tenn, ale dziennikarz znalazł się juŜ na zewnątrz.

Reprezentacyjny plac stolicy świecił pustkami. Jakiś staruszek karmił pawiki (wielobarwne gołębie amirandzkie), trzy przekupki kłóciły się zajadle koło katedry. Ani śladu nieznajomej. Piotr ocenił odległości od czterech najbliższych ulic. Jeśli piękna nie skręciła w Ŝadną z bram, pozostawała jedynie Solna, stara, krzywa ulica opadająca stromo ku Srebrnej Bramie. Skoczył tedy ku Solnej i ledwo wypadł zza węgła, dojrzał w perspektywie znikającą sukienkę koloru amirandzkiego nieba. Pomknął chyŜo jak myśliwski ogar. Na placu Przywała zwykle stały doroŜki. Tym razem czekała tylko jedna i w nią wsiadła piękna nieznajoma. Fiakier szarpnął lejcami i dwa gniadosze puściły się przez bramę ku świeŜo wytyczonej promenadzie im. XXII Dynastii. Dziennikarz juŜ zamierzał pobiec za nimi, w najgorszym razie podwiesić się z tyłu powozu, jak to czynił częstokroć będąc chłopcem, gdy zauwaŜył elegancki angielski kocz zaparkowany w bocznej uliczce, bez woźnicy. Oparty o niego stał typowy turysta rurytański w kraciastym trenczu i takiejŜ czapce na głowie. Był rumiany, uśmiechnięty, słowem - ze wszech miar wzbudzał zaufanie.

- Czy mogę panu w czymś pomóc, młody człowieku? - zapytał, uprzejmie skłaniając głowę.

- Chciałbym... znaczy - przemógł normalną nieśmiałość Piotr - prędko za tym powozem.

- Z prawdziwą przyjemnością.

Ruszyli z kopyta.

- Piękna kobieta - zauważył Rurytańczyk - znają pan dobrze?

- W ogóle - wyznał otwarcie Piotr. - Ale chciałbym poznać.

- To zrozumiałe, teŜ byłem młody, szalony...

Przelecieli Aleję, wokół której wznoszono coraz nowe wille przemysłowców, minęli pętlę konnego tramwaju. Krajobraz uległ zmianie, równa zabudowa ustąpiła miejsca drobnym, luźno stojącym domkom przeplatany ogródkami, sadami, a czasem kępą lasu.

- Nie widzę powozu! - gorączkował się młodzieniec.

- Nie szkodzi, ja go widzę doskonale, skręcił za karczmą, w Lasek Zbójceki.

- To i my skręcajmy.

Prawdę powiedziawszy, dziennikarz nie wyznał wszystkiego, nieznajomą spotkał bowiem parokrotnie.

Pierwszy raz zdarzyło się w operze. Grano *Luizję*, pierwszą z trzech kompozycji *Trylogii limeriańskiej* Arnolda Titteza, zwanego niekiedy przez krytykę amirandzkim Wagnerem. Piotr był z Ketty i jej kuzynką, śledził solową arię Wielkiej Alicetty, kiedy usłyszał obok głos narzeczonej.

- A to kto? Cóż za zły gust.

Odwrócił głowę - panna Urtenveld lornetowała przeciwległą loŜę, z której ku scenie wychylała się jakaś młoda kobieta. Nawet z tej odległości wydawała się piękna. Kiedy po paru minutach otrzymał lornetkę, upewnił się jeszcze bardziej. Dziewczyna była ubrana rzeczywiście nieco staroświecko. Dekolty i koronki zniknęły z Œurnali mÓd dobre trzy lata temu, ale pał sześć stroje...

- To loŜa barona Hochfeldssona - mrucała na wpół do siebie, na wpół do swej kuzynki Ketty - ale przecieŜ Hochfeldssonowie od miesiąca są za granicą, czyŜby loŜę wynajęto pod ich nieobecność?

- W kaŜdym razie, to nie jest nikt z towarzystwa, moja droga - odezwała się kuzynka.

- Jeśli was aŜ tak interesuje ta kobieta, mogę się dowiedzieć, kto zacz - zaofiarował się Piotr.

JakoŜ otworzyły się drzwi na przerwę. Dziennikarz przeprosił panie i podąŜył na drugą stronę widowni. Miał nadzieję zetknąć się z nieznajomą na schodach, ale jej nie spotkał.

Podszedł więc ku wejściu do loŜy. Zapukał. Bez odzewu. Pchnął drzwi. Zamknięte.

- Szuka pan kogoś? - zainteresował się bileter; znał dobrze Piotra i był mu Œyczliwy.

- Chciałbym zamienić parę słów z tą panią.

- Jaką panią? - Bileter nastroszył siwe wąsy.

- Złoty numer trzy.

- Łośa jest zamknięta, państwo baronostwo wyjechali...

- To wiem, ale przed chwilą widziałem tam młodą kobietę.

- Wykluczone - tym razem głos biletera zabrzmiał nieprzyjemnie. - Łośa jest zamknięta, a klucz mam ja. Ale skoro pan tak nalega... - Otworzył drzwi i podniósł

purpurową zasłonę. Wewnątrz nie było nikogo. - No i proszę.

Piotr rozglądał się, szukał śladu, zapachu, nie znalazł niczego.

- Ot co. Musiały się panu pomylić łośe.

Dziennikarz cofał się zrezygowany. Naraz drgnął.

- Kurz! - zawołał triumfalnie. - Tu nie ma kurzu, jeśli więc Łośa jest zamknięta od miesiąca...

- Odkurzamy codziennie całe wnętrze, proszę pana - powiedział bileter.

- Musiała wyjść - rzekł Piotr wróciwszy do Ketty - a ty się czegoś dowiedziałaś?

- Nic. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Dziennikarz został jeszcze chwilę po spektaklu; pytał kasjerów, boyów od lodów i napitków, portierów, również tych od wejścia dla artystów. Nikt nie zwrócił uwagi na Damę w Błękitcie. A tuś przecż przerwą wychodziła z teatru tylko jakaś kaszłaca staruszka. Nikt więcej Dał więc za wygraną, zapomniał o nieznajomej. Dopiero z początkiem czerwca, biesiadując nad brzegiem Kamienicy z grupą awangardowych malarzy, dostrzegł błękitną zjawę na pokładzie wycieczkowego parowca. Stała samotnie na rufie oparta o reling, a wiatr rozwiewał jej długie, ciemne włosy, kontrastujące ze śnieśną karnacją.

- Patrzcie, bogini - zwrócił na nią uwagę pointylista Rubetti. - Prawdziwa Diana.

- Typ kaukaski! - dorzucił fachowo mistrz kolorytu Santos.

Piotr nie powiedział nic. Pośyczył sobie rower Rubettiego i płosząc wróble i bony z dziećmi przejechał cały park, aby na przystani czekać przybicia parostatku. Ale nieznajomej na nim nie było. Powtórzyła się sytuacja z opery. Nikt nie zwrócił uwagi na piękną kobietę. Pokład rufowy był tego dnia zamknięty dla pasaśerów.

-

A mośe szanowny pan widział ducha? - zarechotał wilk rzeczny.

Piotr nie wierzył w duchy. Zwłszcza gdy tydzień potem ujrzał obraz Rubettiego. Kolorowe punkciki

układały się na nim w krajobraz nadrzeczny, parostatek i skrawek błękitu na rufie. Piotr chciał mieć ten obraz na własność, ale Rubetti zasłaniał się brakiem zgody marchanda. ten zaś proponował dużą cenę. Dziennikarz sprzedał książkę i parę artykułów, zadłużył się, ale gdy zjawił się z szukaną sumą - handlarz obrazów rozłożył ręce.

- Mieliśmy dziś w nocy włamanie, obraz został skradziony. To dziwna kradzież, nie zginęło nic poza Damą z pokładu.

\* \* \*

Powóz zatrzymał się, alejka kończyła się ślepo w środku Lasku. Piotr spojrzął na Rurytańczyka, ten uśmiechał się.

- Pan mnie oszukał! - krzyknął dziennikarz. - Zgubiliśmy ją!

- Spoko... spokojnie - powiedział cudzoziemiec, a potem z siłą o jaką trudno było go posądzić, wyciągnął młodzieńca z powozu i cisnął na trawę. - Gadaj, co wiesz? - warknął.

Nie przypominał teraz dżentelmena.

- Ależ, proszę pana, ja nie wiedziałem, że jest pan tak zaangażowany...

Cios w żołądek zmusił go do zamknięcia. Potem Piotr został potrząśnięty jak worek.

- Odpowiadaj na pytania! Jak długo ją śledzisz? Ile ci płacą? - W dłoni Rurytańczyka zakwitła klinga sprężynowego noża.

- To pomyłka. Ja jej nie śledzę, nazywam się Piotr Erdon, jestem dziennikarzem „Amiranda Kurier”. Bardzo mi się podobała. Po prostu byłem ciekawy...

Oczy napastnika jakby złagodniały.

- Masz jakąś broń?

- Ja, broń?... śadnej!

Rurytańczyk zrewidował go pośpiesznie, potem schował nos.

- Może i mówisz prawdę. Ale skoro nie zostałeś wynajęty, po co chcesz ją dogonić?

- Bo mi się podoba. To najpiękniejsza młoda kobieta, jaką znam.

Męszczyna w trenczu sapnął.

- Młoda

kobieta.

Rzeczywiście,

przyjacielu,

teraz

ci

wierzę,

ktoś

pracujący dla naszych wrogów wiedziałby więcej.

- Co więcej?

- Na przykład to, że Hawa ma ponad pięć tysięcy lat...

\* \* \*

Było parno. Grzmoty kotłowały się nad górami. Nad ziemią wisiła wilgoć i ogromna, skomasowana w atramentowych chmurach energia. Pot zalewał oczy rosnemu mężczyźnie zajętemu układaniem poszycia. Zewsząd dolatywał stuk młotów wbijających drewniane ćwieki w cedrowe bale. Kobiety również nie próżnowały, znosiły paki z żywnością, karmą dla zwierząt...

- Hawa, przynieś wody! - zakomenderował ojciec. Dziewczyna klęczała nad źródłem i rozczesywała swe wspaniałe włosy. W zwierciadlanej toni odbijała się twarz piękna i szlachetna, rozchylone karminowe usta odkrywały olśniewająco białe, równe zęby.

- Przynieś mi wody, Hawa! - powtórzył ojciec. - Nie bądź wydrą jak twoja prababka, przez którą tak wszyscy cierpimy.

Podniosła się niechętnie.

- Jest bardzo gorąco, tatusiu - stwierdziła - chce mi się spać.

- A myślisz, że mnie się nie chce - wybuchnął. - Ale nie ma czasu, Dzień Trwogi nadchodzi. Za parę dni to wszystko aż po horyzont pokryje woda. Jeśli nie zdążymy, nie ocaleje nikt...

- Bzdura! - Dziewczyna wygina usta w podkówkę. - Zamiast budować taki ogromny statek, wystarczy dobrze nauczyć się pływać, tak jak ja umiem!

Przez moment mogło się wydawać, że starca powali apopleksja, żyły mu nabrzmiały, krew nabiegła do twarzy.

- O Panie, słyszysz! - krzyknął. - O, Panie mój! Czy nie ma kary dla tej małej, leniwej grzesznicy? A zatem, jeśli chcesz, córko, pływać, pływaj, lecz naprawdę powiadam ci, że nie zaznasz spoczynku,



aŚ nie nadejdzie drugi potop. To ci mówię ja, twój ojciec Noe!

\* \* \*

Na ratuszowej wieŚy zegar wybił kwadrans po jedenastej. Hawa wyszła z olbrzymiej emaliowanej wanny i otuliła się ręcznikiem. Jej długie, ciemne włosy rozpuszczone swobodnie sięgały prawie do połowy ud. Uniosła grzebień i zauwaŚyła, Śe jej ręka drŚy.

- Nie powinnam tego robić - pomyślała.

Spojrzała na przyniesiony parę godzin temu kosz róŚ. Olśniewająco purpurowych...

- Piotr Erdon? Dziennikarz. A więc to ten... Ciekawe, w jaki sposób mnie znalazł? -

westchnęła, a potem poczuła, Śe pragnie tego młodego chłopaka, jego młodości, gorliwości, zapewne i niezręczności...

Wiedziała, Śe mogą z tego wyniknąć kłopoty, zawsze wynikały, ale z drugiej strony, ile juŚ lat nie miała męŚczyzny? DwadzieŚcia, trzydzieŚci? W ciągu wieków nauczyła się wielu rzeczy: podobańcia się i bycia niezauwaŚalną, sztuki ataku i uników. Nie potrafiła jedynie nauczyć się doskonałej obojętności...

\* \* \*

Dane majora Williamsona na temat Hawy, córki Noego, były więcej niŚ niekompletne. Ten znakomity oficer, wysoko ceniony w sztabie Ententy, otrzymał wprawdzie dossier i polecenie wytropienia Wiecznej Tułaczki, ale teczkę wypełniały głównie domniemania i luźne meldunki. Trzy miesiące po przejściu w alternatywnoŚć szukał Hawy, której ostatnie ślady pochodziły sprzed ćwierć wieku i dotyczyły pewnego skandalu w Rurytanii. Na koniec - więcej dzięki szczęściu niŚ metodzie

- namierzył ją w Amirandzie i przez następne miesiące, nadzorując dyskretnie, zastanawiał się nad sposobem zrealizowania misternego planu.

O ile jednak dane brytyjskiego wywiadu moŚna nazwać fragmentarycznymi, wiedza społeczna na temat Hawy była Śadna. Pozostawała absolutnie w cieniu słynnego Ahaswerusa, który był przecieŚ o połowę od niej młodszy. MoŚe dlatego, Śe była kobietą, a moŚe z powodu nieprzyznawania się do Śydowskiego pochodzenia. Hawa, której młodoŚć upłynęła na stokach Araratu, osobiŚcie uwaŚała się za Ormiankę, ale czy w jej wypadku moŚna w ogóle mówić o jakiejś narodowości?

Kiedy wezbrały wody, jej pływackie umiejętności rychło okazały się niewystarczające, na zaimprovizowanej tratwce gonila Arkę, wreszcie ojciec dał się ubłagać i wciągnął ją na pokład.

Natomiast o anulowaniu klątwy nie mogło być mowy. Rozeszli się po Świecie i pomarli Cham, Sem i Jafet, zmarł trzysta pięćdziesiąt lat po potopie sam Noe, ona zaś wciąż była młoda i piękna. Początkowo trzymała się rodziny, ale juŚ w pokoleniu wnuków przegnano ją ostatecznie. Zwłaszcza kobiety nie mogły jej darować wiecznej urody.

Rozpoczęła się wędrówka. Przez długie lata pod różnymi nazwiskami przemierzała świat, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej. Była, gdy w Mezopotamii poczęto wznosić wieżę Babel, asystowała narodzinom piramid, zajrzała do Rzymu, kiedy ten był jeszcze prostokątem pola.

Dzięki urodzie i doświadczeniu wspartym magnetyczną siłą posiadała osobliwą władzę nad mężczyznami. Potrafiła obłaskawić hetyckiego barbarzyńcę, gdy ten dysząc sędzą mordy wkroczył do Meggido, i pod pseudonimem Bryzeidy rozpalić gniew między Achillem a Aga-memnonem podczas wojny trojańskiej. Bywała branką i najkosztowniejszym prezentem, Soną i nałożnicą. Ale tylko wtedy, gdy sama tego chciała. Ubocznym efektem klątwy była zapewne niemożność macierzyństwa, choć to w przypadku konieczności stałej dobrej dyspozycji fizycznej, przy częstych zmianach miejsca pobytu i uciezkach, bywało dosyć przydatne. Co pewien czas ją przecieś rozszyfrowywano.

Ostatnim ze starożytnych, który się na niej poznał, był cesarz Klaudiusz, który otrzymał ją w prezencie od Heroda Agryppy. Na cesarskim dworze przebywała w chłopięcym przebraniu (do chwili, kiedy rozpoznana przez Agryppinę musiała zmykać, gdzie pieprz rośnie), całe noce spędzając na dyskusjach z kalekim imperatorem.

- Ach, żebyś ty jesz... jeszcze by... była mężczyzną - marudził cesarz.

- Po co?

- Opowiedziałabyś mi historię świata... świata. Mój ta... tato Jowiszu! Mieć szansę na relacje z pierwszej ręki to prawie cud.

Hawa starała się jak mogła. Ale w jej relacji była to historia typowo babska, bez chronologii, gradacji faktów, za to z ogromną furą nieistotnych drobiazgów i plotek. Klaudiusz załamywał ręce, gdy Hawa pytana o mechanizmy dziejowe opisywała skandale sypialniane. O budowie piramid nie miała najmniejszego pojęcia, za to sypała anegdotkami z dworu Cheopsa.

- A mmmo... może przypominasz sobie, dzie... dziecinko, Im... Imhotepa?

- Kogo?

- Ar... architekta... twó... twórcę osiągnięć Starego Państwa. Może wiesz, skąd przybywał? Z At... Atlantydy, z Indii?

- A, ten pedał? Stary nudziarz. Nigdy się nim nie interesowałam.

Słowem, jako źródło historyczne przypominała foliał, który ktoś uprał w pralce i przekręcił przez wyśmaczkę. A potem znów uciekała, uciekała, wreszcie któryś z kochanków zdradził jej przejście do świata alternatywnego i tam zniknęła, zacierając ślad.

W Z-2 postanowiła zachowywać się rozważniej.

Zrezygnowała ze statusu konkubin królewskich, unikała skandali, potrafiła prawie zawsze znaleźć jakiegoś niepozornego opiekuna-starca lub korzystnie wyjść za mąż na pięć, dziesięć lat (a potem

zniknąć, nim jej „trwała uroda” mogła się stać powodem ludzkiej ciekawości i zawiści).

Nie umiała i nie chciała wyzbyć się jednak kobiecej kokieterii, a to wymagało, Œeby co jakiś czas zabłysnąć całą swą urodą, olśnić kogoś, zmusić do szaleńczej miłości. A potem, gdy biedny głupiec dostawał poplątania zmysłów, popełniał samobójstwo czy desperacko tchórzył, tupiąc nóŜkami jak mała dziewczynka, zaśmiewała się do łez...

Piotr znakomicie nadawał się na krótką miłostkę. Lubiła takich lekko ciapowatych, Œyciowych niedorajdów. Zakochiwali się gwałtownie, dawali sobą kierować, a miłość odbierała im zazwyczaj resztki rozsądku.

Trzy puknięcia w drzwi. Eleganckie, nienatarczywe, ale znaczące.

- Proszę, niech pan wejdzie - powiedziała kończąc się ubierać Hawa.

\* \* \*

Spotkania trwały zawsze trzydzieści minut. Piotr zresztą był człowiekiem zbyt dobrze wychowanym, aby nalegać na dłuŜej. Akcja kolejnych odsłon rozwijała się powoli, rzekłbym, nawet bardzo powoli.

Pierwszego wieczoru dziennikarz dostał ledwie ucałowania dłoni pięknej Ormianki (występującej zresztą pod zeuropeizowanym imieniem Ewa), drugiego wieczoru na poŒegnanie obdarzyła go soczystym, głębokim, wilgotnym jak owoc dojrzałej brzoskwini pocałunkiem, gdy zaś nadeszła trzecia wizyta... Ale po kolei. Po kaŜdej z dwóch pierwszych wizyt, które zakończyły się na krótko przed północą, Erdon biegł do hotelu „Złoty Indor” i - jak ustalili to w dŒentelmeńskiej umowie - składał raport majorowi Williamsonowi.

Między obu panami stanął bowiem ciekawy pakt. Pracownik tajnej słuŜby zdradził

Piotrowi miejsce pobytu Hawy, ten zaś miał informować o rozwoju flirtu. Upokarzające, ale jeśli nie istniała inna metoda...

- I pamiętaj, młody człowieku, zimna krew, nieustannie zimna krew - instruował

major. - Domyślam się, Œe dziewczyna idzie do głowy jak młode wino, ale pamiętaj, Œe ta nalewka ma blisko sześć tysięcy lat.

- Nie wierzę panu, to autentycznie młoda kobieta, wdowa, zwierzyła mi się, Œe jest bardzo samotna, odkąd trzy lata temu jej młody mąż poległ w pojedynku. Pan mi opowiada legendę, a Ewa ma najwyŜej dwadzieścia osiem, no, trzydzieści lat.

- Mówią, *błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli*, ale najwyraźniej pan się do nich nie zalicza - westchnął Williamson - proszę jednak posłuchać mej rady...

Ewa (Hawa?) oczekiwała tym razem w peniarze, biały szlafroczek odsłaniał więcej, niŜ

zasłaniał, a rozpuszczone włosy okalały ją iście monarszym płaszczem. Jeśli dotąd wyglądała przepięknie, tego wieczora wrażenie było oszałamiające. Piotr ucałował alabastrową rękę i przypadł do kolan. Całując uczył drżenie przebiegające przez jej skórę.

- Jest moja! - pomyślał.

Weszła pokojówka wnosząc herbatę. Erdon spłonął rumieńcem i poderwał się z kolan. Ewa uśmiechnęła się z pobłażaniem. Pokojówka pokręciła się chwilę, po czym znikła. Piotr znów podskoczył ku ukochanej z rączością charta. Podała mu usta, jej oczy rozszerzyły się, upodabniając

do

dwóch

księŜyców.

Dziennikarz

czuł,

Ŝe

traci

resztki

panowania nad sobą, jego dłoń przesunęła się po szyi, ramionach i wyłuskała pierś jędrną, z zawadiacko sterczącą sutką. Pod peniuarem Ormianka była absolutnie naga. Wygrywając na piersiach kobiety melodię triumfującej miłości, Piotr nie zapominał o akompaniamencie.

Druga, wyćwiczona w tej materii ręka, opuściła się ku brzuchowi, płaskiemu i twardemu jak skóra na murzyńskim bębnie, ku udom delikatnym i drŜącym, które otworzyły się nagle jak śluza na kanale im. Romana III. I juŜ, juŜ *staccato* utworu zamienił się miało w *furioso*, gdy zabrzmiało jak krakanie białego kruka: puk, puk, puk do drzwi.

- Nie potrzebujemy nikogo! - syknął.

- Zamówiłam dla nas szampana z najlepszych winnic Montanii - Ewa odsunęła się lekko i przepaszająco uśmiechnęła.

Kelner uwinął się gładko, nalał jak trzeba, po czym umieścił butelkę w wiaderku z lodem i oddalił się, puściwszy Piotrowi wymowne oko, pełne szczerzej męskiej solidarności.

Ormianka wstała.

- Napijmy się - powiedziała unosząc kieliszek.

Dziennikarz wychylił trunek duszkiem i opadłszy kolanami na dywan z fok nordlandzkich, zanurkował w zarośla peniuaru...

- Ty wariacie, ty narwańcu! - śmiała się kobieta; głos miała wysoki, dźwięczny, bez cienia cudzoziemskiego akcentu.

- Telefon! A niech to szlag!

To do ciebie, Piotrze. - Mówiłeś komuś, że tu będziesz...?

- Tylko koledze z pracy - bąknął zawstydzony - ale nie wspomniałem u kogo będę, naturalnie...

- To chyba właśnie ten kolega - oddała mu słuchawkę.

- No i jak tam, pamięta pan, co radziłem? - Głos majora, choć z załoŜenia miły, brzmiał teraz dla Piotra jak lubieŜne mlaskanie.

- Odczep się pan ode mnie! - wrzasnął.

Potem wyszarpnął kabel ze ściany, zamknął drzwi na zasuwkę i oszalały z namiętności skoczył ku Ewie. Ta wywinęła się zwinnie, pozostawiając w jego ręku szlafrok, padła na łóżko pokryte purpurową kołdrą. LeŜała teraz prowokacyjnie wygięta jak sam grzech. Piotr osunął się obok niej. Znow zwód!... Ale już, już była w jego rękach tak blisko, tak nieprawdopodobnie...

- Przepraszam - jęknął nagle Erdon.

Ewa zauwaŜyła, że raptownie pobladł, cofnął się i usiadł na skraju łóżka.

- Młody kelner - przemknęło jej. - Nim doniesie, rozleje. - Nie powiedziała nic, tylko z czułością przytuliła jego głowę do piersi.

Następne dziesięć minut było więcej niż głupie, mimo że Hawa wykazała moc cierpliwości i doświadczenia. Otuliła się peniuarem. powtórnie nalała szampana, zapytała o pracę w „Amiranda Kurier”. Pałący wstyd zaczął z wolna ustępować.

Na ratuszowym zegarze wybiła północ. Ormianka nagle zmieniła ton.

- Musisz już iść, jest bardzo późno...

- Chciałbym zostać - powiedział płaczkliwie, chyba miał zresztą łzy w oczach.

- Będę czekała cię jutro, o tej samej porze - rzekła i pocałowała go, a był w tym pocałunku ogień wulkanu Regencka Sopka i głębia Rowu Meranijskiego - będę czekała -

powtórzyła.

Sam nie wiedział, jak znalazł się na korytarzu, półprzytomny, spocony, wściekły. Miał

ochotę rozbić głowę o którąś z marmurowych kariatyd podpierających sklepienie. I wtedy przypomniała mu się rada Williamsona. Skręcił w poprzeczny korytarz i otworzył balkonowe okno. Wyrzwał na ulicę, nie przechadzał się po niej nawet pies z kulawą nogą... Z balkonu prowadził szeroki gzyms. Erdon nie uprawiał nigdy alpinizmu, ale zrobienie paru kroków z pewnością chwycenia się po drodze rynny i piorunochronu nie należało do trudnych ewolucji. W kotarze zasłaniającej okno apartamentu Ewy znalazła się wystarczająca szpara.

Kiedy dotarł do punktu obserwacyjnego, kobieta znajdowała się w środku pokoju, tańczyła.

Naraz chęć straszna zdjęła Piotra. A wypchnąć tak kolanem okno do środka, skoczyć, przytulić!

Tańcząca zakasłała. Dziennikarz uniósł głowę. Nie podobał mu się ten kaszel.

Zatrzymała się w pół kroku, wtuliła głowę w dłonie. Znow rozległ się ni to kaszel, ni to szloch.

Chrapliwy, nieprzyjemny, starczy. Zmiany zachodziły szybko, coraz szybciej. Plecy nagiej damy zgarbiły się nagle, skóra straciła połysk, sflaczała, włosy jakby pod wpływem odczynnika chemicznego raptownie straciły barwę, nogi ugięły się, jakby całe ciało przycisnął pneumatyczny zgniatacz...

Zawodząc, Hawa odwróciła się do lustra i Piotr zobaczył jej profil. Nos zagięty jak dziób drapieżnego ptaka, bezzębne wargi...

Erdon puścił parapet, nogi straciły oparcie na gzymsie, runął w dół...

\* \* \*

- Teraz już chyba wierzysz. - Major Williamson opiekuńczym gestem mamki wlewał

do ust młodego dziennikarza aromatyczny rum z Wysp Subordynacji. - Dziękuj Najwyższemu, że wszystko przewidziałem, ustawiłem nawet ten wóz z sianem pod oknami Hawy, abyś spadając nie skręcił karku...

- Dzie... dziękuję - bełkotał Piotr. Zęby mu jeszcze szczękały na myśl, że do transformacji Ormianki mogło dojść w trakcie miłosnego zespolenia.

- Poznałeś jeszcze jedną tajemnicę tej damy. Jest nieśmiertelna, to prawda, ale jednak troszeczkę się starzeje. Za Klaudiusza wyglądała zapewne jak całkiem niezłe zachowana sześćdziesiątka, ale dziś to już ruina...

- Ale przecież widziałem! Chwilę wcześniej!

- Widziałeś, co ona chciała, żebyś zobaczył. Siła woli, koncentracji i na krótki czas Hawa potrafi wyglądać jak za czasów Abrahama. Ale nie na długo. Do pół godziny. Postępuje niczym grubas wciągający brzuch u wód. Wiecznie się tego robić nie da... Ale jutro wieczorem, zaręczam, znow będzie brzoskwiniowa, pełna, zobaczysz...

- Ja, zobaczę?! - Erdon poderwał się, aś zaszeleściło siano, a człapiący koń obrócił

łeb. - Ja juś tam więcej nie pójdę! Nie potrafię patrzeć na nią bez wstrętu.

- Potrafisz, potrafisz... Zresztą kaśdy z nas gra o wielką stawkę.

- Pan ma jakieś machlojki polityczne, ale co mógłbym mieć z tego ja?

- Wyłączność

na

opis

całej

historii.

Tantiemy

z

przedruków

w

świecie

alternatywnym. Sławę, powodzenie. Mośe nawet uznanie starego Urtenvelda i jego córki.

Niech pan nie udaje, Piotrze, śe panu na tym nie zaleśy.

\* \* \*

Ewa nie poznawała kochanka. Oczywiście nazajutrz złośył jej kolejną wizytę, potem następną. Ale wcale nie palił się do miłości. Zachowywał dystans, był uprzejmy, dowcipny, ale gdy zaproponowała wspólną kąpiel, zauwaśył lakonicznie:

- Juś się kąpałem!

„Co się mogło stać?” - zachodziła w głowę Wieczna Kobieta, która w całej swojej karierze nie spotkała się z podobnym przypadkiem. Bezsprzecznie Erdon impotentem nie był. Dlaczego więc ochłódl? Uraz z powodu nieudanego debiutu? Próbowwała być na zmianę pozornie chłodna i nadskakująca, macierzyńska i przekomarzalska, najpierw uderzała go w twarz róśą, a potem całowała mu ręce. Nic! Seks i ambicja tworzą szalony cocktail. Zwłaszcza u kobiety z gatunku piecio- i półtysięczników.

Usiłowała oszołomić Piotra alkoholem, ale trudno upić kogoś na umór, gdy ma się do dyspozycji

zaledwie pół godziny. Grała w rozbieranego pokera, ale dziennikarz wygrywał, ją obnażył, a sam nie zdjął nawet kamizelki. Aż wreszcie zapytała wprost:

- Dlaczego nie chcesz się ze mną kochać?

- Uczyniłem

pewien

ślub,

d'Artelmeńską

umowę

z

samym

sobą,

że

nie pokocham kobiety, dopóki nie wykonam odpowiedzialnego zadania.

- Jakie to zadanie?

- Tajne. Delikatna misja w świecie alternatywnym do naszego, w Europie.

- No, to wykonaj je szybko i wracaj.

- Wykonam, ale nie wrócę. Zginę! To nie jest misja, z której można wrócić żywym.

Ewa załamała ręce.

- Aleś to beznadziejne - powiedziała - obie możliwości są niekorzystne dla naszej miłości!!!

Piotr zwiesił głowę.

- Stąd mój smutek - westchnął. - Muszę wyruszyć w ciągu paru dni. W Europie trwa wojna i przeprawa przez dziury międzynarodowe nie należy do rzeczy łatwych. - Tu spojrzął na zegar, za trzy północ. - śgnaj, ukochana, jutro przyjdę poświęcić się ostatecznie. - Ucałował jej spragnione jak kania d'Artelmeńską wargi, wyszedł sprężył krokiem człowieka gotowego na wszystko.

\* \* \*

Ostatniego wieczora Ormianka wyglądała jeszcze młodziej. Przeszła sama siebie. Uwiodłaby chyba nawet miłośnika nastolatek. Rozpierała ją energia



- Myślałam całą noc - powiedziała już na progu do dziennikarza - i mam rozwiązanie.

Znam kogoś, kto nie boi się śmierci. Zresztą ma wyjątkowe szczęście. Niektórzy uważają nawet, że jest nieśmiertelny. On wykona to zadanie za ciebie...

- A mój honor?

- Twój honor został zaangażowany w doprowadzenie *rzeczy* do zwycięskiego końca, ale chyba masz możliwość wyboru metod?

- Musiałbym naradzić się z moim dowódcą...

\* \* \*

Głuchy huk dział dolatywał zza lasu, przedzierając się przez cięską oponę mgły.

Williamson wręczył drepczącemu obok staruszkowi maskę gazową.

- Na wszelki wypadek - rzekł. - Pańska znajoma twierdziła wprawdzie, że pani...

że pan jest nieśmiertelny, ale kto wie, czy nieśmiertelność ta dotyczy również i perytu.

Proszę teraz słuchać uważnie. Przejdzie pani... pan tę łąkę ostrożnie, bo to jest pole minowe, potem

trzeba

będzie

przeczołgać

się

przez

zasieki,

trochę

nieprzyjemnie,

bo

strzegą

ich

dwa

karabiny

maszynowe,

w

kaŝdym

razie

przed

ósmą

powinien pan znaleźć się na lewym skrzydle, gdzie znajduje się okopana kompania. Równy o ósmej wojska Ententy podejmą natarcie, powstanie zamieszanie, pańskie zadanie dotrzeć do tego człowieka. Tu są wszystkie dane i fotografia. Trzeba zlikwidować go. Tym sztyletem.

Wybraliśmy tę broń, bo podobno ze sztyletem nieźle sobie radzicie...

- Bywało - uśmiechnęły się bezzębne wargi.

- Potem pozostaje się tylko wycofać. Spotkamy się na tym cmentarzu, przy którym przenikaliśmy wrota międzywymiarowe. Jasne? Proszę powtórzyć...

\* \* \*

Tawerna mieściła się zaledwie pół mili od zamaskowanego przejścia z Rurytanii do Lotaryngii. Erdon pośpiesznie kończył reportaŝ, który jutro chciał przesłać do wszystkich gazet.

Williamson był tak podniecony, ŝe nie mógł jeść.

- Wiedziałem, ŝe chwyci, wiedziałem, ŝe chwyci. Pańska wstrzemięźliwość była jedynym sposobem wykorzystania jej nieśmiertelności dla mojej misji. Masz pojęcie, młody przyjacielu, w tej chwili zmieniamy los świata.

- Pańskiego świata - poprawił Erdon i zabrał się za kolejne udko kurczaka.

- Czy tobie przypadkiem nie brakuje wyobraźni? Przecieŝ wiadomo, ŝe wszystko, co dzieje się u nas, prędzej czy później musi odbić się na waszych dziejach. I jeśli Hawie się uda, historia dwudziestego wieku potoczy się zupełnie inaczej. Jedna przypadkowa śmierć i po kłopotach...

- Wszystko to opisuję, jak pan mi mówi, ale czy przypadkiem się nie ośmieszę?

- Wykluczone. A potem, kiedy powiedzie się pierwszy etap, Ewa otrzyma nowe zadanie.

- Teŝ zabójstwo?

- Tak, ale blisko jej ojczystego Araratu, w Gruzji!

- O ile teraz jej się uda?

- A dlaczego miałyby się nie udać? Dla kogoś, kto jest nieśmiertelny, kogo nie imają się kule, takie zadanie to po prostu kaszka z mlekiem. Moje dowództwo, akceptując mój plan, wiedziało, co robi.

Piotr pokręcił głową.

- Nie rozumiem, dlaczego uważacie, że śmierć jednego czy dwóch ludzi, i to z dołów społecznych, zmieni losy stulecia. Co innego, gdyby wyprawić Hawę na Hindenburga, Wilsona albo cara... Zresztą, i to niewiele by zmieniło. O losach wojen decydują sztaby, interesy państw, potencjał ludzki. Pan żyje iluzjami, majorze. I wreszcie, skąd ten wybór?

Major trochę się obraził, ale odpowiedział:

- Z analizy dziejów. Czy jesteś pewien, że uduszenie w dzieciństwie Robespierre'a, Cezara czy Atylli nie zmieniłoby biegu historii? W mojej rodzinie zajmowaliśmy się trochę okultyzmem, wróżbami i horoskopami, a kiedy znalazłem dziurę czasoprzestrzenną do Rurytanii, kiedy odbyłem staż u tamtejszych astrologów, pomyślałem, że mógłbym zrobić coś dla ludzkości, sprawić, że ta Wojna Światowa będzie ostatnia, bez numeru porządkowego. Jeśli Ormianie się nie uda, prognozy są ponure. Jeśli się uda, cóż, ryzyko niewielkie, a potencjalne korzyści olbrzymie.

- Ale dlaczego wybraliście akurat ten moment?

- Nasz obiekt posiada horoskop, a w nim dni fasz i niefasz... Dziś przypada pierwsze minimum, następne będzie za blisko trzydzieści lat.

- Zabobony!

- A w wieczną kobietę pan wierzy?

\* \* \*

sołnierze siedzieli w zroszonym okopie i pili kawę. Mgła podnosiła się powoli.

W pewnym momencie jeden z posilających się trącił drugiego.

- Patrz, sztab się zbliża, chyba zrobią sobie koło nas punkt obserwacyjny.

Drugi nie odpowiedział.

- Co jest, Dodek, jak rany? - Kumpel trącił go w ramię i spojrzawszy za jego wzrokiem, umilkł.

Przed kurtyną mgły zamajaczyła kobieta w czerni, piękna jak madonna, która nieomal unosząc się nad ziemią, przeskakując z kępy na kępę, sunęła środkiem pola minowego prosto w ich kierunku. - Ale kobita, patrz, Dodek - emocjonował się feldfebel.

Hawa wróciła o wyznaczonym czasie. Za plecami pozostawiła piekło natarcia oraz pogoń, która utknęła na polu minowym. śaden pocisk nawet jej nie musnął. Wiedziona przez Opatrzność, nie nastąpiła na Œadną minę. Pokonała przesmyk, a po drugiej stronie rzuciła Williamsonowi zerwany naramiennik.

- Generalski... Co pani...? - wybełkotał major.

- A co, dobrze się spisałam?! - zawołała z dumą, nie kryjąc juŒ swej płci ani wieku. Skąd mogła przypuszczać, Œe Piotr znajduje się za ledwie o parę kroków od niej. - Œwietnie poszło. Ani zipnął. Mam nadzieję, Œe teraz Piotr Erdon zostanie zwolniony ze swojej przysięgi i będzie mój na zawsze... na dłuŒej! Załatwiłam przecieŒ samego generała, a nie jakiegoŒ feldfebla czy gefreitra, o którym pan mówił. Jak on miał się nazywać? - podniosła i obróciła upuszczoną fotografię. - Adolf Hitler?

## ZDRÓJ IM. DIALEKTYKI

Na samym pograniczu Amirandy nordyckiej i łacińskiej, w miejscu, gdzie wzburzone wody Pieniawy przełamują się przez pasmo Diablich Skał, wznosi się klasztor Luizytów. Sam obiekt, perła architektury lekkopółśredniej, posiada długą i niezwykłą historię, przemilczaną zazwyczaj w szkolnych podręcznikach. ZałoŒony przez błogosławioną Luizę w niespokojnych latach schizm i herezji miał być pierwszym w świecie klasztorem koedukacyjnym. I tak została opracowana reguła zakonu. Z miejsca jednak narodziły się liczne trudności, związane z problemem dochowania ślubu czystości.

Czas jakiś, wzorując się na Orygenesie, próbowano rozwiązywać ten wymóg przez kastrację, później nagminnie importując ze słynnej z rzemioł artystycznych Mesurii pasy cnoty, aby wreszcie poprzestać na przegrodzeniu całości zabudowań - od capelii poprzez reflektarz, lectorium, dormitorium, ad latrinam - wysokim murem uzupełnionym drutem kolczastym, a później równieŒ przewodami wysokiego napięcia. Potem odwiedził Klasztor święty Limeryk i dokonał cudu. ŒciŒlej mówiąc, za pomocą „Małego Chemika” zbadał tutejsze wody, z których kaŒda posiadała zdumiewające właściwości - od leczenia kołtuna po usuwanie Œylaków. Szczególnie poŒyteczny okazał się zródj im. św. Dialektyki, ulubionej - choć nie przez wszystkich uznawanej - inspiratorki Limeryka. Woda tryskająca u podnóŒa skały, zwanej Rogiem Szatana, zawierała duŒą ilość bromu, który wraz z innymi tajemniczymi domieszkami powodował u obojga płci dziwną niemoc i indyferentyzm seksualny. Kwaterka płynu -

i problem występku zlikwidowany był w zarodku. Albowiem zamiast walczyć z grzechem, lepiej pozbyć się jego przyczyny.

Od tej pory nic nie zmąciło miejscowej harmonii, zwłaszcza Œe opat i przeorysza, aplikując braciom i siostram napój wstrzemięźliwości, nie uznali za stosowne zburzyć muru, zachowali go na wszelki wypadek.

W czasach, których dotyczy nasz epizod, klasztor popadł juŒ dawno w ruinę, wody Pieniawy podmyły południową flankę, zarosły nie uprawiane ogrody, a w wielkiej wieŒy zagnieździły się

kruki i szczury. Światły Ryszard XVII dokonał był bowiem kasacji luizytów tak Śeńskich, jak męskich, a w ruinach doŚywała jedynie kresu wędrówki grupa staruszków tak wiekowych, Śe nawet bez zdroju Dialektyki -wstrzeźliwych i obojętnych wobec pokus ciała.

Pieniawę spiętrzone, zamieniając część malowniczego przełomu w zbiornik retencyjny, lwią partię Diablich Skał wysadzono i przeciągnięto linię kolejową...

\* \* \*

Nazwali go bratem Skrybą. Wszyscy ci, którzy mogli znać jego imię chrzestne, a takŚe zakonne dawno pomarli, on sam nie zamieszkiwał juŚ w pozbawionym dachu dormitorium, jeno w maluchnym eremie na skraju zabudowań. Ze starą maszyną do pisania od świtu do zmroku z przerwami na zalecane przez regułę modlitwy oddawał się pilnemu przepisywaniu dawnych tekstów, ksiąg i wspomnień - odczuwał bowiem instynktowny wstręt do nowocześnie lansowanych technik xero lub mikrofilmowych.

ZbliŚał się czas Komplety, a z nią pora wieczornego spoczynku. Skryba wyciągnął

z maszyny ostatnią kartkę kroniki, opisującą słynną aferę masowych opętań przed pięciuset laty, kiedy z alkowy dobiegł go płacz, szloch wysoki, na wpół dziecinny. Dziecko? Od dziesięcioleci nie widywano w tej okolicy Śadnych nieletnich. Mnich uchylił drzwi i zdębiał. W kącie jego słuŚbowego posłania na złoŚonej w kostkę pościeli siedział mały, najwyŚej metrowej wielkości diabeł i łkał Śałośnie.

- Apage satanas! - zawołał luizyta.

Ale czart mocniej tylko wtulił głowę w ramiona, płacz jego stał się rozdzierający. Podstęp, nie podstęp?

- Precz, siło nieczysta! - powtórzył Skryba pamiętając, co przydarzyło się przed laty mniszce Eulalii, która w zimową noc przygarnęła małego, zziębniętego biesa i amputowawszy mu rogi oraz ogon czas jakiś przechowywała w przebraniu we własnej celi.

- Litości - zaskomlał czart, najwyraźniej nie mając ochoty opuścić posłania -

wysłuchaj mnie, ojcze, i poradź, jestem w kompletnej rozpacz.

- A cóŚ to, czyŚ nie wyrabiasz diabelskiej normy? - spytał mnich, na wszelki wypadek pozostając na progu.

- Wszystkiemu winne te wody - ciągnął kosmaty przybysz. - Napiłem się raz ze zdroju Sapientii i nie mam juŚ spokoju. Doszło do tego, Śe zazdrozczę aniołom...

- KaŚdy im zazdrości - zgodził się Skryba.

- Ale ja im nie zazdrozczę przyjemnej słuŚby, ja im zazdrozczę moŚliwości wyboru.

Upadły anioł moŜe zostać szatanem, a upadły diabeł? PrzecieŜ do nieba go nie wezmą?

- Skomplikowany problem - mruknął luizyta - radziłbym ci skontaktować się z profesorem Kołakowskim, autorem pracy *Czy diabeł moŜe być zbawiony?*...

- Dajmy spokój profesorom i teoriom, chodzi mi o prywatne zdanie wielebnego ojca. Jest dla mnie szansa pracy u konkurencji...?

- Wątpię...

- Właśnie. W takim razie jestem bezrobotny - siąknął i wytarł nos w kosmate futro o lekko rudawym połysku.

- Nie rozumiem cię, sy... - tu Skryba ugryzł się w język, czując Őe termin „syn”

wobec diabła nie jest adekwatny, a innego na podporędku nie miał; przecie diabeł to nie zawód, lecz gatunek, eine rasę, jak nauczali Niemcy... ba, charakter!

ToŜ mnie nie wywalono, zwolniłem się poniekąd sam.

- Ale dlaczego?

- Zwaŕpiłem w istnienie Piekła. Ciekawe, prawda? Jestem diabłem niewierzącym. To znaczy, co do Nieba się nie wypowiadam, nie jestem w tej materii kompetentny, natomiast w Piekło nie wierzę. I juŜ.

- Ha, nieszczęsny!

Tu czart przystąpił do dłuŜszej opowieści. Mimo niepowaŜnych kształtów, nie był

młodzikiem, liczył sobie trzysta dwadzieścia siedem zim, a więc pamiętał jeszcze złote czasy stosów i sabatów. Cechowała go pracowitość i drobiazgowość, z pełnym zapałem kwalifikowanego funkcjonariusza wodził na manowce, Őciągał z dróŜek cnoty, nadymał

pychą, podszeptował chciwość, a spisane przezeń cyrografy, zawsze w trzech egzemplarzach z równym marginesem, mogłyby być ozdobą kaŜdej biblioteki.

- I ty zwaŕpiłeś? - dziwił się mnich.

- Wątpliwości narastały we mnie stopniowo. Zaczęło się od konstatacji, Őe ani mój ojciec, ani dziad nigdy w piekle nie byli. Całe Őycie cięŜko harowali, przewaŜnie na głębokiej prowincji, a to rozpijając społeczeństwo, a to do korupcji kaptując władzę czy teŜ

przesady rasowe i społeczne do łbów wciskając. Wszystko to funkcjonowało nieźle, tyle Őe ciekawość nie dała mi spać. I tak zacząłem rozpytywać tego i owego: „Byłeś w centrali?” I uwierzcie, ojcze, nikt z moich znajomych - ani Grzdyl, ani Chajcher, ani Dyrda, ani Bziukiewicz, ani nawet Kozdra czy Misiorny - nigdy nie dotarł na samą górę, czyli w naszym wypadku: dno. Nikt nie

widział wielkich pieców pełnych surówki (czyli świeżych potępionych), o siarce wyrażali się mętnie, podobnie jak o naszej wytrzymałości na wysokie temperatury. Ba, Śadnego dowodu nie ma, Śe podle postępowanie ludzi ma związek z naszymi podszeptami. Bywają grzesznicy, co na łóŚu śmierci potrafią Śalem doskonałym zepsuć nam wieloletnią robotę. Poza tym nikt nie wie, dokąd naprawdę idą dusze, bo półmaterialny bies Śadną miarą ducha jako bytu absolutnego dojrzeć nie moŚe... Śpisz, ojczy?

- Nie, słucham.

- W końcu opadły mnie pokusy ciśnięcia tego wszystkiego w diabły, bo moŚe, myślę, to tylko robota głupiego, niewarta świeczki.

- Raczej ogarka - poprawił Skryba - diabłu przystoi ogarek!

- Zacząłem poszukiwanie. Najpierw przypieram do muru mego starego i pytam, kto wydaje mu instrukcje dla mnie i komu przekazuje meldunki? Kręci, wypiera się, w końcu wskazuje na stryja. Ja do stryja, staruszek kluczy jak moŚe, sianem (choć to produkt łatwo palny) się wykręca, wreszcie wskazuje na kuzyna, specjalistę od pokus nastolatków. Łańcuszek decyzyjny prowadzi od diabła do diabła. Kręci, pętli się, kompetencyjnie sprzęga. Osiemnastym z kolei rozmówcą jest Hych, chudy, ascetyczny diabeł. Dopadłem go, gdy wybierał się pomącić w środowisku spekulantów i aferzystów gospodarczych - twardo drogę mu zastąpiłem i walę:

- Hych, diabli synu, nie wykręcisz się. Ty masz kontakt z Piekiem!

Mój rozmówca ogonem zdjął z nosa okulary i popatrzył na mnie jak na głupiego.

- Ja z Piekiem? Kto ci takich bzdur nagadał, przecieŚ ja tylko przekazuję dalej dyspozycje otrzymane od ciebie.

Coś w tym momencie we mnie zgrzytnęło, załamało się. Z całą jaskrawością uświadomiłem sobie, Śe Pieka nie ma, Śe stworzyliśmy je sami dla siebie. Jak oszalały pędzę przez uroczyska, ugory, oczerety i wołam:

- Bracia szatani, Pieka nie ma...!

Harmider się zrobił, zleciało się z pół setki mych współbraci. Wiec niemalŚe diabłów róŚnych, małych, średnich i większych, ale jednoznacznie ponurych. A co drugi do mnie:

- Stul pysk, mały, i lepiej odwołaj.

- Nie odwołam. Macie pojęcie, jesteście wolni. Zdemaskowałem bujdę...

- Zdemaskowałeś? - warknął stary Grzdyl. - O, niedowarzony idioto! Nawet jeśli miałbyś rację, czy wolno ci samowolnie przekreślać swój i nasz wieloletni dorobek? Jeśli nawet pryncypia były błędne, nasza droga i jej sukcesy stanowią wartość samą w sobie. Nie pozwolimy, Śebyś nam rozchwiał światopogląd.

- Nie pozwolimy! - zawył tłum.

- Ale uczciwość...

- Jako diabeł jesteś z załoŜenia przeciwieństwem uczciwości - zauwaŜył mój stryj -

ergo, jeśli kłamiesz, działasz dobrze, to znaczy źle. Gdyby, idąc tokiem twego rozumowania, nie było Piekła, naleŜałoby je natychmiast wymyślić, bo tylko ono nadaje sens naszemu istnieniu.

Diabeł bez Piekła jest tylko parzystokopytnym ssakiem. Nasi przodkowie stworzyli wiarę w inferno zapewne w celu dowartościowania się. Stworzyli teorie o zgubnym wpływie na ludzi, którym zazdrościli harmonii kształtów i naziemnego trybu Ŝycia. Wymyślili piękną historię upadłych aniołów, którą bez trudu podwaŜy kaŜdy ornitolog. Wszak Ŝadna inŜynieria genowa nie zrobi z anioła szatana!

Chciałem uściskać stryja za szczerość, ten jednak odsunął mnie oschle.

- W imię tradycji i realizmu nie wolno nam odrywać się od swych korzeni, nawet jeśli te wiszą w powietrzu. Jeśli uznamy sami, Ŝe Piekła nie ma, następnym krokiem moŜe być zaprzeczenie wiary w egzystencję nas samych.

- A istniejemy - rzuciłem dramatycznie - istniejemy?!

I nie uwierzysz, ojcze. Naraz cały ten tłum futrzasty poszarzał, zafalował i zmienił się w dymek, który po chwili rozwiął podmuch nocnego wiatru. Zniknęli. Ja zostałem. I juŜ nie wiem, ojcze, co z tym począć. Jak to wszystko wytłumaczyć?

- Napij się ze źródła im. Dialektyki - rzekł Skryba podsuwając kubek z napojem - to rozjaśnia umysł i powściąga emocje. Istnieje pewne wytłumaczenie opisanych fenomenów: twoi współbracia zniknęli, kiedy stwierdziłeś, Ŝe w nich nie wierzysz, a zatem wystarczy uwierzyć, a pojawią się znowu.

- Ale ja juŜ nie wierzę, nie mogę, choćbym chciał. Przejrzałem. Nie moŜe stać gmach skonstruowany na załoŜeniach, których fałsz się udowodni.

- MoŜe, moŜe - dobrodusznie mrucał Skryba. - Jeszcze łyczek dialektyczanki? O sile przyzwyczajenia słyszałeś, synu, a o inercji? System, nawet jeśli obiektywnie nie moŜe istnieć, będzie istniał realnie, dopóki znajdzie się dość zainteresowanych jego istnieniem.. I to dotyczy nie tylko Piekła... A propos? A w siebie wierzysz? Co?

Czart zeszywniał. Kubek z napojem upuścił, w lustro począł się wpatrywać, dygotać, jakoś dziwnie maleć, zęby jęły mu szczekać, włosy wypadać, a potem pozostał juŜ tylko lekki swąd siarkowodoru. Zniknął...

Na klasztorным kwarcowym zegarze dochodziła pora Jutrzní. Czas snu minął. Skryba podniósł porzucony kubek, wykonał pięć przysiadów i odgoniwszy kilka grzesznych myśli, które chciały przysiąść mu na mózgu, ruszył w stronę kaplicy.



Nazajutrz na dwonnicy stary Barnaba, dzwonnik, znalazł niewielkiego diabła. Wisiał od dobrych paru godzin na sznurze dawno nie używanego dzwonu. Niektórzy utrzymywali, że nie był to szaden diabeł, tylko wielki nietoperz. Na wszelki wypadek pochowano go prędko za murem, zanim nadjechała komisja przyrodników z Regentowa.

W jakiś czas później ekspedycja naukowców natrafiła w pieczarach pod Czarcimi Skałami na prawdziwą nekropolię ni to ludzkich, ni zwierzęcych szkieletów, charakteryzujących się wystającymi rogowatymi wypustkami na czaszce i nad wyraz rozwiniętymi kośćmi ogonowymi.

Do dziś trwają spory, czy były to istoty rozumne, czy jakaś zdegenerowana jaskiniowa odnoga Naczelných. Cóż, świat fauny i flory Amirandy kryje w sobie jeszcze niejedną niespodziankę.

## KONIEC SYSTEMU

Sępy czekały. Czekały wyciągając długie, nie upierzone szyje - spokojne, pewne dzisiejszej uczy. Na podłogę placyk za krzakiem i magazynami wprowadzono skazańców -

sześciu czarnych i trzech białych. Twarze plutonu egzekucyjnego lśniły natomiast jednostajnym kolorem polerowanego hebanu.

Gardłowo zabrzmiała komenda, szcęknęła uniesiona broń. Zawarczały uruchomione kamery video, błysnęły flesze fotograficzne.

Hugon Mirre pogodził się ze śmiercią. Zbyt często zaglądała mu w oczy w ciągu niedługiego, trzydziestodwuletniego życia, by teraz dramatyzować. Swoje szczęście wykorzystywał po stokroć, był przecie kondotierem, współczesnym piratem, „psem wojny”, najemnikiem. Uchodził z wielu niebezpieczeństw, dokonał kilku brawurowych ucieczek. Tym razem przegrał. Nie przewidział, że wiarołomny Mentile (kapral, którego on sam przed czterema laty uczynił prezydentem) sprzeda go swemu rywalowi Fortunasowi za obraźliwie niską cenę. A ten miał już swoje powody do zemsty - Mirrę dwakroć go pobił i upokorzył, wygnał, zastrzelił mu brata...

„Przegrałem jak Cezar Borgia - przemknęło Hugonowi. - W czasie próby, podczas zdrady i całej tej haniebnej transakcji miałem pecha. Parszywa rana i tyle dni w gorączce.”

Później, gdy wyzdrowiał, stanął przed sądem, nie miał szans ucieczki. Zbyt go pilnowano.

Zemsta była radością dla Fortunasa. Dlatego odrzucił wnioski o ekstradycję napływające z różnych stron. Kazał też nakręcić przebieg dzisiejszej egzekucji na video.

Mirre odwrócił się. Spoglądał w zacięte twarze żołnierzy i ciemne wyloty luf. Potem uniósł głowę wyżej, ku rozgrzanemu południowym słońcem niebu (szkoda, że nie wierzę w Boga!).

Przesunąwszy wzrok w lewo, dojrzał na dachu baraku samotnego mężczyznę, który przyklęknął i uniósł broń zaopatrzoną w celownik optyczny. Jeszcze jeden ochroniarz prezydenta Fortunasa? Padła komenda, lufy plunęły ogniem.

Dziewięciu skazańców niczym w zwolnionym filmie osunęło się na piach. Sępy zatrzepotały skrzydłami. Prezydent mógł już spać spokojnie.

\* \* \*

Gwidon Res, jeśli wierzyć czasopismu „RóŜowy Świat”, lubił naprawdę tylko dwie rzeczy: piękne kobiety i luksusowe jachty. W jego miłości nie było zresztą wielu składników ponad czyste poŜądanie. Nie przyzwyczajał się na długo. Brał, miał, oddawał. Mógł sobie zresztą na to pozwolić. Gwidon Res był bowiem multimiliarderem. Najbogatszym Amirandczykiem diaspory.

16 marca roku 2000 Relatywnej Ery Środkowoamirandzkiej luksusowa „Nereida”

kołysała się z dala od lądów na szerokim bezmiarze południowego oceanu. Tym razem jednak na pokładzie nie było Őadnej urodziwej kobiety. Załoga ograniczała się do trzech najwierniejszych współpracowników. Sam przemysłowiec stał oparty o reling i wpatrywał się w bezkresną dal.

- Powinni wkrótce być - rzekł do kapitana Zenosa.

Wilk morski uklonił się z szacunkiem.

- Jesteś pewny pilota hydroplanu? - zapytał szef.

- Dobry fachowiec - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

- Jak radar?

- Pusto.

- Przesuńmy się jeszcze pięć mil w kierunku południowym.

Zenos skinął głową i oddalił się bez słowa. Teraz do miliardera zbliŜył się chudy mężczyzna o sylwetce zdeformowanej chorobą dzieciństwa, a moŜe dodatkowo przebytymi kontuzjami.

Twarz jego przekreślała szeroka, pionowa blizna, podwinięta zaś koszulka obnaŜała przeraŜającą wyrwę w plecach, gdzie jedynie cienka skóra pokrywała zawartość wnętrza.

Myliłby się jednak ktoś, kto uwaŜałby osobnika za bezsilnego starca. Albin Ketes - jedyny oficer, który przed ponad trzydziestu laty przeŜył bunt na pancerniku „Chluba Meranii” (uznany za zabitego, zdołał jeszcze przepłynąć trzy mile i wylądować na wysepce podlegającej ościennej Axarii) - naleŜał wciąż do najniebezpieczniejszych ludzi na Ziemi.

- Powinni być za pół godziny - powiedział.

- O ile major się spisał.

- To zawodowiec, jeden z najlepszych na Południu.

- Naturalnie, z wyjątkiem ciebie i Hugona Mirre.

- Z wyjątkiem Mirrę - powiedział skromnie dowódca prywatnej gwardii Gwidona.

- Czekajmy więc.

Trzeci z podkomendnych Resa był znacznie młodszy. Na pierwszy rzut oka inteligent, choć wysportowany, smagły. Reprezentował drugie pokolenie emigrantów amirandzkich, dojrzewające na college'ach Axarii czy w murach szacownych uniwersytetów Rurytanii. Dawid Jang kształcił się akurat w Kapadocji, gdzie jego ojciec, druh Gwidona z dzieciństwa, zajmował się połowem krewetek, dorobił się małej floty, sporej przetwórnicy, słowem, doszedł do poziomu, na którym można było pozwolić na syna światowca. Dawid studiował prawo, parał się dziennikarstwem, a przed pięciu laty przyjął posadę trochę wyższą niż sekretarz osobisty i trochę niższą niż generalny doradca szefa. Gwidon bowiem doradców w zasadzie nie potrzebował. Aktualnie Jang zajmował się znacznie bardziej skomplikowaną operacją.

Przygotowywał obiad.

O 3.15 z kierunku SWW pojawił się na niebie maleńki punkt, który początkowo można było wziąć za skazę na szkle. Punkt jednak szybko rósł i niebawem przekształcił się w zwinny, dwusilnikowy hydroplan. Kapitan Zenos czym prędzej wciągnął na maszt pomarańczową chorągiewkę. Hydroplan okrążył „Nereidę”, a następnie usiadł po jej lewej burcie, wzbijając fontanny słonej wody. Potem z lekkim turkotem zbliżył się do niej. Zenos spuścił ponton i w chwilę później przybił do wodopłatu. Wspólnie z ubranym w szaro-ceglastą panterkę majorem wyciągnęli z wnętrza samolotu bezwładne ciało, umieścili je na pontonie i skierowali się w stronę

„Nereidy”.

- Umieścić go pod pokładem - polecił Gwidon, gdy mężczyźni i ich ładunek znaleźli się na pokładzie.

Ciałem zajęli się natychmiast Ketes i Jang, Res natomiast ujął pod ramię przybyłego i zaprowadził na pokład spacerowy, gdzie czekały leśaki, owoce i dobre trunki. Major nie miał

jednak ochoty na dłuższy odpoczynek. Wykonał zadanie i spieszyło mu się z powrotem. Nie miał

też, co tu ukrywać, zbytniego zaufania do swego zleceniodawcy. Na wszelki wypadek opuszczając hydroplan polecił pilotowi czuwać przy karabinku maszynowym wycelowanym w „Nereidę”...

- Zatem ograniczmy się do interesów - powiedział z uśmiechem miliarder i wskazał

niewielki, staroświecki, okuty kuferek stojący opodal stolika. Otworzył wieczko, a następnie począł odliczać równe paczki amarantowych banknotów erbańskich. - Dobra płaca za dobrą pracę.

Major przeliczył bezgłośnie.

- Kuferek dołączam w formie premii - oświadczył Res. - Aha, w przyszłym miesiącu mój człowiek

nawiąŜe z panem kontakt, majorze. Będziemy się jeszcze potrzebowali.

- Cena jest stała - stwierdził bez uśmiechu kondotier. Wrócił pontonem, który następnie za pomocą liny Zenos ściągnął na „Nereidę”. Zawarkotały śmigła wodopłatu wzniecając wodną kurzawę, hydroplan uniósł się lekko i ruszył, nabierając prędkości. Jang stanął obok szefa, który znów uniósł do oczu lornetkę.

- Dobrze wykonana robota. Facet powinien obudzić się za dwie, trzy godziny. Szkoda tylko, Őe po całej operacji pozostało dwóch niepotrzebnych Őwiadków...

Urwał. Najpierw zobaczyli błysek, a dopiero po dłuŜszej chwili do uszu dotarł pomruk detonacji.

Miliarder opuŐcił lornetkę.

- Ta skrzyneczka, skrzyneczka z podwójnym dnem - wybełkotał pełen podziwu Dawid. -

Tylko szkoda tej fury pieniędzy.

Res delikatnie potargał go za ucho.

- Nie przesadzajmy, Dawid, to były tylko pieniądze, tylko pieniądze... - Ruszył w stronę stolika, gdzie czekał na niego ulubiony pasjans. Ale odwrócił się i jakby na dokładkę powiedział:

- A pieniądze zawsze moŜna sobie wydrukować.

\* \* \*

Kołysało. Czuł teŜ wibrację Őruby. Znajdowali się na morzu. A więc Őył. Nic go nie bolało.

JakŜe to było moŜliwe? Pamiętał doskonale; tuŜ przed zapadnięciem w pustkę - uderzenie w brzuch... A potem wszystko mu się przypomniało. Niebo, sępy na wyschlým drzewie.

I snajper z wycelowanym w niego sztucerem.

Zrekonstruował fakty. Wszystko układało się doskonale. Pluton został przekupiony, następnie męŜczyzna z dachu strzelił do niego końską dawką Őrodka paraliŜującego. Resztę dopełniła krew tryskająca z sąsiednich ofiar i ich rozsiekane mózgi.

- Ktoś mnie potrzebuje, no, to Őyjemy - uŐmiechnął się Hugon Mirre, nie bez powodu przezywany SzczęŐciarzem.

\* \* \*

- Jaka robota i za ile? - zapytał Hugon, delektując się wybornym cocktailem, który podsunął mu gospodarz.

Res przez chwilę milczał, po czym spojrzał głąboko w oczy najemnika.

- Kim pan jest, senior Mirre?

- A kim pan pragnie, Œebym byŒ? Mój Œyciorys jest znany. Hugon Mirre, lat trzydzieŒci dziewięć, rodzice nie ustaleni, bezpaŒtowiec, pięć lat Axarskiej Legii Kolonialnej, potem RurytaŒskie Amarantowe Berety, wreszcie wolny strzelec. SpecjalnoŒć: zamachy stanu, likwidacje,

uprowadzenia,

operacje

antyterrorystyczne,

bez

osobistych

sympatii

politycznych. Stracony przed tygodniem w Republice Ko...

- Dobrze, a teraz trochę prawdy. Nazywa się pan naprawdę Hugo Willer, urodzony 11

listopada 1961 roku w Arri, prowincja Montania, syn Anny Willer zmarłej na tyfus w kolonii karnej w Nordlandii i generała Henryka Willera rozstrzelanego niesłusznie w roku 1976 RESA.

Wychowywany

w

Centrum

Reedukacji

Młodocianych,

następnie

kształcony

w Czambułach Janczarskich, w roku 1978 zbiega z twierdzy w Regentowie, a następnie brawurowo przedziera się do Rurytanii ponad Œoną Œmierci, uŒywajęc własnoręcznie skonstruowanego latawca.

- Lotni - poprawia Hugo.

- Reszta jest mniej więcej taka, jak pan powiedział. Poza jednym: systematycznie wpłaca pan pokaźne kwoty na Opiekę dla Nielegalnych Emigrantów. Moje pytanie brzmi: czy czuje się pan jeszcze Amirandczykiem?

- Dlaczego? - pyta dziwnie chrapliwie Mirre.

- Bo chcę zaproponować panu coś nietypowego, bez ustalonego honorarium, pańskie zadanie nie będzie miało ceny...

- Słucham, choć taki wstęp trochę mnie zniechęca.

- Pragnę, aby pan obalił system regencki w Amirandzie, Œeby pan wyzwolił nasz naród spod rządów feudalnej oligarchii.

\* \* \*

Powstanie roku pięćdziesiątego pierwszego. Gwidon Res miał wtedy czternaście lat.

Wystarczająco duŒo, Œeby nie zapomnieć. Głodowe rozruchy z czerwca zmieniły się w rewoltę, część oddziałów przyłączyła się do buntu, nad ratuszem stolicy załopotał sztandar wolności.

CóŒ, kiedy spiskowcy byli słabo zorientowani, stać ich było jedynie na wspaniały zryw, a potem podzieliły ich wzajemne rozgrywki. Regent Rodryg, który jak uciekający lis porzucił

swoją luksusową rezydencję, pozbierał prowincjonalne pułki i w kilka miesięcy zacieśnił

pierścień wokół metropolii. Niecała Amiranda powstała. Nie wierzono w zwycięstwo, być moŒe naród nie dorósł do tej wiary. Zresztą, tuŒ obok czuwało mocarstwo erbańskie, gotowe w kaŒdej chwili udzielić braterskiej pomocy chwiejącemu się reŒimowi regentury. Potem nastąpiła inspirowana próba kontrrewolty i wreszcie zdrada otworzyła północną bramę.

Rzeź wrześniowa! Trzy dni masakry, gwałtów, tym straszniejszych, Œe zaplanowanych.

Oddziały pacyfikacyjne posiadały dokładne listy, plany domów, mieszkań, szlachtowały metodycznie najbardziej zbuntowanych i najwartościowszych. Doradcy Rodryga twierdzili, Œe wygubienie „górných 10 procent” razem z rodzinami zapewni spokój na długie lata (zresztą, nie pomylili się specjalnie). Następne pół wieku kraj pogrąŒony był w apatii, marazmie i choć wyrastające z wolna nowe pokolenie pozbywało się paraliŒującego lęku - tak powszechnego wśród ich rodziców i dziadków - niewiara zabija skutecznie wszelkie nadzieje.

Resów nie było na liście proskrypcyjnej. Ojciec, pracowity rzemieślnik, stronił od polityki, nigdy nie dał się nawet wybrać starszym Cechu Zegarmistrzów i Klepsydrarzy. Matka, zajęta rodzeniem dzieci, nawet w kościele rzadko mogła wysiedzieć całą mszę, bo zbliŒała się pora kolejnego karmienia.

Zgubił ich fatalny pech i zbytnia ostroŒność. Kiedy wojska Regenta podchodziły do miasta, rodzina zamiast wywiesić na balkonie flagę monarchii i czekać, opuściła podmiejski segment i przeniosła się do mieszkania wuja Piotra w samym centrum. A wuj Piotr jako nauczyciel (niewaŒne, Œe trygonometrii) juŒ na liście był.

„Biada piŒmiennym!!!”. To hasło miał zapamiętać mały Gwidon na długie lata. Z takim okrzykiem wpadli do mieszkania brodaci oprawcy z legii borealnych. Ojciec znajdował się poza domem,

Resowi udało się wcisnąć na jakiś pawlacz. Przez wąską szparę mógł widzieć dokładnie: matkę zakłutą bagnetem w cięŜarny brzuch, zgwałconą Agnieszkę (13 lat), wuja Piotra zastrzelonego w bibliotece, gdy usiłował pokazać swoje naukowe osiągnięcia z zakresu rachunku prawdopodobieństwa. A potem śmierć Aleksandra, Marty, Leo, Ivony - wyrzucanych w asyście rubasznych śmiechów przez okno z piątego piętra czynszowej insuli.

Gwidon przeŜył parokrotnie własną śmierć. Ze strachu, rozpacz, nienawiści. A kiedy się uspokoiło, kiedy z przepustką wrócił ojciec, posiwiał w ciągu paru godzin, i cały czas powtarzał jak nakręcona zabawka: spokój, synku, spokój, czternastoletni Res klęknął wśród zgliszczy i zaprzysiął zemstę.

Wyjechali normalnie. Ojciec miał wystarczająco duŜo pieniędzy, aby przekupić kogo trzeba. Zresztą w Officjum Demograforum patrzono Őyczliwie na exodus niedobitków. Odbijały więc barki zapakowane do granic ładowności ludźmi przegranymi, zrozpaczonymi, którzy wyprzedali wszystko na kupno losu w nieznane. I pełzały po morzach cięŜarne koraby, unosząc tych nieszczęśników ku brzegom Axarii, Rurytanii i Kapadocji. A potem spadł szlaban i przerwał wszelkie kontakty.

Resowie nie zginęli. Ojciec miał złote ręce. Po dwóch latach poznano się na nim w Rurytańskim Konsorcjum, potem sypnęły się patenty... Gdy Gwidon w sześć lat po ucieczce z Amirandy wstępował na uczelnię, powodziło im się lepiej niŜ dobrze.

Przeszłości jednak nie udało się zdusić. Ktoś naładował broń. Ktoś pociągnął za cyngiel.

W małym bistro zginęło siedmiu emigrantów zebranych na towarzyskim spotkaniu, w tym ojciec. MoŜe zresztą nie było to spotkanie towarzyskie?

Gwidon z dnia na dzień musiał zająć się firmą, rzucić studia. JakoŜ podołał swym obowiązkom znakomicie. W wieku trzydziestu lat został potentatem przemysłu precyzyjnego. Po czterdzieście stał juŜ na czele światowego konsorcjum (oczywiście w świecie alternatywnym). Do polityki się nie mieszał. Nie utrzymywał Őadnych kontaktów z emigracją.

Bezustannie, choć niezbyt nachalnie podkreślał swoją internacjonalność. Nie wydał nigdy ćwierci talara na jakikolwiek cel charytatywny. Owszem, postawił skromny nagrobek ojcu, a bawiąc w Amirandzie odwiedził grób matki. Nie miał Őadnych uprzedzeń ani kompleksów.

Do Amirandy wpadał w interesach, czasem na polowania. Dwukrotnie spotkał się z Roderykiem II podczas zawierania obustronnie korzystnego kontraktu. Wreszcie, ukończywszy sześćdziesiąt lat, postanowił wycofać się z czynnego Őycia i zająć jachtami i kobietami.

Tak teŜ uczynił. Jego rezydencja w Wielkim Uskoku stała się mekką playboyów i gwiazdek filmowych, natomiast prywatne wyspy i jacht „Nereida” zapewniały mu intymność i odpowiednią dozę samotności, gdy tylko tego zapragnął. ToteŜ dla dziennikarzy, lubiących gmerać w Őyciu potentatów, samotny rejs na ocean w marcu roku 2000 nie był niczym zaskakującym.

Ot, kaprys bogacza.

Tymczasem Gwidon Res - który podczas wieloletniej krzątania nawet na sekundę nie zapomniał o

złóŝonej przysiędze - uznał, ŝe nadszedł czas. Zresztą przepowiednia ŝw. Lami mówiła: *Dwukroć po tysiã c w nowe siã odmieni.*

A proroctwom, jak wiadomo, trzeba pomagać.

\* \* \*

Pięćset metrów od ruchliwej Rurytania Avenue, w niewielkim parku, którego południowy kraniec przylega do Jeziora Tapirów. znajduje się elipsoidalny gmach, nazywany przez mieszkańców stolicy Wielką Zieloną ŝabą. Efekt wywoływany przez nieforemny kształt i zielone tafle pancernego, solaryzacyjnego szkła potęgują nadto anteny satelitarne, niczym olbrzymie oczy płaza umieszczone na szczytowej koronie gmachu.

Jak moŝna przeczytać na tabliczce wywieszanej przy wejściu, mieŝci się tu Instytut Badania Kultur i Języków, co tylko w części odpowiada prawdzie. Na trzydziestu górnych i osiemnastu podziemnych kondygnacjach znajduje się bowiem centrum wywiadu Republiki Rurytanii od lat dominującej siły w tym regionie.

Czwartego kwietnia w oktagonalnym gabinecie jednego z najniŝszych poziomów odbywała się konferencja, w której brały udział trzy osoby: Szef Wywiadu Kontynentalnego, Osobisty Doradca urzędującego prezydenta oraz młodzieńczo wyglądający Generał, piastujący niebagatelną funkcję Szefa Sił Natychmiastowego Uŝycia.

Przed nimi leŝał cienki plik kartek, dzieło jednego z najlepszych agentów, plan sporządzony na cienkim papierze w jednym egzemplarzu, z zachowaniem wszelkich reguł utajnienia.

- I co panowie na to? - zapytał Szef Wywiadu, szczupły, szpakowaty, przystojny niczym aktor filmowy.

- Po pierwsze, Szefciu, nie przeszkadzać - odezwał się Doradca, będący jego jaskrawym przeciwieństwem. Typowy pyknik o wypielęgowanych dłoniach i trzech podbródkach, z którymi niesympatycznie kontrastował cienki nos i krzywo wygięta linia wąskich ust. - Nie przeszkadzać i zachowywać dystans. Powodzenie akcji oznaczałoby ogromne zmiany, nie wiem nawet, czy nie rozpoczęcie otwarcia.

- Aŝ tak? - zdziwił się Szef Sił Natychmiastowego Uŝycia.

- Jak panowie wiedzą - ciągnął Ekspert - i jak, mimo zasady absolutnego utajnienia, orientuje się juŝ stosunkowo sporo ludzi, obok nas istnieją ŝwiaty alternatywne. Niektóre -jak na przykład Z-1 - szalenie nam bliskie. Co więcej, między obu ŝwiatami, myślę o Z-1

i naszym Z-2, istnieją szczeliny relatywne, którymi od zamierzchłych czasów dokonuje się międzycywilizacyjna wymiana. To nasi artyŝci, którzy przybyli poprzez szparę czasu, nauczyli ziemian kultury magdaleńskiej sztuki naskalnych malowideł. Z kolei ich wygnańcy przynieŝli do nas islam czy religię Jezusa Chrystusa...

Szef Wywiadu chrząka. Ekspert mówi rzeczy oczywiste, a szpakowaty amant nade wszystko ceni



sobie konkrety.

- Socjologowie interświatowi uważają, że tylko nieskrępowana wymiana między Ziemią 1 i 2 daje gwarancje harmonijnego rozwoju ich obu. Napotyka ona, niestety, duże trudności.

- Istoty Najwyższe - wtrąca General.

- Właśnie. Nie zbadana jest struktura ani cele tych superinteligentnych sił. Z wieloletnich badań prowadzonych w Instytucie Transcendencji wynika, że ich wpływ na nasze bezpośrednie czyny jest znacznie mniejszy, niż przypuszczano w Ciemnych Wiekach. Nie mamy też

dowodu, że nas stworzyli. Jedno nie ulega wątpliwości: spełniają One funkcje superkontrolerów przepływu międzywymiarowego. Przemykają oczy na drobny handelek czy wycieczki krajoznawcze. Strzegą natomiast bardzo skutecznie wszelkich zaburzeń czasowych. Wiadomo, że via światy alternatywne można dotrzeć do własnej przeszłości bądź przyszłości. Jednak nikomu nie udało się zakłócić kolei rzeczy. Były, owszem, próby ingerowania w przeszłość celem zmiany przyszłości. Zawsze jednak uruchamiały się mechanizmy korygujące, które bądź uniemożliwiały działanie wbrew istniejącej konsekwencji, bądź dokonywały takich posunięć, które neutralizowały czasoburcze czyny. Wiemy, że pewien śądny rozgłosu Herostrates z naszych czasów, przeniknąwszy w przeszłość Z-1, wdarł się na arkę Noego z bańką benzyny celem jej podpalenia. Udało mu się tylko częściowo, albowiem na korabie znalazły się zupełnie nieoczekiwanie dwudziestowieczne gaśnice pianowe. Wiele też

wydarzeń, które lud ochrzcił mianem cudu, było właśnie przykładami takich korekt dokonanych przez Najwyższe Moce.

- Do rzeczy - syknął Szef Wywiadu.

- Moim zdaniem, na przeszkodzie trwałej komunikacji między Z-1 a Z-2 stała zawsze różnica czasów. Nie można przecie bezkarnie łączyć w jedno świata na poziomie wieku XXI i XVII. Dziś mamy rzadki w równoległych historiach wypadek pełnego synchronu. Na Z-1

trwa rok 2000 nowej ery, u nas też 2000 Uniwersalnej Rachuby... Jediną przeszkodą jest Liga Przyjaciół i Sojuszników Erbanii pozostająca stulecia z tyłu, a nawet cofająca się w czasie.

Gdyby jednak Hugonowi Mirre się udało...? Amirandę oceniamy jako najslabsze ogniwo... Czas relatywny

stałby

się

dla

wszystkich

uniwersalny.

Poszerzylibyśmy

szczeliny

międzywymiarowe. To stworzyłoby perspektywę dla handlu na wielką skalę, turystyki, wymiany ludzi i idei. A potem już nic nie stałoby na przeszkodzie, aby Z-1 wspólnie z Z-2 rozpoczęły penetrację całego tysiącwymiarowego Świata. Ku chwale Istot Najwyższych.

- Oby pan był dobrym prorokiem - mruknął Generał. - Czy jednak informacje są pewne?

- Mam człowieka w najbliższym otoczeniu Gwidona Resa i meldunki na bieżąco - odparł

Arcywywiadowca. - Rzecz w tym, że nasza rozmowa musi przebiegać w absolutnej tajemnicy.

Nasza szansa polega na tym, że Hugon nie jest związany z naszymi służbami. Nie wie o nim nic Rada Prezydencka, z której wiadomości przeciekają jak przez durszlak do prasy.

Inicjatywa jest prywatna. I niech taka pozostanie.

- Do odpowiedniego momentu - zauważa lubiący mieć ostatnie słowo Doradca.

\* \* \*

- Rozumiem, że ma pan gotowy plan? - Hugon Mirrę mówi wolno, rozważnie.

- Mam wiele planów. Wiele poszczególnych pomysłów, elementów, wariantów i parę punktów, których nie potrafię sam rozwiązać. Stąd niezbędna jest pańska obecność.

- Rozumiem, że zadbał pan też o to, aby nikt nie powątpiewał w moją śmierć.

- Naturalnie. Waszą egzekucję pokazała telewizja światowa, człowiek zaś, który przeprowadził operację wykradzenia pana, już nie żyje, usunięto też kilka innych wtajemniczonych w szczegóły.

- Słusznie, od pewnego czasu nie mogłem zrobić kroku, żeby najrozmaitsze wywiady nie deptały mi po piętach. Gdyby wykryto moją pracę dla pana... Zdwojono by tylko ostrożność. A już dotarcie do Amirandy graniczy z nieprawdopodobieństwem. W samym Regentowi każdy cudzoziemiec ma paru aniołów stróżów, granice są pilnie strzeżone, społeczeństwo przesarte przez system płatnych i ochotniczych donosicieli, a sam Regent przebywa w środku misternej rolady wielokrotnego zabezpieczenia.

- Otrzyma pan dokładne informacje na ten temat.

- Rozumiem, że mam go zabić. Ale jak? Odpalić zdalnie sterowaną raketę w trybunę honorową w czasie święta Wielkich Miraculalii?

- Gdyby chodziło o zabójstwo, wystarczyliby mi ci, którymi już dysponuję.

Roderyka trzeba porwać i zmusić do mówienia. Jego rewelacje podziałają jak detonator, poderwą społeczeństwo do wybuchu...

- Mam tego dokonać sam, czy teŜ podeśle mi pan dywizję desantową?

- Kilku ludzi zapewnię. Dam pieniądze i środki. Mam teŜ kilka od lat przygotowanych punktów w kraju.

- I ludzi?

- Ludzi teŜ, choć wymagać to będzie od pana pewnych zabiegów.

- Rozumiem, Ŝe istnieje teŜ przynajmniej jeden informator z najbliŜszego otoczenia Regenta.

Gwidon uśmiechnął się.

- Przygotowywałem się do tej akcji od blisko pięćdziesięciu lat.

\* \* \*

4 maja 2000 roku szerokim trotuarem Wielkiej Promenady posuwał się przygarbiony wiekiem staruszek. Czasami przysiadł zmęczony na ławeczce i dzielił się z pawikami okruszynami czerstwej bułki. Za plecami zostawiał nowoczesne dzielnice i przybliŜał się coraz bardziej ku Starówce objętej dwoma pasami magistrali niczym słoik gumką od weka.

Obwodnica powstała zaledwie przed jedenastu laty w miejsce starych murów, ogrodów i parków, praktycznie oddzielając zabytkowe centrum (wstęp tylko dla turystów, mieszkańców i posiadaczy przepustek) od reszty miasta.

Stary Regentsburg od wielkich zaburzeń stał się świętą wewnętrzną strefą Regentowa.

A w nim - jak rodzynek - tkwiło wapienne wzgórze, w którego południowe zbocze wgryzł się Wielki Amfiteatr i szklana kopuła Centralnej Halli.

W podziemnym przejściu straŜnik zmierzył starca uwaŜnym spojrzeniem. Ten uklonił się i wyciągnął magnetyczne passe-partout, jakie od pewnego czasu posiadali wszyscy obywatele Amirandy. StraŜnik wsunął płytkę w paszczę kontrolkoodera, na którego oczku zapłonęło zielone światełko.

- W porządku, przechodzić!

W tym samym momencie rozegrało się prawdziwe misterium elektroniczne. Dane z plakietki zostały przekazane do Centralnej Kartoteki, potwierdzone i dzięki temu siedemdziesięcioletni Teden Bork, emerytowany funkcjonariusz Wielkiej Pretorii, znalazł się w uprzywilejowanej strefie. Przed kilkunastu laty królestwo przeskoczyło z postśredniowiecza w erę elektroniki.

Bork przyspieszył kroku, minął Złotą Bramę, pod którą fotografowała się podzielona na trójki wycieczka, dotarł do Rynku, skąd skręcił na wielkie schody wykute w wapiennym wzgórzu.

Propyleje Limeriańskie od niedawna wspomagane były ruchomymi chodnikami.

Kolejna wartownia była już niewidoczna. Dyśurowały jedynie dwa brązowe lwy, w ucho jednego z nich należało włożyć elektroniczną plakietkę. Potem, jeśli rozległ się cichy dźwięk akceptacji, można było postępować dalej, aż ku Srebrnym Wrotom. Oczywiście, te otwierały się tylko podczas powitań, świąt i parad. Na prawo znajdował się skromniejszy wjazd dla oficjalistów, a na lewo wyjście, pozornie nie pilnowane, choć w istocie wyposażone w elektroniczną gilotynę.

Każdy, czyja plakietka nie została pół minuty wcześniej zarejestrowana i zaaprobowana przez lwy, był powalony. Jeśli dotarł tu przez pomyłkę - odwołano go do szpitala, jeśli zaś nie - w zgoła odwrotnym kierunku. Bork w elektronicznej opinii był w absolutnym porządku. W jego magnetycznej karcie przywilejów znajdowało się jednak zezwolenie na korzystanie z pretoriańskiej garkuchni.

Trójkątny Dziedziniec Term, z których w południowym narożniku pozostała jako pamiątka jedna kolumna stojąca w liście akantu, w całości obudowywały niezliczone biura.

W suterenie niskiego pawilonu pretoriańskiego, pamiętającego jeszcze ponure czasy Ryszarda XII, mieściła się wspomniana stołówka. Chociaż młodzi pracownicy wszystkich dziesięciu departamentów Wielkiej Pretorii utyskiwali na stały napływ abominacyjnych staruchów-emerytów, Rada Liktorska zachowywała się jednak nieustępliwie. W końcu przywilej stołowania się na Zamku był jedną z niewielu przyjemności, jaka pozostawała emerytom. Tu, w zamkniętym kręgu, mogli dowiadywać się najświeższych ploteczek, oglądać wewnętrzne pokazy zakazanych videokaset, a także obserwować kariery swych niedawnych protegowanych.

Przedostatnim pomieszczeniem w pawilonie była usytuowana na półpiętrze czytelnia - pokój wiecznie pachnący tytoniem i piwem - ze ścianami pokrytymi dość banalnymi freskami, okolona kilkunastoma kabinami cichej projekcji. Dalej znajdowały się tylko drzwi toalety, dokąd skierował się świeżo przybyły staruszek. Było tam małe, zakratowane okienko, które wychodziło na pełen kwiatnych gazonów i wiecznie bijących w niebo fontann Dziedziniec Ośmiokątny. Dziedziniec, na który nie zaglądały już nawet najwyżej opłacane wycieczki. Tu wychodzili na papierosa członkowie Wielkiej Tajnej Rady, tu wypoczywali podczas męczących sesji członkowie Kapituły Rycerskiej. Tu niekiedy wyskakiwał, odsikać się pod murek, sam Najjaśniejszy Regent Roderyk II.

Oczy staruszka, starannie myjącego ręce, nie próbowały. Doskonale zanalizowały rozkład fotokomórek i elektroniczne zabezpieczenie kraty. Potem Bork spojrział na zegarek: 11.25.

Wycierając ręce w ręcznik, zbliżył się do okna. Ośmiokątny dziedziniec był prawie pusty.

Przechadzało się tam zaledwie kilku męszczyzn. Jeden z dystynkcjami generała-wiceliktora upuścił w pewnym momencie notatnik, a potem otrzepał go o kolano.

Teden Bork odwiesił ręcznik. Wiedział już, że wszystko jest w porządku, że na miejsce dotarł sygnał i o jego akcji poinformowany jest, kto trzeba. Przygarbił się i ruszył w stronę sal jadalnych. Był głodny jak tylko może być głodny udający starucha Hugon Mirre.

Pierwszą fazę akcji wykonał nadzwyczaj łatwo. Zaopatrzywszy się w fałszywe, ale bardzo dobre dokumenty, wyruszył do stolicy Etanii, gdzie wykupił trzydniową wycieczkę po Amirandzie. Ponieważ facet, od którego pożyzył sobie nazwisko, istniał naprawdę i był

niegroźnym emerytowanym nauczycielem greki, ceremonia wizowa trwała jedynie dwa tygodnie. I już drugiego maja autobus powietrzny z Hugonem na pokładzie kołował po pasach lotniska im. Roderyka II. Dwudziestoosobowa ekskursja otrzymała oczywiście siedmiu miejscowych aniołów-opiekunów i wyruszyła w tradycyjną trasę wycieczkową: Katedra, Rezydencja w Białym Przysiółku, Muzeum Państwa, Wystawa Magii... Trzeciego dnia przypadł

czas wolny, który większość wycieczkowiczów poświęciła na wizytę w wielopiętrowym Bazarze Centralnym. Dokładnie o godzinie 15.10 Mirrę, zgubiwszy na moment swego opiekuna, wskoczył do windy jadącej w górę. Na przedostatniej kondygnacji odbywało się przyjęcie towaru, ostatnia miała dwa specjalistyczne stoiska nie wzbudzające większego zainteresowania.

Toteż dźwig był pusty, znaczy prawie pusty, jeśli nie liczyć przygarbionego staruszka w kraciastej marynarce. Wystarczyły dwa słowa hasła. Zamiana marynarek, peruk, okularów i pakunków nie trwała więcej niż parę sekund. Nie zapomnieli oczywiście o dokumentach.

Staruszek w kostiumie profesora od greki wysiadł na szóstej kondygnacji, nasz as na siódmej.

Z perspektywy klatki schodowej zauważył, jak anioł stróż pieszo dopędził swego podopiecznego, uprzejmie go obsztorcował i szybko sprowadził w dół. Mirrę - już jako kuszykający staruszek - opuścił magazyn bez trudności. Nie przewidywał większych komplikacji dla swego zmiennika. W czasie całej wycieczki zachowywał spartańską małomówność, z nikim nie zawarł bliższej znajomości, zresztą do odlotu pozostawały zaledwie trzy godziny.

Jak przekonano autentycznego Tedena Borka, emerytowanego członka kasty wyróżnionych, do udziału w tej maskaradzie? No cóż. argumentów znalazło się kilka, od perspektywy wyjazdu z Amirandy (co dla emerytowanego pretorianina graniczyło z cudem) przez niesymboliczną gratyfikację po drobne elementy szantażu. Wiedzano przecie o długoletniej współpracy funkcjonariusza z przemytnikami...

Poza tym staruszek nie miał już okazji się rozmyślić, zaraz po przybyciu do Etanii przepadł jak kamień w wodę albo głębiej. ale ponieważ należał do wyjątkowych sukinsynów, nie powinniśmy go śłaować.

\* \* \*

Czym Amiranda różniła się u schyłku XX wieku od reszty alternatywnego świata?

Wieloma rzeczami. Pomińmy zacofaną gospodarkę. system oparty na feudalizmie, monarchię od pewnego czasu znów absolutną. Te sprawy wydawały się stosunkowo proste do zmiany. Istotą systemu regenckiego była bowiem nie tylko organizacja, ale też wiara. Zabobon podniesiony do rangi religii państwowej. Chociaż nie. Oficjalnie wierzono w Boga, ale miejscowy obrządek nasycony licznymi wpływami pogaństwa odbiegał od np. wzorca erbańskiego, który nawiązywał do

tradycji rzymskiej. Wiara amirandzka charakteryzowała się niesłychaną dosłownością i prymitywizmem. Obowiązywała więc wiara w cuda, magię, okultyzm. Wierzono w nadprzyrodzone pochodzenie władzy regenckiej, przypisywano Regentowi nieomylną takŜe w sprawach sádowniczych (dlatego nigdy nie zdarzały się pósmiertne rehabilitacje), umiejętność leczenia poprzez dotknięcie ręká, przenikanie myśli poddanych (po cóŜ więc wracać do koncepcji Telefonu Zaufania). Tak więc Regent był zwornikiem całej budowli.

I gdyby go zabrakło - w myśl rozumowania Gwidona Resa - cała konstrukcja winna runąć jak domek z kart. A co dopiero, gdyby schwytany i odarty z nimbu władca wyznał

przed telewizją światową i obcá radiofoniá nagminnie odbieraná w Amirandzie całą prawdę o sobie i systemie rządów?

Pozostawało - bagatelka - schwycić Regenta pilnowanego bardziej niŜ skarbiec USA w forcie Knox i chronionego pieczołowiciej niŜ honor japońskiego cesarza.

A przecieŜ Mirre przekonany był, Őe mu się uda...

\* \* \*

Liktorzy nie mieli nazwisk. To znaczy, posiadali je kiedyś, w odległej przeszłości. Obecnie zadowalali się numerami od jednego do dziesięciu. Były to zarazem kryptonimy podległych im departamentów. Najciekawszy był bodajŜe siódmy, zwany czasem Biurem Prowokacji, dowodzony przez energicznego bruneta z zadziwiająco regularnymi paskami siwizny. Przed kilkunastu laty komórka zajmowała się penetracją środowisk potencjalnie opozycyjnych, kontrolowała ewentualnych niezadowolonych. Siódemka wzbogaciła jej moŜliwość.

Regenta, jak kaŜdego arystokratę, prześladowała myśl o spisku. JuŜ samo podejrzenie kogokolwiek o przynaleŜność do masonerii groziło garotá. Czujne wyŜty Urzędu Pretorii dzień i noc śledziły co bardziej przedsiębiorczych studentów, wybijających się naukowców lub artystów. Aliści po zdziátkowaniu w poprzednich rewoltach organizacje jakoś się nie chciały zawiázywać. Zresztá wystarczyło, aby spotkało się trzech ludzi, ktoś z Pretorii musiał

być tym trzecim. Choć nie wykrywano spisku, istniała jednak i gęstniała spiskogenna atmosfera. Regent, mimo Őe nie był jasnowidzący, orientował się z grubsza, co myślá jego poddani. Czuł, Őe wystarczy drobiazg, aby skrzyknęła się organizacja, i to nie trzech brodatych terrorystów, ale ogarniająca miliony.

ToteŜ pomysł jednego z wybijających się funkcjonariuszy średniego szczebla - stworzenie tajnej podziemnej organizacji przez ludzi z Pretorii - chwycił, a sam pomysłodawca, człowiek-zebra, wnet awansował na Siódemkę. Rychło zostało powołane niewielkie, ale aktywne podziemie, ruszyły tajne drukarnie wyposaŜone w sprzęt z wcześniejszych konfiskat. Ucieszyli się zagraniczni korespondenci, rozrywkę mieli teŜ intelektualiści. Siódemka bowiem stworzył

organizację o pełnych pozorach prawdziwość. Poza kilkoma odkomenderowanymi funkcjonariuszami całość tworzyli ludzie święcie przekonani o autentyczności spisku. Działali więc,

a tymczasem bank informacji Nr VII pęczniał aktami kurierów i czytelników podzielonych na kategorie: potencjalnie niezadowolonych, niezadowolonych i siewców niezadowolenia.

Być może, szefów innych departamentów swędziałyby ręce, aby pozbierać całe bractwo i postąpić wedle starych, wypróbowanych metod, ale Siódemka przekonał swych szefów, że na razie należą tylko kontrolować i kontrolować. Zresztą, poza Nadliktozem nikt z równorzędnych szefów departamentów nie wiedział o Organizacji „O”. To znaczy natrafiali na jej komórki w czasie swej pracy, likwidowali je, zwalczali... Ale to jeszcze uwiarygodniało całość przedsięwzięcia.

A potem powstał plan powołania terrorystycznej grupy bojowej. Siódemka stworzył go w największej konspiracji. O istnieniu grupy wiedział tylko jego bezpośredni zwierzchnik Tytułarny Prefekt, no i Regent. Na czele kilkunastoosobowej bojówki stanął wypróbowany as pretorianów Tunder. Oczywiście, zmieniono mu nazwisko i stworzono legendę opozycyjnego Robin Hooda, dokonującego ekspropriacji dzielnic willowych w Montanii i przekazującego zdobycze rodzinom represjonowanych. Aresztowany i skazany na śmierć, uciekł z konwoju, zabijając czterech strażników. Pomógł mu jeden ze współwięźniów przezwiskiem „Ocelot”

wyznaczony przez Siódemkę. A potem obaj zapadli się jak pod ziemię. Budowanie oddziału trwało przez rok. Tunder i „Ocelot” działali bez żadnej pomocy ze strony zwierzchników. Środki czerpali rzekomo z poprzednich zasobów wataśki. Współpracowników dobierali starannie, a w raportach do wydziału nadzorującego akcję docierały tylko ich kryptonimy. To odstępstwo od praktyki pełnych dossier Siódemka tłumaczył lękiem przed dekonspiracją przez konkurencyjne departamenty lub ewentualnych szpiegów. Zwierzchnicy musieli plan zaakceptować.

W chwili przybycia Mirre do Regentowa oddziałek liczył trzynastu znakomicie wyszkolonych ludzi. Był już po debiucie - akcji wysadzenia pomnika Regenta w Elmarze oraz zabójstwie pewnego szefa legionu (zresztą na zamówienie samego władcy). Legenda już

powstała, a pozostałe dziewięć departamentów stawało na głowie, aby dobrać się do skóry „terrorystom”.

\* \* \*

- Wie pan już, czym może dysponować - w mózgu Hugona refrenowo powracały szczegóły ostatniej rozmowy z miliarderem - reszta należy do pana. Chyba że stwierdzi pan, iż

realizacja jest niemożliwa.

- Nie ma rzeczy niemożliwych, są najwęższe trudne - odpowiedział Mirre.

Dziś mógłby dodać - bardzo trudne. Choć czasami bardzo przyjemne...

- No, kolanko powinno się trzymać - rzekł, nie siląc się na starczy głos, i odłożył szabkę na skraj wanny.

Łączniczka (nie poznał nigdy imienia tej pięknej dziewczyny pracującej jako przewodnik krajowych

wycieczek) uśmiechnęła się. Oboje wiedzieli, że wizyta związana z pokątną usługą hydrauliczną (Bork w ten sposób dorabiał do renty) jest jedynie pretekstem. Nie było akurat Śadnej z trzech współlokatorek, więc Mirrę sprawdził pobieżnie mieszkanie i nie wykrył

podśluchów. Na wszelki wypadek cały czas grało radio, a woda lała się do wanny. Hugon nie wypytywał, jak i kiedy dziewczyna została zwerbowana przez Resa. Wystarczyło mu parę informacji, kontaktów.

- Zobaczmy się jeszcze? - zapytał na odchodnym. - Warto byłoby podreperować piecyk gazowy.

Łączniczka z ledwie zauważalnym smutkiem pokręciła głową.

- Nie sędę.

- Szkoda!

Pięć pierwszych dni (i nocy) zakonspirowanego pobytu w Amirandzie Hugon poświęcił

na studia. Z obserwacji własnych, przywiezionych informacji, wreszcie z tego, co usłyszał od łączniczki, wiedział sporo. Wystarczająco, by się zniechęcić.

Wyjąwszy specjalne okazje - te jednak ze względu na szczególne nasycenie środkami ochrony najmniej nadawały się na akcje - Roderyk II pędził Śywot raka pustelnika. Niechętnie opuszczał Zamek, a jeśli nawet to czynił, to wsiadał do jednego z trzech helikopterów startujących w odstępach pięciominutowych z trzech różnych dziedzińców Twierdzy. Wehikuł

dla Regenta kaśdorazowo wybierał komputer w ostatniej chwili przed startem.

Cel podróży teś oznajmiano w wąskim kręgu, i to dopiero w momencie odlotu. Była to zwykle któraś z rezydencji, znajdująca się w jeszcze trudniej dostępnych miejscach niż Stołeczny Zamek, przeważnie na odludziu. Regent nie miał upodobań w stylu Haruna al Raszida. Nie wymykał się incognito, nie składał wizyt poddanym, nie wyjeśdśał za granicę. A spotykał się tylko z tymi, których zawezwał. W odróśnieniu od swych poprzedników nie otaczał się chmarą kochanek (miał kilka sprawdzonych i zamieszkałych na stałe w Zamku), nie zdradzał

upodobań do chłopców, artystów, awanturników. Nikogo teś nie kochał, odpadały zatem wszelkie metody polowania z przynętą. Był człowiekiem tak ostrośnym, że gdy w prowincji Górna Depresja wyrósł buk rodzący złote orzeszki, władca nie podąśył jak inni ciekawscy obejrzeć cuda na miejscu. Którejś nocy po prostu wykopano drzewo, przywieziono na Zamek, Roderyk obejrzał je, po czym buk odstawiono na miejsce i wkopano ponownie. Dla drzewa następstwa były przykre, rozchorowało się i złote buczynki przestały owocować...

O zdobyciu rezydencji nawet nie mośna było marzyć. Res wstępnie rozwaśał i ten wariant.

- Trzystu ludzi, żeby zdobyć - odparł Hugon - trzy tysiące, żeby zapewnić odwrót.

I pomysł upadł.



Dziesiątego maja na Wielkiej Promenadzie znany nam już staruszek niemal wpadł

pod eleganckiego merkuriona. Auto zahamowało z piskiem.

- Śpieszy ci się do grobu, staruszkule?! - krzyknął zza kierownicy młody człowiek o wyglądzie playboya.

- Czy jedzie pan w kierunku Smolnych Dub? - zawołał niemal przejechany.

- To przecieŜ w przeciwnym kierunku - odparł kierowca.

- Ach, pomyliłem się, chodziło mi o DUBY Bazylejskie. Tam gdzie klasztor.

- Niech pan wsiada, przypadkowo jadę w tamtym kierunku. Tylko po drodze muszę załatwić drobniaki...

Drobniakiem była wielka myjnia na rogatkach. Kiedy cały merkurion zanurzył się w pianach i szczotkach, milczący kierowca i pasażer przemówili.

- Szuka pan kontaktu? - zaczął playboy. - Dostałem wezwanie awaryjne.

- O co chodzi?

- Dzień A.

- Amputacja?

- O szczegółach pomówimy później.

- Data?

- Trzynastego, ale to zostanie jeszcze potwierdzone.

- Gwidon pana przysłał...?

- Bez pytań. Ustalimy teraz tylko szczegóły kontaktów.

- I co po amputacji? Jaki cel?

- Dowiesz się.

- Czy możesz być pewien całej swojej trzynastki? Oczywiście z wyjątkiem...

- Jest pewnych dziewięciu, ja dziesiąty.

- Dobrze. Na kiedy planowaliście normalne spotkanie?

- Dwunastego w nocy.

- Pierwszorędnie. Teraz daj gaz. Wyjeżdżamy, szczegóły kontaktu znajdziesz na tej kartce, potem ją zjesz...

\* \* \*

„Róża Wiatrów” sygnalizowała uszkodzenia sterów. Awaria, do której doszło w maszynowni, miała - zdaniem specjalistów - większe następstwa, niż mogłoby się na oko wydawać. W efekcie wielki frachtowiec nadał odpowiedni sygnał i skierował się ku wodom przybrzeżnym Amirandy. Dookoła pojawiły się łodzie patrolowe. Po dłuższej wymianie depesz statek otrzymał polecenie stanięcia na redzie. Późny zmierzch rozjarzył luksusowe wybrzeża Merańskiego Łuku setkami świateł. Zaraz za portem rozpoczynało się długie pasmo uzdrowisk, pensjonatów dla wybranych, luksusowych willi. Teren był naturalnie strzeżony, reflektory co pewien czas przeczesywały powierzchnię wody, a odludne plaże patrolowali limiterzy. Niełatwo było tu przybyć, a tym bardziej opuścić trapezoidalne królestwo.

Jedenastego maja o godzinie 21.15 wśród kompletnej ciszy dwóch ludzi zsunęło się z pokładu „Róża Wiatrów” w ton zatoki. Obaj wyposażeni byli w sprzęt do nurkowania, ocieplane kombinezony, maski, butle i płetwy. Zagłębiwszy się na parę metrów, ruszyli w stronę świateł wybrzeża.

Wzięli kurs na najbardziej luksusowy odcinek esplanady, gdzie przed rezydencją

„Trytonia” znajdował się naturalny basen utworzony przez drewniany pomost pełen palm, lampionów i kolorowo nakrytych stolików.

Wśród odpoczywających bajecznych dziewczyn i dygnitarzy bezszmerowo snuli się kelnerzy, grała orkiestra. Co chwila strzelał szampan, a śmiechy doskonale bawiącego się towarzystwa docierały aż do załóg łodzi patrolowych, trzymających się jednak w odpowiedniej odległości od rajy elity. Nie brakło i kąpiących się. Sygnał do zabawy dawała najczęściej drobniutka dziewczyna w różowym szlafrocuku, rzucająca do wody owoce, które usiłowali schwytać prychający jak tłuste delfiny promieniści.

Kwadrans po północy podwodna ekspedycja znalazła się u celu. Męczyźni zatrzymali się przy stalowej pięciometrowej stopie dźwigającej drewniany pomost. Szczuplejszy z nurków pozbył się kombinezonu, po czym po raz ostatni zaczerpnął powietrza i odpiąwszy aparaturę, którą zaopiekował się kolega, wyprysnął ku górze. Wypłynął wśród kilkunastu prychających, mocno nagranych facetów. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Dopłynął do schodków, gdy większość kąpiących się zajęta była polewaniem gołej hostessy czterema szampanami, i spokojnie wyszedł z wody. Owinął się ręcznikiem leżącym na skraju basenu, minął

dwie palmy, wszedł do luksusowej łazienki i wziął prysznic. Ciepła woda stanowiła rozkosz po długiej podmorskiej eskapadzie. Tymczasem rozległy się odgłosy bosych stóp stąpających po kamiennej posadzce. Do kabiny zajrzała jedna z bezpruderyjnych pań w różowym szlafrocuku. Popatrzyła na męczyżnę uważnie i utkwivszy wzrok w złotym breloku na szyi przedstawiającym skorpiona, powiedziała cicho:

- Ubranie znajdziesz w kabinie numer osiem. Nie zwracaj uwagi na światelko „zajęte”.

Znalazło się tam nie tylko ubranie, ale i pieniądze, bilet na ekspres do stolicy oraz komplet dokumentów zaopatrzonych w kolorowe zdjęcia człowieka, który jeszcze przed chwilą przypuszczał, że na całe życie nazywa się Dawid Jang.

\* \* \*

W dawniejszych czasach konspiratorzy i spiskowcy za scenerię swych potajemnych spotkań wybierali krypty i katakumby, opustoszałe opactwa i odludne uroczyska, później funkcję tę przejęły magazyny i wysypiska śmieci, kanały oraz tunele miejskiej infrastruktury.

Tunder już od początku wykorzystywał absolutnie inne pomieszczenia. Biura! Ktoś wyliczył, że w owych czasach co drugie pomieszczenie w Amirandzie było zajmowane na lokale biurowe.

Całe dzielnice składały się z urzędów, zarządów, komisji, officjów. Za dnia były i gwarne, w nocy pogrążały się w wielopiętrowym, rozległym śnie. Dysurowali jedynie nieliczni portierzy (a tych zawsze można było uspić) oraz aparatura elektroniczna. Ona również nie nastęczała większych trudności zawodowcom. Odpowiednie klucze elektroniczne sprawiały, że otwarcie drzwi nie uruchamiało alarmu, właściwe programy komputerowe dławily czujność fotokomórek, tak że w absolutnie pustych gmachach można było spokojnie spotykać się, szkolić, przygotowywać.

„Ocelot” i Tunder zjawili się wcześniej. Perspektywa spotkania kuriera nowo powstałej organizacji terrorystycznej, który chciał podjąć współdziałanie z Grupą „O”, miała stanowić punkt przełomowy w ich dotychczasowej działalności. O to przecież chodziło! Uwiarygodnić się i stanowić lepiej czy raczej punkt świetlny, do którego zlecają się wszystkie czmy spisków i anarchii z okolicy. Na dzisiejszą ochronę wyznaczono Luda i Vergera, dwóch rosyjskich, sprawdzonych bojowców.

- Czy jesteś pewien, że nie jest to jakaś pułapka? - zapytał jeden z dowódców.

- Czyja? Policji? Siódemka wie przecież o każdym ich kroku przeciwko nam.

- Ale nie zdążyłem przekazać mu informacji o tym spotkaniu.

- Zdążymy po.

- Gdzie się umówiłeś z kurierem?

- W marmurowym hallu.

- Dlaczego właśnie tam?

- Przede wszystkim dlatego, że tam nie ma okien.

- A co z wejściem?

- Kurier potrafi wejść. Dostarczono mu klucz.

- Chodźmy więc.

Hall marmurowy znajdował się na trzecim piętrze. Ze skrzydła, przez które weszli, należało przejść czterema korytarzami. Ludo i Verger poszli kwadrans wcześniej przodem, aby zabezpieczyć miejsce spotkania. Już od wylotu korytarza Tunder zauważył postawną sylwetkę czekającego.

- Cieszę się bardzo - zaczął i urwał.

Był dość spostrzegawczy i dlatego zdziwił go brak obok gościa obu ochroniarzy. Czyżby się gdzieś zawieruszyli? Dopiero rzut oka pod ścianę wyjaśnił wszystko, chociaż z cienia ledwie wystawały nogi Vergera. Ciało Luda dostrzegł sekundę później za palmą. „Zasadzka!” -

pomyślał Tunder. Chciał sięgnąć po broń, ale uczył na plecach dotyk spluwy trzymanej przez „Ocelota”.

„Zdrada!” - przemknęło przez myśl funkcjonariuszowi. Ale przecie „Ocelot” należał do najwierniejszych współpracowników Siódemki. Uśmiech zbliżającego się kuriera wyjaśniał

wszystko: zdradę Siódemki i arcychytre wyprodukowanie siłami policyjnymi autentycznej organizacji terrorystycznej, która bez niego i obu wtyczek stanowiła nie kontrolowaną tajną broń o sile równej jawnie działającej dywizji. Jako zawodowiec ocenił szansę i nie próbował nic zrobić, przymknął tylko oczy nie chcąc oglądać klingi. Z marmuru łatwiej zmywać krew niż

z klepki - pomyślał - dlatego tu wyznaczili spotkanie.

\* \* \*

13 maja o godzinie 11.02 Generał-Nadliktor otworzył z dwuminutowym opóźnieniem posiedzenie dowództwa Pretorii. Odprawy, które prowadził on lub Prefekt, nie należały do długich. Ogólny przegląd sytuacji, dyspozycje dzienne. Pytania i wyjaśnienia. Wszyscy już

wiedzieli, że tego dnia za półtorej godziny wystartuje helikopter Regenta (nie wiedzieli, który z trzech) i uda się w podróż. Musieli wiedzieć, albowiem odpowiednie polecenie wydawano z krótkim wyprzedzeniem służbie nadzoru i kontroli lotów. Należało zrealizować wytyczną

„czyste niebo”. Przy takich okazjach na parę godzin odwoływano wszelkie loty sportowe, szybowcowe, sanitarne. Zamykano trzy spośród czterech korytarzy stołecznego lotniska. Dwa samoloty wczesnego ostrzegania startowały z baz i wypatrywały wszelkimi dostępnymi środkami nielegalnych wyrzutni raketowych lub jakichkolwiek niepokojących zjawisk na trzech ewentualnych trasach przelotu. Choć dziś każde dziecko mogło się domyślić, że kurs z grubsza przebiegać będzie na południe. Tam bowiem odbywało się Święto Młodości - doroczne wybory Miss Amirandy. Tradycyjnie w noc po wyborze oddawała ona swoją cześć w łóżnicy Regenta.

Toteż obok normalnego składu jury - w którym zasiadali esteci, tancmistrze, dyktatorzy mody, reżyserzy filmowi, fotograficy i specjaliści od reklamy - obowiązkowy był jeszcze udział

lekarza hymenologa i specjalisty od lojalności. Przed finałami, w warunkach hipnozy, badał on podświadomość kandydatek i te, których jaźń zawierała najmniejsze choćby inklinacje

antypaństwowe, profilaktycznie eliminowano. Na szczęście uroda chodziła zazwyczaj w parze z głupotą i obojętnością polityczną.

Wszyscy woleli dni, kiedy Regent leciał na południe. Teren rozciągał się tam płaski i wyjąwszy obszar Parku Narodowego - bezleśny, gęsto zamieszkały.

JuŜ miano koŃczyć operatywkę, gdy dyŜurny Major-Liktor wywołał z sali Piątkę. Po chwili równieŜ Szóstkę. Niezwłocznie dołączył do nich sam Nadliktor.

- Co się stało?

- Gwardia lotniskowa złapała faceta z fałszywym paszportem... - przekazuje Piątka, któremu podlega kontrwywiad.

- Uciekał?

- Przeciwnie. Chciał się dostać.

- I to jest aŜ tak alarmujące?

- Posiadał przy sobie plastikową broń, niewykrywalną przez tradycyjne czujniki, ale miał pecha i trafił na przejście eksperymentalne, gdzie takie rzeczy juŜ wyłapujemy.

- Coś powiedział?

- Nic, ale udaremnilo mu połknięcie karteczki z prostym szyfrem telefonicznym.

Jest to szyfr, którym, jak niedawno ustaliliśmy - melduje Piątka - posługuje się Tajna Organizacja Terrorystyczna: Grupa Zero.

- Czy ustalono juŜ personalia tego człowieka?

- Komputery tradycyjnie zawiodły, ale starzy pracownicy nie. Nasz gagatek od lat niesłusznie uwaŜany był za zmarłego. Wyjątkowo niebezpieczny typ. Jeden z przywódców rebelii sprzed ćwierć wieku na pancerniku „Chłuba Meranii” - Albin Ketes.

\* \* \*

O dwunastej dziesięć Regent zjadł drugie śniadanie składające się z chudego boczku, oliwek, kawioru, dwóch rolmopsów i bitej śmietany. Najjaśniejszy pan miał bowiem gust dziwny i niewybredny. Potem podpisał kilkanaście odmownych decyzji w sprawie ułaskawienia, zajrzał w dekolt nowej stenotypistce i strzeliwszy setkę centaurówki, wyszedł do ściśle wyselekcjonowanej grupy dziennikarzy.

Miał przygotowanych kilka komunałów na temat sprawczej roli młodości i perspektyw Ŝyciowych młodzieŜy w Amirandzie. Na koniec na oczach wszystkich uzdrowił epileptyka, wyprostował garbuskę i oŜwiwił utopione przed pięciu godzinami dziecko. Potem odpowiedział

na złoŝone parę dni wcześniej na piśmie pytania.

- Podobno szerzy się u was terroryzm? - zapytał korespondent z Rurytanii.

- W minimalnym stopniu, w gruncie rzeczy istnieją małe grupki bez znaczenia, jako ŝe pozbawione są jakiegokolwiek społecznego poparcia. Poniewaŝ jednak często insynuuje się nam nadmierną represyjność i brak liberalizmu, pragnę zapytać się szanownych redaktorów, czyŝ istnienie odosobnionego wprawdzie, sporadycznego terroryzmu nie jest dowodem naszej otwartości i postępowości? No, ale czas na mnie...

Windą zjechał na kondygnację szybkich połączeń.

- Co komputer wylosował? - zapytał swego sekretarza.

- Maszyna numer dwa - odparł ów.

- Pilot?

- Najlepszy. Dwadzieścia lat nienaganej słuŝby. Trójka dzieci w elitarnych zamkniętych zakładach wychowawczych, czyli w naszych rękach, ŝadnych złych skłonności, latał z Waszą Miłością wiele razy.

- No, to startujemy. Mam nadzieję, ŝe tym razem wybiorą Mulatkę.

- Upodobania Najjaśniejszego Pana sterują suwerennymi myślami jury.

Na trzech dziedzińcach trzy śmigłowce zapuszczały silniki.

\* \* \*

W białej Wieŝy Sprawiedliwości kilku wysokich funkcjonariuszy pochyła się nad czymś, co było nie tak dawno Albinem Ketesem. - Czemu nic nie mówi? - zŝyma się Piątka.

Zaraz zacznie, skopolin zadziała za dwie minuty - mówi funkcjonariuszka w kitlu.

- A jeśli trenował zaciski podŝwiadomości? - niepokoi się Nadliktor, który po poŝegnaniu Regenta przybiegł do pokoju przesłuchań.

- Wzmocnimy dawkę.

Siódemka rzuca okiem na ścienny zegar: 12.41. Juŝ od jedenastu minut stalowy ptak Regenta znajduje się w powietrzu.

- Dlaczego kolega działa w takim poŝpiechu? - Siódemka zwraca się do Piątki. - To straszny twardeł, ale podczas jednej ze wstępnych obróbek wyrwało mu się: „Nie męczcie się, chłopaki, za parę godzin i tak będzie po herbacie...”

- Po herbacie? - marszczy się Nadliktor. - Co to ma znaczyć? Teraz się dowiemy.

Początkowo z ust Ketesa dobywa się bełkot, potem może zacząć wyławiać pierwsze słowa przerywane chichotem.

- Przegraliście, już po was, krwiopijcy, koniec z Roderykiem...

Ogromne napięcie maluje się na twarzach zgromadzonych oficjeli.

- Może powinienem zawiadomić Regenta? - mówi jakby do siebie Generał.

- Po co? - odzywa się nagle całkiem przytomnie Ketes. - To już trup.

- Co powiedziałeś?

Jeszcze parę słów i do zgromadzonych speców od bezpieczeństwa dociera budząca grozę informacja, że w śmigłowcu, który akurat minął ostatnie przedmieścia Regentowa, znajduje się bomba.

- Blefujesz! - mówi Siódemka. - Nie ma możliwości podłożenia takiego ładunku w wewnętrznej strefie.

Oczy Ketesa odszukują na ścianie zegar. Jest 12.45. Rozbite usta układają się w grymas zbliżony do uśmiechu. Chwila ciszy, potem mimo grubych murów aż tu dolatuje odgłos detonacji.

Rozlega się wycie syren.

- To od strony Ośmiokątnego Dziedzińca. Tam startował... - szepce Piątka.

Po chwili wbiega funkcjonariusz i melduje o potężnej detonacji, w pawilonie pretorianów.

Bombę najprawdopodobniej podłożono gdzieś w rejonie czytelnicy... Może w którejś z kabin?

Wszyscy ponownie zbliżają się do Ketesa. Już wierzą, że mówi prawdę.

- Gdzie jest umieszczona ta bomba?! - woła Nadliktor.

Chichot.

- To ładuneczek malutki w porównaniu z tym od pawilonu, ale skuteczny. Jego detonacja podetnie przypory wirnika. Maszyna spadnie jak kamień.

- Dajcie mi szybko łączność z kabiną, niech obniżą lot.

- Tak, koniecznie niech obniżą - powtarza Albin i Nadliktor zastyga w pół kroku. -

Bomba jest ciśnieniowa - tłumaczy więzień - uruchomiła się zaraz po starcie, a teraz wybuchnie, kiedy maszyna znajdzie się poniżej siedmiuset metrów nad poziomem morza.

- Dobrze, Śe to wiemy - mówi Siódemka. - Moim zdaniem, Wasza Ekscelencja mógłby dyskretnie zawiadomić pilota, aby nie obniŜał lotu. My wyślemy inny helikopter.

Zrobi się między nimi most i uratuje Najjaśniejszego Pana.

- Nie zdąŜycie - charczę Ketes - drugi zapalnik jest czasowy. Zdetonuje dwadzieścia pięć minut po starcie.

Wszyscy obecni spoglądają na zegarki.

\* \* \*

W samym środku Parku Narodowego znajduje się olbrzymia, wielometrowa buła wapienna, zwana przez prosty lud Zakutą Pałą. Porośnięta karłowatą roślinnością, przypomina ogromną, ustawioną na sztorc buławę. KrąŜą o niej najrozmaitsze legendy. Była teŜ miejscem obrzędów sięgających czasów pogańskich związanych z inicjacją młodych męŜczyzn podczas Misteriów im. Onana. Są to jednak przeŜytki dawno zwalczone. Obecnie dookoła rozciąga się ścisły rezerwat, ostoja zwierzyny, której spokój zakłócają jedynie regenckie polowania. Swego czasu, kiedy dokonywano pomiarów triangulacyjnych, skała otrzymała oficjalną nazwę kartograficzną - 711.

Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby na ten punkt jedynego wzniesienia o tej wysokości w okolicy skierować helikopter.

Początkowo cały manewr zamierzano utrzymać przed władcą w tajemnicy.

Roderyk jednak rychło zauwaŜył zmianę w twarzy pilota, nerwowość jego ruchów.

- Czy coś się stało? Co się dzieje? - powtórzył.

Stuknął w pancerną szybę rozdzielającą kabinę, a nie słyszając odpowiedzi zaŜądał od sekretarza połączenia z Centralą.

\* \* \*

Nadliktor przeniósł się do bunkra operacyjnego. Rozdzielił zadania swym zastępcom.

Siódemce zlecił dalsze przesłuchiwanie Ketesa, zaŜądał teŜ pilnego uruchomienia Grupy Zero, a zwłaszcza Tundera, celem poszukania autorów spisku.

- Od północy mam kłopot z odnalezieniem Tundera, nie zgłosił się do punktu łącznikowego - odpowiada zmarkotniały oficer.

- Musicie złapać kontakt! - powtarza szef i uwaŜa sprawę za załatwioną.

Teraz podstawowym problemem pozostaje pytanie - zdąŜą, nie zdąŜą?

- Jeśli Ketes powiedział prawdę, od wylądowania na skale 711 do wybuchu powinni mieć minutę -



mówi Doradca. - To wystarczy, aby wyskoczyć i skryć się w załomie. Powinno się udać, wierzchołek Zakutej Pały ma kilkadziesiąt metrów kwadratowych pełnych załomków i rozpadlin...

- Oby miał pan rację!

Z kolejnych meldunków dowiadują się, że wystartował już helikopter z ekipą sanitarną, samolot zwiadowczy zaś, który zapędził się zbyt na południe, wkrótce będzie miał skałę w polu bezpośredniej obserwacji. Większego alarmu zdecydowano się na razie nie podnosić. Sytuacja była wszakże wysoce kompromitująca dla reżimu. Generał przechodzi na kontakt bezpośredni.

- Minuta do lądowania, proszę być gotowym do ewakuacji - słysząc spokojny głos pilota. - Widzimy już skałę.

- Niech Najjaśniejszy Pan nie zapomni swojej teczki - włącza się Nadliktor.

- Dobra, dobra! Tylko szybko zabierzcie mnie stąd – słysząc histerycznie piskliwy głos Roderyka.

- Jesteśmy u celu - mówi pilot...

\* \* \*

Regent wyskoczył bardzo gładko, za nim sekretarz, potem pilot, odbiegli tylko parę kroków i przypadli do ziemi. Pozostawiony helikopter nie przestawał wywijać śmigłami.

„Ocelot” wychylił się zza skały z wyrzutnią w ręku. Cały czas spoglądał na przelatujące cyferki elektronicznego zegarka: 57, 58, 59... Już... Dwa granaty trafiły do wnętrza śmigłowca.

Eksplozja wstrząsnęła ciszą rezerwatu. Na moment pył i trąba ognia nakryły wierzchołek skały.

- Teraz!

Ludzie z „Zerówki” skoczyli jak rysie. Dwa pchnięcia unieszkodliwiły pilota i sekretarza. Potem rzucono na ciała jeszcze dwa pojemniki z benzyną.

- Pan pozwoli - „Ocelot” energicznym ruchem wyrwał teczkę z rąk oszołomionego Roderyka i cisnął ją w płomienie. - Teraz szybko z nami.

Po drugiej stronie skały czekała zaimprovizowana winda.

Eksplozję dojrzano zarówno z pokładu sanitarki, jak i z samolotu wczesnego ostrzeżenia.

W Centrali zgąsły światelka helikoptera, zapłonęło za to inne, czerwone. Awaria...

Nadliktor przetarł zroszone czoło.

- Chyba udało im się. Musiało się udać - powiedział nie bardzo wiadomo do siebie, czy do personelu. - Zaraz sprawdzimy.

I w eter popłynęło wezwanie: „Teczka I, Teczka I”. W niewielkim neseserze miał bowiem Regent zarówno osobistą radiostację oraz broń, jak i stały, nie wyłączający się nadajnik sygnalizujący jego aktualne położenie.

Niestety, Źadnej odpowiedzi nie było. Zgasła nawet paląca się jeszcze chwilę po katastrofie lampka sygnalizująca odbiór. CzyŜby teczka uległa uszkodzeniu, moŜe została wewnątrz zniszczonej maszyny?

Nastąpiły teraz bardzo długie minuty. Najcięższe chwile w Źyciu Nadliktora. Bitwa z myślami: co zrobić? Ogłaszać totalny alarm, zwoływać Radę Królestwa?

W jakieś piętnaście minut potem zgłosił się regencki helikopter sanitarny.

- KrąŜę nad skałą - relacjonował pilot - wszystko tam płonie, porosty, kosodrzewina, prawdopodobnie zawartość zbiorników paliwa wylała się na skałę.

- A ludzie, ludzie, na brodę świętego Limeryka? - Generał ledwie panuje nad sobą.

- Dostrzegłem coś, co przypomina zwęglone ciało, poza tym Źadnych Źywych ludzi nie widzę, chyba Źe pospadali ze skały.

- Czy mogli zejść?

- Na wdrapanie się na Zakutą Pałę wytrawny alpinista potrzebuje sześciu godzin, zejście bez sprzętu jest w ogóle niemoŜliwe.

- Wylądujcie u podnóŜa.

- Kiedy tam jest absolutny gęszcz. Nie ma miejsca, a najbliŜsza polanka znajduje się prawie o kilometr.

- To zrzućcie drabinkę, spuście kogoś na linie!

- Spróbujemy, ale nie mamy fachowców... Sami lekarze.

- Dobrze, posyłamy następny śmigłowiec.

\* \* \*

Wszystko szło jak najlepiej. W parę minut byli na dole. Usunięto liny mogące zdradzić drogę ewakuacji. Regent wyglądał na kompletnie ogłuszonego. Apatycznie dawał się ustawiać, przesuwając i wreszcie zajął miejsce w małym, elektrycznym wózku terenowym, którym zazwyczaj poruszała się słuŜba rezerwatu. Kilku męŜczyzn wskoczyło razem z nim. Zabrzęczał cicho silnik.

Wysokie drzewa rozpinały nad zbiegami parasol nie do przebiccia.

„Jestem zgubiony!” - po raz nie wiadomo który przebiegło przez myśl Roderykowi.

Patrzył na twarze terrorystów, szukając w nich choćby współczucia. Nic - zacięte gęby ludzi młodych, zdeterminowanych i chyba uszczęśliwionych sukcesem. Ich dowódca nosił pseudonim

„Ocelot” i Regentowi wydawało się, że to miano zapożyczone od drapieżnego kota nie jest mu obce... Ocelot, Ocelot...? I naraz przyszła mu do głowy paradoksalna myśl, że terroryści są w istocie funkcjonariuszami Siódmego Departamentu jego własnej Pretorii.

\* \* \*

Nadliktor był znużony. Komunikaty z Zakutej Pały mówią o kończącym się pożarze, znaleziono szczątki ciała. Dwoch... A może trzech. Na ziemi śladów. Prawdopodobnie więc wszyscy spłonęli nie mogąc się w porę wydostać ze strefy ognia. Kiedy pożar ostatecznie zostanie ugaszony, na skale wylądują ekipy dochodzeniowe. Na razie trzeba czekać. Specjaliści nie radzą używać gaśnic, bo po pierwsze, za późno, a po drugie, piana może ostatecznie zatrzeć ślady.

„A więc mamy bezkrólewie?” Generał myśli z niepokojem o atmosferze intryg w kierowniczym gremium, o najbliższych godzinach przepychanki o władzę.

- Muszę iść na Radę - mówi do personelu zgromadzonego w Centrali, wcześniej wydał polecenie zabezpieczenia kluczowych punktów.

Na zakręcie korytarza natknął się na Szóstkę. Wiceliktor miał niesłychanie tajemniczą minę.

Przez moment Szef zastanawiał się, czy to spotkanie nie jest jakimś elementem rozpoczynających się rozgrywek.

- Co jest, Leo? - pyta.

- Mam stale dziwne przeczucie, Szefie - odpowiada oficer - że to nie jest tak.

- Co nie jest?

- Czuję, jakbyśmy odgrywali rolę w starannie zaplanowanym spektaklu, że całe to aresztowanie Ketesa, wybuch w pawilonie pretorianów to elementy subtelnej intrygi...

- Ale po co?

- żebyśmy pomyśleli i działali jak działaliśmy. żeby uwiarygodnić istnienie bomby, zdradzić postronnym, którym helikopterem leci Regent, i wreszcie - zmusić go do wylądowania na Zakutej Pale...

- Myślisz... - Nadliktor sztywnieje.

- Gdybym chciał dokonać zamachu na Najjaśniejszego Pana, tak właśnie bym postąpił.

- Ale do tego potrzebny jest ochotnik-samobójca. Myślisz, że Ketes to...?

- Niekoniecznie - odpowiada Leo.

I naraz obaj puszczają się pędem ku Wieŝy Sprawiedliwości. W okolicznych salach świeci pustka. Tych, którzy nie podąŝyli do Punktów Dowodzenia, zwabił teren eksplozji, trwała akcja zabezpieczania i przetrząsania gmachów w poszukiwaniu innych ładunków. Dopiero w kolejnym z pokoi natknęli się na dyŝurującą starszą policjantkę.

- Gdzie więzień?

- W sali. Przesłuchuje go pan Wiceliktora numer siedem.

Pukanie do drzwi niewiele dało. Otworzono je dopiero granatem.

W środku zastali prawdziwą jatkę. Dwóch zaszlachtowanych funkcjonariuszy, sztywna protokolantka. Łoŝe przesłuchań było puste. Sam Siódemka zwinięty w kłębek leŝał w kałuŝy krwi... Piątka przyklęknął koło niego.

- ŝyje - rzucił. - Fachowe ogłuszenie i dwa chybione pchnięcia, stracił sporo krwi...

- Ale jak to było moŝliwe? - Szef rozgląda się i naraz dostrzega małe wyrwane okienko wentylacyjne. - Mam!

Najwyraźniej ktoś z zewnątrz wdarł się tu, poradził sobie z czwórką fachowców i umknął tą samą drogą, zabierając jedyneŝo ŝwiadka... Nadliktora zrozumiał w mgnieniu oka i wykrzyknął:

- Wygląda na to, że moŝesz mieć rację, Leo, że to wszystko była mistyfikacja. A my nie zadbalimy nawet, aby otoczyć dookoła Park Narodowy. Nasze ekipy przeszukują okolice skały, ale całość jest właściwie nie pilnowana! O, święta Zyto!

\* \* \*

Hugon przewidział wszystko dokładnie. Po załoŝeniu ładunku wybuchowego wybrał

najbezpieczniejsze miejsce w ostatniej z toalet. W mundur zaopatrzył się wcześniej, zdzierając go z młodego gwardzisty, którego udusił, gdy ten załatwiał potrzebę fizjologiczną. Potem czekał, czy przemycony plastik nie zawiódł. Niski pawilon został nieomal przełamany na pół, a gromady rannych i przeraŝonych funkcjonariuszy i rencistów rozpiezchły się wokół. Mirrę poprzez rozwaloną ścianę łazienki wy dostał się na Oŝmiokątny Dziedziniec, stąd poszedł dalej. Duŝo wcześniej nauczył się planu całego kompleksu. Bałagan mu sprzyjał. Nie zatrzymany przez nikogo (zresztą, kto miał głowę do sprawdzenia młodego człowieka w oficerskim mundurze), przedostał się aŝ do Wieŝy Sprawiedliwości. Dalsze przejście szybem wentylacyjnym na odpowiedni poziom nie sprawiło trudności.

Resztę zrobili razem z Siódemką. Wystarczyło parę ciosów i zaskoczeni funkcjonariusze ani zipnęli. Ketes sam zerwał się z łóŝka. Zaaplikowane mu zastrzyki, dzięki Siódemce, nie były ani tak groźne,

ani w pełni oszalał. Czas naglił. Albin wziął kitel i identyfikator jednego z martwych. Potem trzeba było tylko ogłuszyć i trochę skaleczyć Siódmkę. Gwidon Res uważał, że nie czas odwoływać swego najlepszego agenta. Mirre był zdania, że pozostawienie go jest ryzykowne, bo Siódmka jest spalony, ale wykonał rozkaz.

Pozostawał odwrót. Bez większej trudności obaj włączyli się w ekipę odgruzowującą teren pawilonu. Co chwila z wyciem nadjeżdżały karetki. Nie kontrolowano wyjeżdżających. I tak na sygnale - jako lekarz VII Departamentu i konwojent - wydostali się samochodem pełnym jęczących rannych. Przy Centralnym Szpitalu Klinicznym wysiedli. W sąsiedniej uliczce czekał zaparkowany samochód. Mirre uruchomił go gładko. Już w drodze pozbyli się kitla i munduru. Pierwszy etap planu został zrealizowany doskonale.

\* \* \*

Ze stu możliwych wyjść z Parku Narodowego „Ocelot” wybrał sto pierwsze. Około dziesięciu kilometrów od Zakutej Pały przepływa bowiem Kamienica, rzeka Śywicielka, wodna magistrala królestwa. Gdyby załoga krążącego na znacznej wysokości samolotu wczesnego ostrzegania nie skoncentrowała całej uwagi na rejonie Skały 711, a trochę więcej czasu poświęcała rzece, zapewne zwróciłyby uwagę, że jedna z płynących pod prąd barek zeszła z toru i przybiła na moment do starego, nie używanego pomostu. Po chwili odbiła znowu, unosząc uspionego zastrzykiem Regenta i grupkę jego porywaczy. Elektryczny wózek ukryto i zamaskowano w jakimś wykrocie. Barka natomiast przyjęła najmniej prawdopodobny dla uciekinierów kurs. Na Regentowo. Zresztą nie płynęła długo. Po półgodzinie zawinęła do małej jachtowej przystani na peryferiach, aby pozostawić tam swój drogocenny Śwywy ładunek. Nie trzeba dodawać, że barkę przyprowadził Dawid Jang. Potem grupa „Ocelota” odmeldowała się.

Bojownicy mieli zapaść w melinach i czekać na dalsze rozkazy. Sam „Ocelot” i Jang przewieźli uspionego władcę do lepszej kryjówki, była nią nieduża, wolno stojąca willa niedaleko Centrum.

Wymagało to jeszcze wykorzystania towarowej lory i samochodu osobowego, ale wszystko odbyło się gładko. Dwie godziny po brawurowym porwaniu Roderyk znajdował się w mrocznym, doskonale zabezpieczonym baraku w podziemiach. Natomiast rządowa obława na terrorystów, prowadzona wokół i na terenie Parku Narodowego, meldowała o fiasku.

Zwierciadło Czasów, Hegemon Pokoju, Pan Amiru, Wielki Książę Nordlandzki, Książę Montanijski, Merański, Palatyn Recki, zwierzchnik Irosu i protektor Latunii, praprawnuk Redeusa Wielkiego i Defensor Pamięci Św. Limeryka był w ręku porywaczy.

\* \* \*

Roderyk obudził się tuż przed zmierzchem. Wydawał się znacznie spokojniejszy.

Zapewne doszedł do wniosku, że nie grozi mu natychmiastowa egzekucja, że jest kartą przetargową, zakładnikiem. Obserwując uważnie czwórkę porywaczy (do grupki dołączył

już Mirre z Ketesem), którym dość skutecznie udało się zmylić pogonię, wykluczył

najgroźniejszą ewentualność. Zamach nie był dziełem Śadnego z jego konkurentów do władzy.

Ci pozbyliby się go od razu.

- Jak się pan czuje, Ekscelencjo? - zagadnął go Mirre.

- A pan? - odpowiedział więzień.

- Najjaśniejszy Pan jest w dobrym humorze, to cieszy. Jeśli będzie równie skłonny do współpracy...

- Jakiej współpracy?

- Massmedialnej czy jak kto woli - publikatoryjnej. Od dziś zaczniemy nagrywać audycje na temat „cała prawda o tyrańskim systemie regenckim, jego kłamstwach, fałszach...”

- I ja miałbym być gwiazdorem w tym telehicie?

Hugon potwierdził.

- A jak nie zechcę?

- Są metody zachęty - odezwał się przerażający już swym wyglądem Ketes.

- Powiedzmy, gdybym nawet się zgodził, co chcecie tym osiągnąć?

- Prawda skruszy okowy - rzekł „Ocelot”. - Kiedy naród dowie się wszystkiego o mechanizmach ucisku, manipulacji, anatomii kłamstwa i zbrodniach pańskiego panowania, nikt go nie powstrzyma. Zrzuci jarzmo!

- Naprawdę?

- Zresztą, być może wcześniej pańscy ministrowie okażą się bardziej skorzy do współpracy. - Mirrę wyciągnął tekst ultimatum. - Wysłaliśmy im taki liścik: *Mamy Regenta i dajemy wam dwadzieś cztery godziny na otwarcie więzień, zniszczenie elektronicznych archiwów i uznanie praw ludu, inaczej Roderyk zacznie mówić ...*

- Aha. I liczyście na odpowiedź?

- Nie mają wyjścia. Zresztą, niech nie odpowiadają. Pańskie rewelacje za pomocą przychylnych nam radiostacji i programów wynajętych z Sieci Satelitarnej uderzą niczym fala powybuchowa...

- Hugonie - przerywa nagle Dawid Jang - jest dwudziesta, pora „Niusów”. Może już coś powiedzą?

- Słusznie, włączcie ten turystyczny telewizorek.

Pojawia się Wirujący Centaur i słychać przenikliwy sygnał Wiadomości. Potem ekran wypełnia skupiona twarz ciemno odzianego spikera.

- Chwała niech będzie świętemu Limerykowi - zaczyna wolno, z namaszczeniem, z jakim wygłasza się wyłącznie informacje najwyższej wagi. - Niniejszym informuje się, że dzięki Najwyższej Opatrzności, kierowana najgłębszym objawieniem Wielka Tajna Rada Królestwa postanowiła przychylić się do prośby Roderyka II i zwolniła go z funkcji dziedzicznego Regenta Królestwa Amirandy. Wielka Tajna Rada Królestwa przekazała tę zaszczytną funkcję wybrańcowi Najwyższego, światłemu uczniowi świętej Zyty, Reginaldowi I, z młodszej linii Najświętszej Dynastii.

Wielka Tajna Rada, działając z Inspiracji Sił Najwyższych, postanawia niezwłocznie ujawnić całą prawdę o panowaniu Roderyka, który nadużywał swego stanowiska do szerzenia terroru i bezprawia. Uzurpując sobie boskie pełnomocnictwa, których w istocie nie posiadał, przez dwadzieścia cztery lata rządził naszym pięknym trapezoidalnym państwem, doprowadzając je do obecnej ruiny. Jest możliwe, że Roderyk, eks-Regent, który zbiegł z dworu, zechce jeszcze bruździć i przeszkadzać wielkiemu dziełu naprawy, ale czyś znajdzie się choć jeden obywatel, który go posłucha? Każda dłoń i każdy rozum potrzebny jest w dziele odbudowy i przebudowy naszej nadbudowy. Mamy wszak niezmiernie bogactwa, zdolną młodzież, świetnych, wypróbowanych ministrów z Generałem Nadliktorem na czele. Dziś, gdy uroczycie sami znieśliśmy tyranię i nawiązujemy do najszczytniejszych kart, na jakie wspięła się nasza absolutna monarchia, w czasach, gdy nie kaziły jej pseudodemokratyczne frazesy, trzeba po prostu zawierzyć Reginaldowi I, który łączy wdzięk młodości z dojrzałym doświadczeniem, wiedzę z energią i bezkompromisowość z poczuciem taktu, i wziąć się intensywniej do pracy.

Albowiem nie będziemy dłużej tolerować dotychczasowego bezhołowania, chaosu i anarchii.

Regent odszedł, niech żyje Regent!

Mirre potoczył wzrokiem po obecnych. Miny wszystkich wydłużyły się.

- Cholera - warknął „Ocelot”. - Reginald ma wszystkie wady tego typu i dodatkowo jest jeszcze patologicznym sadystą bez poczucia humoru.

Regent tylko zachichotał.

- Ale nasze rewelacje - wybąkał Jang - kiedy polecą w eter...

- Jakie rewelacje! - zawołał Mirre. - Teraz oni nas uprzedzą, powiedzą o nieprawościach i zbrodniach Roderyka dużo więcej. Spuszczą parę z kotła, ale władzy nie popuszczą. Byliśmy durniami sądząc, że ruszywszy człowieka podważamy system.

- Biedny pan Gwidon - westchnął Ketes.

I zapadła cisza.

- Zaraz, zaraz - powiedział nieoczekiwanie Regent - coście tak pospuszczali nosy na kwintę?! Przecież jeszcze nie wszystko stracone.

- Jak to? - poderwali się wszyscy.

- Macie z pewnością jedną szansę, którą tak świetni fachowcy jak wy na pewno potrafią wykorzystać. Nie powinno wam to sprawić kłopotu.

- Co mianowicie?

- Przywrócenie mi władzy. W interesie naszego kraju. Przecież sami zauważyliście, że to będzie mniejsze zło.

\* \* \*

- I tak by to wyglądało. - Szef Wywiadu Rurytanii zawiesił głos i spojrzął na prezydenckiego Doradcę i Dowódcę Sił Natychmiastowego Uśycia. - Nie udało się. Po otrzymaniu tego raportu Gwidon Res zmarł na serce. Jego majątek ma być w całości przeznaczony na Fundację Emigracyjną...

- Czy nie powinniśmy się w to wmieszać? - Doradca uniósł się z fotela. - Skoro eks-Regent znajduje się nadal w rękach spiskowców, moglibyśmy to zdyskontować. Możeście rzeczywiście stworzyć ruch na rzecz przywrócenia Roderyka, rozkręcić wojnę domową, pobić Reginalda i tuż przed przejęciem władzy ukręcić kark Roderykowi. No, a potem republika, reformy i tak dalej...

Szef milczy przez chwilę. Myślimi jest wciąż przy człowieku, który dostarczył mu ten zapis, przy załamany starym wilku morskim o nazwisku Zenos. Przekonanym, co gorsza, że to jego praca dla Rurytanii pokrzyżowała plany Resa. Cóż, zawsze są jakieś koszty.

- A ja - odzywa się Generał - nie mogę pojąć, kto dopuścił, że następcą został ten kretyń Reginald? Nie umiarkowany Roland, nie młodociany, ale chyba światlejszy Remi...

Przecież jeśli dotąd Amiranda pozostawała w tyle za resztą Z-2 o sto lat, teraz cofa się o dwieście.

- A może to lepiej - mówi Szef Wywiadu - może nowa fala obłąkania i zbrodni odegra rolę katharsis, może potrzeba jeszcze większego upadku i znieprawienia, żeby Amiranda ocknęła się, powstała, odrodziła... Zwycięstwo Mirre... Ktoś zaręczy, czy zmiany nie byłyby tylko połowiczne... A werdykt i tak wyda historia.

Doradca spoglądał spod oka na szpakowatego Arcyszpiega: Co on chce przez to powiedzieć? Ze swoich przecieków wie, że główną rolę w nominacji Regenta odegrał Nadliktor wsparty przez swego Szefa VII Departamentu Siódemkę. Ale przecież Siódemka w świetle raportu...

Zamyśla się jeszcze głębiej. Za oknami przestaje padać. Kropelki deszczu drżą na pajęczynie, a nad Rurytania Avenue znów pojawia się wielkie alternatywne słońce.

**ANTYCHRYST WIECZNIE ŚYWY**

śywiczny zapach i dzwony w oddali...

śywiczny zapach...



Aleksander uniósł głowę. Zdało mu się, że już kiedyś musiał tu być, że nagle przebudził się ze snu długiego, ciemnego. Popatrzył z pewnym zaskoczeniem na kolumny strzeliste, złocenia, okno otwarte na oścież ku zachodzącemu niebu. Nie, z pewnością nigdy tu nie mógł przebywać, a jednak...

Wyszedł do ogrodu. Czuł, jak po każdym kroku odchodzi go owo koszmarne zmęczenie, skumulowane napięcie ostatnich tygodni, miesięcy. Pierwszy weekend. Pierwszy naprawdę wolny weekend. Może właśnie dlatego wybrał na miejsce odpoczynku tę od ponad trzydziestu lat nie użytkowaną rezydencję, której chyba przez przeoczenie nie przekazano na Słobek czy Dom Pracy Twórczej.

- Czy mam towarzyszyć Waszej Ekszelencji? - Blondynek w mundurze z dystynkcjami lejtnanta poderwał się z ogrodowego leśaka.

- Nie, Anton, dziękuję. I błagam, nie używaj tej idiotycznej formuły.

- Więc jak mam mówić. Towarzyszu Prezydencie?

- A jak mówiłeś do mnie przed paru tygodniami?

- Panie inżynierze, panie Aleksandrze...

- I tak niech zostanie. Ty też zostań. Chcę się przespacerować. Zmęczony jestem...

Na dobrą sprawę od chwili wyborów nie miał czasu na zastanowienie się nad swoją sytuacją. W końcu tak nierealną, że śmieszna. Może w momencie, gdy na ręce Patriarchy -

jeszcze cztery lata wcześniej zesłanego na dno jakiejś kopalni - składał przysięgę jako pierwszy Prezydent Zjednoczonej Demokratycznej Federacji Erbańskiej, przemknęło mu zdawkowe: „Co ja tu właściwie robię?”. Później już nie miał czasu. A poza tym Anastazja. Anastazja bardzo nie lubiła, gdy się zbyt długo zastanawiał. Cud, że teraz - zajęta obwołaniem delegacji Kobiet Rurytańskich - dała mu trochę wolnego.

Nieoczekiwanie skończyła się alejka, widać wytyczona świeżo w do niedawna zapuszczonym ogrodzie. Dalej były jakieś skałki, cyprysy oraz kuta, ostro zakończona palisada. Dawniej, w czasach Tyranii, rozciągały się tu pola minowe i pas zaoranej ziemi z wieżyczkami straży. Teraz od wielu lat pieniała się zdziczała roślinność. Jakaś przemożna siła doprowadziła Prezydenta aż do ogrodzenia. Uśmiechnął się dotykając śelaza. Nie zdążyli pomalować. Metal przesarty rdzą kruszył się w rękę. Jak imperium. Jak globalne mocarstwo Erbanii dziś, po bezprzykładnej rozsypce, ograniczone jedynie do ziem rodzimych.

Stracili nawet Amirandę. A właściwie to przecież zryw w Amirandzie sprzed 12 lat obnażył kruchość systemu. Choć złamany, zapoczątkował szybki demontaż całej budowli.

Nieodwracalny? Aleksander wierzył, że tak.

Nie był rewolucjonistą. Przeciwnie, tylko przypadek i osobista sympatia ostatniego regenta

doprowadziły go najpierw do centrum władzy, później - w pierwszych wolnych wyborach po nieudanym puczu wojskowym - oddały mu w ręce to, co zostało z masy spadkowej.

- Panie Aleksandrze, panie Aleksandrze...

Szept był przenikliwy, ostry. Prezydent uniósł głowę. Metr za palisadą zobaczył zjawę...

Może za mocno powiedziane! Siwobrodego starca w połatanym, kiedyś bardzo wykwintnym garniturze. Twarz miał przywiedłą, wargi bezzębne i tylko w oczach obwiedzionych krwawymi obwódkami błyskało światło, dziwne, przywodzące na myśl gwiazdy wpadłe do studni.

- Pan mówi do mnie? - zapytał Aleksander.

- Proszę wybaczyć natarczywość, ale nie będę zwracał głowy Ekszelencji jakimiś suplikami - rzekł starzec.

- Skąd się pan tu wziął?

- Dobrze znam teren. A drogę B-6 szczególnie. Z mojej willi koło Czarnego Wąwozu było tu nie dalej niż kilometr.

- Z pańskiej willi? - Na moment przemknęło Aleksandrowi, że ma do czynienia z szaleńcem.

- Jeśli tylko przejdziemy dwadzieścia kroków w dół, natrafimy na furtkę. Jest zamknięta na łańcuch i kłódkę, ale mam klucz, wszystko jest naoliwione. Od lat nikogo tu nie było, a na terenie rezydencji jest tyle ziół. Mówią, że po każdej zbrodni wyrastał nowy kwiat.

Prezydent był tak zaskoczony, że nie przyszło mu nawet do głowy, że starzec może być prowokatorem lub zamachowcem. Nie zareagował na otwarcie furtki.

- Chcę panu powiedzieć coś, co ma niezmierną wagę – mruknął staruch. - Ach, nie przedstawiłem się, nazywam się Balder. Abraham M. Balder.

- Jak to, pan...?

- Tak, ja. „Stupajka Akademii Nauk”, „Szarlatan na czele Arcy-konsylium”, tak mnie najchętniej nazywano...

- Powiem szczerze, osobiście przypuszczałem, że pan...

- ...dawno nie żyje? I dzięki Najwyższemu. Czasami sam się temu dziwię. Może jakiś moralista powie: zło konserwuje. Mam 99 lat.

- Nie do wiary. - Aleksander zastanawiał się, czy jednak nie wezwać Antona.

- Musiałem się z panem spotkać. Jest pan pierwszym konstytucyjnie obranym przywódcą naszego kraju i zapewne nie muszę panu tłumaczyć, że władza to przede wszystkim dostęp do informacji i

swobodnie nimi dysponowanie. Zwłaszcza tajemnicami stanu...

Aleksander uśmiechnął się. Przemknęło mu wspomnienie pierwszej konferencji z ustępującymi szefami Wywiadu i Policji Wewnętrznej.

Szok związany z omnipotencją małej, czarnej teczki... Czymś jeszcze mógł go zaskoczyć ów starowina?

- Naprawdę nie jestem wariatem. Nie jestem też mistykiem, choć wyznam panu, że to naprawdę niezwykła zbieżność dat. Pana elekcja przypadła dokładnie w dzień śmierci tamtego diabła...

Dzwony, znów pomyślał o dzwonach. Tak, pamiętał ów dzień, kiedy rozdzwoniły się dzwony dawno zamkniętych kościołów, wieszcząc śmierć tyrana. Pamiętał

twarze nauczycieli, ściągnięte surowe maski belfrów i rozegzaltowane, zażawione policzki wychowawczynie powtarzającej w kółko: „On nie umarł, on nigdy nie umrze!”. Tylko na kamiennej twarzy starego woźnego (to wówczas Olka zaskoczyło) lśniło coś na kształt mściwej satysfakcji.

- Tam skołał - Balder wskazał laską pawilon na górze. - Konał jak pies na oczach swych niedoszłych ofiar... A przecież tu przed śmiercią na chwilę odzyskał przytomność. Nie mógł mówić, ale wydrapał na podanej mu kartce parę liter: „WIECZN...

- Wieczn...!?

- Wieczność! Po raz ostatni chciał przestraszyć swych hierarchów. Niestety, chyba nikt nie zrozumiał przestrogi. Z wyjątkiem mnie.

- Pan wtedy tu był?

- Przybyłem później. Po jego śmierci powołano mnie do komisji sekcyjnej...

Podpisałem wszystko: wylew, niewydolność organów we wewnętrznych... Śladnych śladów toksyn...

- Wiem, że go otruto, widziałem raport...

- To dziś już nieważne. Ja przyszedłem tu z o wiele istotniejszą informacją, Panie Prezydencie. Ten Antychryst ciągle żyje!

Aleksander dał krok do tyłu. Zmęczyła go rozmowa z wariatem. Poza tym zaczynało się robić chłodno. Ale starzec zastąpił mu drogę.

- Nie bredzę - zawołał z mocą. - On żyje! Nadchodzi!

- Musiałby mieć ze sto dziesięć lat - wykrztusił Prezydent.

- Znacznie mniej.

- Nie powie pan, że dokonano hibernacji, czterdzieści lat temu nie śniło się o takich przedsięwzięciach.

Balder umiał opowiadać. Parę zdań wystarczyło, aby wywołać obraz tamtej epoki.

Prezydentowi wydawało się nawet, że w gęstniejącym cieniu znów zamajaczyła korpulentna sylwetka w białym, letnim mundurze, brwi krzaczaste. Ba, rozszedł się nawet zapach cygar (przemyt ze świata Nr 1)... Tyran był zafascynowany w tamtą rzeczywistość. Tu, w Erbanii, stanowił zadziwiającą syntezę równoległych dyktatorów - Mussoliniego, Hitlera, Stalina - choć pochlebcy dostarczający materiałów o sukcesach „kolegów” starannie eliminowali opisy okoliczności ich śmierci. Jarosz jak Adolf, kobieciarz jak Benito. Wobec najbliższych lubił

kopiować maniery Długaszewskiego. Nakręcił patefon i obserwował, jak Wielki Admirał płasza z Kanclerzem, kazał śpiewać na głosy ministrom gospodarki, rolnictwa lub spraw zagranicznych ulubioną pieśń tamtego dyktatora: *Gdzieś eś jest, o Suliko...*

- A wie, pan, o czym najchętniej rozmawiał ze mną? O nieśmiertelności. Początkowo tylko teoretycznie. Później, w miarę jak się starzał, jak wysyłał do piachu kolejne grupy współpracowników i dziesiątkował narody, lęk przed śmiercią urósł do obsesji. Gdzieś na sześćdziesiąte urodziny zafundował sobie Instytut życia, który miał zająć się jednym jedynym tematem - zapewnieniem nieśmiertelności tyrana. Zgromadzono w nim najlepszych naukowców z kraju, kilku ściągnięto z zagranicy. Inżynieria genowa, klonowanie, to wszystko było wprawdzie w tamtych czasach bardziej fantastyką niż przedmiotem badań, tu postanowiono fantazję wprowadzić w czyn. Oczywiście, przedsięwzięcie zorganizowano absolutnie tajnie. Nie ma na jego temat dokumentów ani danych. Nie prześlął nikt z realizatorów. Z wyjątkiem mnie... Chyba po prostu nie zdążyli. A szefa Akademii Nauk trzeba było usunąć w miarę finezyjnie...

Zakaszła i wskazała laską dolinę.

- Jakby dobrze poszperać w Czarnym Wąwozie, można by znaleźć kawałki betonu z wysadzonych laboratoriów, a w starych sztolniach z pewnością zachowały się szkielety.

Nie ma pan pojęcia, ile kobiet zmarło przy tych eksperymentach. A... chyba rok przed śmiercią Antychrysta udało się.

- Udało?

- Pewna niewiasta powiła dokładną replikę tyrana. Testy potwierdzały genetyczną zgodność. Dla noworodka znaleziono rodzinę zastępczą. Instytut zlikwidowano. Ci, co brali udział w akcji, zniknęli. Podobnie jak ci, co ich likwidowali. Ostatni z tych, którzy wiedzieli... Cóż, szef ochrony osobistej został wyeliminowany na parę dni przed śmiercią tyrana. Głównego zwierzchnika Bezpieczeństwa rozstrzelali następcy. A ja...? Choć wiedziałem o eksperymencie, nie miałem pojęcia, gdzie szukać tego dziecka. Zresztą, wówczas nie przychodziło mi to do głowy. Marzyłem o jednym - chciałem przeżyć, a czułem, że zbliża się moja pora...

Umilkł. Chwilę oddychał ciężko. Aleksander zamyślił się.

- Twierdzi pan, że ta kopia Syje...

- Ma ponad czterdziestkę.

- I ma świadomość...?

- Tego nie wiem. Ale z pewnością zachowała osobowość oryginału: instynkty, popęd władzy, geniusz organizacyjny, ambicje i pociąg do zbrodni. A jeśli jeszcze pewnego dnia dowie się, kim jest?

- Ale skoro nie wie?

- Przerażające jest to, że jest bardzo blisko. Antychryst Syje! - Balder uniósł laskę do góry i zdawał się wygrażać niebu.

- Cóż z tego? Jeśli nawet Syje, jego koncepcje nie sprawdziły się, zostały zdemaskowane.

- A ktoś zaręczy, że on wystąpi pod starym sztandarem? Nigdy nie miał żadnych koncepcji poza władzą i snem o imperium. I powiem panu o tej kopii najważniejszej, ona...

- Wie pan, kto nią jest?

- Odszukałem zatarte ślady, ona...

Potok słów zamienił się naraz w bełkot. Oczy nieomal wyszły z orbit. Osunął się na ziemię wstrząsany drgawkami.

- Co panu? Profesorze! Czy to serce? - Aleksander klęknął obok Baldera.

Z zaciśniętych ust wypadały jeszcze pojedyncze słowa bez związku:

- Uważaj... pociąg... ten związek... zgubi...

Prezydent nacisnął indywidualny sygnalizator. Anton i lekarz nadbiegli po trzydziestu sekundach.

Starzec nie był już od dwudziestu pięciu.

\* \* \*

Jak było do przewidzenia, Anastazja wykazywała dużo sceptycyzmu. Opowieść starca brzmiała dla niej zbyt nierealnie. Choć znajdowały się tam punkty zastanawiające.

Przy zmarłym staruchu nie znaleziono żadnych dokumentów. Policji nie udało się ustalić jego tożsamości. Balder, jak głosiły encyklopedie, nie był już od 14 lat. Zginął w pożarze Domu Zasłużonych Funkcjonariuszy Państwowych. Wszelako dokładne sprawdzenie akt przyniosło informacje, że wielu ciał, w tym byłego prezesa Akademii Nauk, nie zidentyfikowano.

Aleksander odwiedził Czarny Wąwóz, znalazł resztki betonowych fundamentów.

Nikt jednak nie potrafił mu powiedzieć, co tam ongiś się wznosiło. W czasach tyranii teren pozostawał w administracji Sektora Bezpieczeństwa. Nie opodał parowu Prezydent odnalazł starą willę Baldera - od lat mieścił się w niej sierociniec.

Początkowo był zdecydowany nie zajmować się tą sprawą. BieŚące kierowanie ogromnym, wstrząsanym konwulsjami kryzysu państwem pochłaniało go aŚ nadto. Ale czy mógł zlekcewaŚyc sygnał?

Niemal kaŚdy dzień bulwersował społeczeństwo nowymi dowodami zbrodni sprzed lat. Odnajdywano całe zagony czaszek, kilogramy nie dość starannie zniszczonych akt, zaczęli mówić świadkowie.

Równocześnie wśród ludu, szczególnie mieszkańców zaniedbanych prowincji, utrzymywało się przekonanie, Śe tyran powróci, zaprowadzi porządek, przywróci wielkość Erbanii.

- Słyszę jego krok! - wołała domorośła wizjonerka na seansie w podrzędnym teatrze.

- Jestem z wami - stuknął niejeden wirujący stolik.

Aleksander nie potrafił zapomnieć wyrazu oczu starca. Wreszcie zlecił Antonowi przeprowadzenie śledztwa. Drobiazgowe badania nie dowiodły wprawdzie istnienia, ale nie wykluczyły Instytutu śycia. Termin narodzin repliki i likwidacji obiektu w Czarnym Wąwozie doskonale pasował do wielkiej ostatniej czystki Antychrysta, która objęła koła naukowe, szczególnie medyczne.

Jeśli jednak kopia Śyła, gdzie naleŚało jej szukać?

Anastazja była przeciwna poszukiwaniom. Ta energiczna kobieta, o której złośliwcy często mówili „imperatorowa”, uwaŚała śledztwo za stratę czasu. Nie mogła jednak lekcewaŚyc psychicznego stanu męŚa, który z jej niemałym udziałem w ciągu kilku lat z prowincjonalnego działacza gospodarczego przeobraził się w Spadkobiercę Mocarstwa.

CzyŚ sama wolna była od przeczuć, snów, przywidzeń? Nieraz z krzykiem zrywała się w nocy i drŚąc przytulała do męŚa. A lęk i drŚenie przechodziły dopiero potem, gdy zaczęli się kochać.

MoŚe groza kryła się w murach tych starych rezydencji? Od czasu, kiedy przenieśli się na Wzgórze SamodzierŚców, Aleksander zauwaŚył, Śe oboje mają bardziej nerwowe sny. Jego nękały obrazy własnej śmierci. Anastazja po przebudzeniu nie pamiętała wprawdzie swych majaków, ale często szeptała przez zaciśnięte usta: krew! krew! krew! Albo: zabić ich wszystkich, zabić!

Tymczasem z pomocą Antona i prywatnego komputera Prezydent sporządził wstępną listę wybijających się politycznie męŚczyzn w wieku 41 lat o cechach fizycznych i psychicznych zbliŚonych do dyktatora. Początkowo lista była bardzo obszerna. Czas przełomu sprzyjał

kadrowej erupcji - cała Erbania pełna była charyzmatycznych przywódców, natchnionych

reformatorów, energicznych działaczy nowo powstających partii...

Dzięki zawężeniu kryteriów listę ograniczono do pięćdziesięciu nazwisk, później do dwudziestu, wreszcie pięciu...

Tak, któryś z nich mógł być... Na monitorze zdjęcia podejrzanych uzupełnione przez brwi, wąsy, itp. sprawiały wrażenie autentycznych fotografii tyrana. Kilkakrotnie Aleksandra przeszedł

dreszcz. Szczególnie gdy na monitorze pojawiła się „twarz nr 5”. Oblicze 41-letniego trybuna w kolejarskim mundurze.

\* \* \*

Gęsty tłum maszynistów, techników, pracowników zaplecza i niższych urzędników wypełniał hale lokomotywowni nr 2. Twarze były pełne ognia i śaru. A czuło się, że katalizatorem jest niewysoki mężczyzna przemawiający z elektrowozu.

- Tak, przyjaciele! - wołał. - Wiecie, że was nie zawiodę! Szyłem tu z wami, kiedy byłem tylko szeregowym pracownikiem zakładu remontowego. Wasza wola sprawiła, że stanąłem na czele strajku, który ogarnął nasz węzeł. A potem rozszerzył się aortami komunikacyjnymi na cały nasz wielki kraj. Wymusiliśmy wolne wybory. Przyspieszyliśmy parowóz dziejów. I jeśli dziś wzywamy do strajku ostrzegawczego, to jest to sygnał.

Ważny sygnał, że nie wszystko w naszej ojczyźnie idzie jak trzeba. że rewolucja straciła impet.

Aleksander wyłączył telewizor. - On?

Wyświetlił na monitorze jeszcze twarz Andrzeja. Zadał danych.

Rządki pojawiających się liter mówiły wiele: „Andrzej... lat 41. Syn robotnicy rolnej zmarłej 24 lata temu. Ojciec nieznany...”

Fotografia matki. Pospolite oblicze zniszczonej syciem kobiety. śadnego podobieństwa do syna. Jakieś odznaczenie za wzorową pracę. Na krótko przed urodzeniem syna zmienia pracę. Przeniesiona do wzorowej wspólnoty... Adnotacja: *Ś łobek przy tym gospodarstwie najbardziej pokazowy w skali kraju.*

Prezydent spogląda na Antona.

- Co o nim myślisz?

- Gdybym musiał obstawiać, dałbym mu sześćdziesiąt procent, pozostałym razem czterdzieści.

- Tak, coś w nim jest.

- Ma charyzmę, a zarazem jest bardzo giętki. W niewiarygodny sposób wyeliminował

swoich rywali i obecnie błyszczy jak samotna gwiazda pierwszej wielkości na związkowym firmamencie. Jeśli dojdzie do strajku generalnego, może zagrozić nawet panu...

- Nie chodzi mi o takie zagrożenie. Prezydenci przychodzą i odchodzą. Natomiast strach pomyśleć, co by było, gdyby się okazało, że on to ON.

Lejtnant milczy. Aleksander po raz kolejny konstataje, jak bardzo ceni tego chłopaka, jego chłodną inteligencję, szybkość reakcji i bezgraniczne oddanie. Choć z drugiej strony zdaje sobie sprawę, że wewnątrz sekretarza pozostaje nieprzeniknione.

- Zorganizujesz mi spotkanie z tym trybunem? Incognito!

- Postaram się.

\* \* \*

Za oknami salonki przesuwa się nieskończenie szary i beznadziejnie płaski pejzaż centralnej Erbanii. Andrzej oparł się ciężko o stół i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówi głucho.

- Ja też, ale wszystkie fakty wskazują na pana.

Przywódca związkowy podnosi głowę, na jego szczupłej twarzy odbija się niepokój.

- Co ze mną chcecie zrobić?

- Nic.

- Jak to nic?

Aleksander uśmiecha się i nalewa dwa kieliszki wódki:

- Całe życie walczyłem z przemocą. Brzydziłem się nią. Walkę z metodami pały i plutonu egzekucyjnego uczyniłem hasłem mej kampanii... Prawdopodobnie ze względów pragmatycznych powinienem pana zabić. A już w sądnym wypadku nie informować o pańskim pochodzeniu. Chyba że pan wiedział wcześniej...?

- Nie wiedziałem.

- Znam doskonale pańską sylwetkę psychiczną. Bezwzględność idzie w parze z ostrością, a sędzia, władzy z instynktem samozachowawczym. Dlatego dam panu szansę wycofania się.

- Jak to?

- Znalezienie pretekstu należy do pana. Sprawy osobiste, zdrowotne, otrzyma pan wysoko płatne



stanowisko, ale przestanie się bawić w politykę. Na zawsze.

- A jeśli nie przestanę?

„Muszę być twardy” - przemknęło przez mózg Aleksandrowi. Głośno rzekł:

- No cóż, chcemy być praworządni, lecz nie słabi. I nawet realizując rządy prawa, nie zawahamy się wykorzystać wszystkich możliwości, jakie stwarzają nasze kodeksy. Jest w naszym narodzie wielkie wołanie o sprawiedliwość. Odkrywane i ujawniane coraz to nowe ofiary krzyczą o zadośćuczynienie. A dla zbrodni ludobójstwa nie

ma

przedawnienia.

Wyobraża

sobie

pan,

panie

Andrzeju,

taki

proces.

Trybunał Narodu i sąd za wszystkie czystki i deportacje, skrytobójstwa i egzekucje.

Gorzki uśmiech pojawia się na wargach kolejarza.

- A zatem w państwie prawa ma obowiązywać zasada, że grzechy ojców...

- Tyran nie był pańskim ojcem. Pan jest nim. Powielonym kodem genetycznym, kością z kości, komórką z komórki. Niemal że odmroźnięcem po czterdziestoletniej hibernacji.

- Trudno byłoby wam zakończyć taki proces.

- Pewnie równie trudno, jak ustrzec oskarżonego przed samosądem tłumów. -

Aleksander wstydzi się tych słów, ale nie ma wyboru. Wie, że gra toczy się nie o dwa jednostkowe losy, lecz o całą Erbanię. - A więc zrezygnuje pan?

Andrzej jest bardzo blady, a równocześnie niesłychanie spokojny.

- Nie zostawia mi pan wyboru... tylko, czy bierze pan pod uwagę, co się może zdarzyć, gdybym nie

był tym, za kogo mnie pan uważa...?

\* \* \*

*Szanowny Panie Prezydencie! Właściwie powinienem może napisać : drogi Aleksandrze.*

*Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Udowadnianie niewinności ci to tak jak dowodzenie, że się nie jest wielbłądem.*

*Oczywiście wiem, że nie mogę być tamtym Antychrystem. Cała moja psychika podpowiada mi, że to niemożliwe. Owszem, kocham popularność , ale kocham również mój naród. I wierzę w demokrację . Cenię też pana... Ale gdybym to wszystko powiedział wtedy w pociągu, mogłoby to jedynie zabrzmieć jako zapewnienie bez pokrycia, taktyka mająca na celu ukrycie właściwych celów, zmylenie przeciwnika.*

*W końcu ewentualność ci już przegrałem.*

*I dlatego zrobię to, co musi Cię przekonać . Pomogę Tobie i Krajowi. Sprawi, że kopii Tyrana poszukasz gdzie indziej, może i idąca zupełnie innym torem. Długo analizowałem słowa Baldera.*

*„Uważaj... pociąg... ten związek... zgubi...” Wiem, że jednocześnie nie wskazują na kolejarza.*

*przewodnicę związku zawodowego. Ale czy tylko?*

*Kocham życie. Ale najwyraźniej bez wzajemności ci.*

*Boję się , ale bardziej o sprawę niż o swój cielesny pokrowiec.*

*Za chwilę skieruję do ust krótką lufę mojego parabellum. Czymże jest wieczność ? Niech Bóg cię strzeże , Aleksandrze...*

- Dziękuję, Anton! - Anastazja systematycznie drze przeczytany list na drobne kawałki, po czym wrzuca do kominka.

Przez chwilę wpatruje się w płaszące języki ognia...

- Oficjalny komunikat po śmierci Trybuna będzie mówił o załamaniu nerwowym wskutek odkrycia nieuleczalnej choroby - informuje sekretarz. - Ale nie wiem, jak tę wiadomość przyjmie Pan Prezydent. Ostatnio nie jest w dobrym stanie. Zaczyna powątpiewać, czy znalazł właściwą kopię. Chce spotkać z następnymi podejrzanymi na swej liście. Nie wiem, czy nie powinniśmy skłonić go do spotkania z lekarzem.

Anastazja potrząsa głową. W lekkim peniarze wygląda rzeczywiście jak imperatorowa Erbanii.

- Jeszcze nie teraz, nie teraz - powtarza. - Wiesz, jak w nieustabilizowanej sytuacji mogłaby

zaszkodzić plotka o chorobie Prezydenta, i to chorobie psychicznej. Aleksander jest po prostu przemęczony. Musimy się nim dobrze opiekować.

Sekretarz kiwa głową, siada na poręczy fotela Anastazji. Bawi się jej włosami. Sona Prezydenta przekroczyła już czterdziestkę, ale ciągle ma wspaniałą figurę i uwodzicielski wzrok.

- Pozwólmy mu bawić się w śledztwo, jeśli mu to sprawia przyjemność.

- Przecież to nie ma sensu - pokręcił głową Anton. - śaden z pierwszej dziesiątki nie może być tyranem. Nie zgadza się grupa krwi, są różnice w pigmentacji i wreszcie najważniejsze

- odciski palców. Kopia Antychrysta musiałaby mieć identyczne linie papilarne.

- Rzeczywiście.

- Niedawno udało mi się odszukać mieszkanie, pokój, który pod zmienionym nazwiskiem wynajmował Balder. Znalaziono tam trochę starzyzny: książki, fotografie. Kilka ciekawych. Szczególnie ta.

- Pokaż! - Anastazja marszczy brwi i obraca fotkę. - A co tu jest napisane? *Jeden chromosom?*

- Nic więcej. Czy jesteś przekonana, że nie powinniśmy mu o tym mówić?

Kobieta bierze młodzieńca za rękę.

- Pewnych rzeczy nie muszę ci chyba tłumaczyć. Aleksander to takie duże dziecko.

Owszem, ulubieniec narodu. Idol... Ostoja sprawiedliwości. Czasami jednak się o niego boję.

Bywa nieostrożny. Tacy jak on mogą stać się ofiarą zamachu.

Twarz Antona robi się nagle twarda i zdecydowana.

- Miejmy nadzieję, że znajdzie dość siły, aby przepchnąć przez parlament prawo o specjalnych uprawnieniach na wypadek zaburzeń. No i nominację wiceprezydenta... Dla ciebie, Anastazjo.

Rozlega się dzwoneczek. Lejtnant podrywa się na równe nogi.

- Zdaje się, że cię wzywa, znów pracuje po nocach. Wymyśla nowe prawa dla słabych i akty uszczęśliwiania dla głupich - wzdycha Anastazja.

Anton wychodzi.

„Imperatorowi” sięga po grzebień. Zanurza go w ciągle bujnych, ciemnych włosach.

Potem sięga do szkatułki - ma tu fotokopie odcisków palców tyrana. Także karteczkę, na której zanotowała ostatnie słowa profesora Baldera: *Uważaj... pociągnij... ten związek... zgubi...*

Błogosławiona wieloznaczność słów. Czyś pociąg nie może być na przykład erotyczny, a związek małżeński? Do pudełka wkłada otrzymaną przed chwilą fotografię z napisem: *Jeden chromosom.*

Swoją fotografię!

Aleś cwaniak był z Dyktatora. Sporządzając kopię - dla bezpieczeństwa, a może z ciekawości - zaśladając jednej maleńkiej zmiany genetycznej. Czy ktoś mógłby wpaść na pomysł, że w drugim wcieleniu Ojciec Narodu będzie kobietą. Tak, teraz już wszystko jasne. Wszystko, co przedtem było tylko snami pełnymi obrazów podniecającej grozy, przeczuciami, domys-

łami... teraz Anastazja jest już pewna.

Za oknem słonecznej rezydencji gęstnieje mrok. Ciemne są noce Erbanii. Może będą jeszcze ciemniejsze. Śmiejąc się jak mała dziewczynka, podbiega do lustra, zaczesuje włosy do góry, szminką na taflę rysuje wąsy, a potem nagle, nie wiadomo skąd przychodzą jej do głowy słowa dawno nie śpiewanej piosenki: *Wiosną młode serca bez miłości schną, gdzieś eś jest, o Suliko!*

## **EPILOG - DRUGA STRONA**

Drogi HSP! Drogi teoretyku światów alternatywnych. Jakże mi brak twojej ciepłej obecności, twoich połajanek i uszczypliwości na temat mego warsztatu naukowego. I jakże mi wstyd, że wówczas w hotelu nie powiedziałem ci całej prawdy. Przywłaszczyłem sobie autorstwo Amirandy, podczas gdy byłem tylko przekaźnikiem... Oczywiście, nie miałem wtedy jasności, ale czułem intuicyjnie.

Tak, profesorze. Przekaznikiem. A właściwie po pajęczarsku podłączonym podsłuchem do wielkiego strumienia wyobraźni...

Superkreator. Dla większości pozostanie jedynie samotnym starszym panem w wiecznie wytartych spodniach i rozciągniętym swetrze, panem o małej, jakby przez indiańskich szamanów uwędzonej główce i rachitycznym wąsiku w kształcie szczoteczki do zębów.

Andrzej! Człowiek, którego okradłem. Najpierw mimowolnie, potem z całym wzrastającym i pełnym bezkarności cynizmem.

Pamiętasz naszą korespondencję, HSP? Nadesłane przeze mnie kolejne rozdziały, twoje czynione na marginesach notatki i uszczypliwości? Wreszcie twe propozycje, abym przyjechał do Ciebie do Vancouver, gdzie w bungalowie nad Horse Shoe Bay mógłbym w wiecznie zielonej scenerii kontynuować pracę. Otóż nie mógłbym. Pamiętasz telefon bezkablowy, który mi podarowałaś? Wspaniałe urządzenie, a przecież wymagające co rusz całonocnego ładowania, no i stałego przebywania w pobliżu radiostacji. Moją radiostacją był Andrzej. Nie wiem, czy świadomie. Przynajmniej do pewnego czasu.

Na początku uważałem go za dziwaka. Jak wszyscy. W końcu ktoś, kto codziennie bąknąwszy tylko pod nosem „dzień dobry”, pomyka do swego pokoiku, a tam włączywszy na pełny regulator muzykę symfoniczną oddaje się nie wiadomo czemu, może uchodzić za dziwaka.

A przecież pierwsze zarysy Amirandy poczęły mi się rodzić właśnie wówczas, gdy gęste story separowały pokój Andrzeja od naszego świata, a muzyka Wagnera, Liszta czy Beethovena przebijała ścianę i dwie warstwy książek mojej biblioteki. Mieszkał sam, zawsze sam, od niepamiętnych czasów. Jeśli można wyobrazić sobie najbardziej samotnego faceta - to on nim był. Prawdopodobnie musiał obracać się wśród ludzi, gdzieś pracował, czymś się żywił... Choć ja nigdy nie widziałem go z wiktuałami, z zakupami.

Mój dom to stara kamienica na przedmieściu. Zaliczka na przyszłą dzielnicę czynszówek, która nigdy nie wyrosła. Kiedy byłem dzieckiem, dom wznosił się na całkowicie odkrytej przestrzeni, z jednej strony ciągnęły się kartofliska, z drugiej - dzikie ogródki działkowe. A on stał z bramą donikąd (nie było ogrodzonego podwórza), z lokalem sklepowym od niepamiętnych czasów, a ściślej mówiąc od sławetnej bitwy o handel, zajmowanym przez jakiś magazyn. Z lokatorami jeszcze sprzed wojny, którzy starzeli się razem z domem, umierali, rodzili się nowi. A potem zaatakowało nas miasto. Wygony pocięto na równe działki, z których część zajęły chaotycznie wznoszone wille, z drugiej strony - schludna uliczka prominentnych szeregowców, a vis-a-vis - obrzydliwy pseudopawilon handlowy. Kiedyś nawet dom otynkowano.

Lecz na zawsze pozostał dla mnie nadbudówką na mym admiralskim okręcie, moją wyspą tajemniczą...

Skąd wziął się Andrzej? Nadciągnął z wielką gromadą uciekinierów z Powstania i zajął

pokój przestrelony na wskroś pociskiem. I był, żył, nie wadząc nikomu. Kiedy go poznałem - znaczy, kiedy dziecięcym okiem począłem odróżniać swoich od obcych - ledwie przekroczył

trzydziestkę. Inna sprawa, że trzydzieści lat później wyglądał prawie tak samo... Pani Jackowska spod czwórki, zawsze doskonale poinformowana, twierdziła, że jest w Andrzeju jakaś tajemnica, skaza pogłębiająca się z latami. Mówiono o dramatycznych prześwyciach oku-pacyjnych, dziś skłaniam się ku twierdzeniu, że już we wczesnej młodości nauczył się uciekać w siebie. Przeciw stresom, szarzyźnie, niepowodzeniom tworzyć własny świat. Świat, który początkowo nie miał nazwy, był nieokreślonym azylem, wyspą najpierw bezludną, którą z czasem poczęły zasiedlać twory jego imaginacji, a stały się Amirandą.

Wielka była siła jego wyobrażeń. Tak potężna, że z czasem przekroczyła ściany i zaczęła wpływać na moje myśli. Bywałem wtedy, nie znając przyczyny, nieraz zaskakiwany swymi

„natchnieniami”. Oto siedząc w wannie łapałem myśl nową, tak doskonale ukształtowaną, dopracowaną i tak niezależną od dotychczasowego toku myśli... Albo podczas pisania zamówionego felietonu palce uderzające w maszynę nagle odmawiają posłuszeństwa i zaczynają wystukiwać jakiś całkiem zwariowany pomysł.

Tak, drogi HSP. Nie wiem, jak się to ma do twych teorii alternatywnych, światów równoległych, ale ja wiem, że Amiranda zrodziła się w umyśle jednego człowieka.

Prawdopodobnie każdy z nas nosi w sobie jakąś małą Amirandę, ale ktoś przypuszczał, że wizja

może być tak potężna.

Choć wyobcowany, pan Andrzej nie uchylał się od prac społecznych. Poproszony, pomagał pani Jackowskiej w przesunięciu szafy. Złoczył się, gdy w grę wchodziła gazyfikacja budynku, w dzień święta pań rozdawał lokatorom małe bukietki kwiatów, a w Poniedziałek Wielkanocny pokrapiał domowników za pomocą maleńkiego psikacza na wodę kolońską.

Przyjmował księdza, gdy ten zaglądał po kolędzie, choć do kościoła raczej nie uczęszczał, i nie odmawiał, gdy trzeba było pchnąć starą syrenkę mojej matki... Oczywiście wiek jest sprawą nieubłaganą, w którymś momencie przeszedł na emeryturę. I wtedy praktycznie przestał opuszczać pokój.

Tym bardziej zdumiało mnie jego zachowanie w tym roku. Pewnej nocy wpadł do mnie oświecony nieprawdopodobnie.

- Macie jakiś szlafrok, prędko...

Podał mi podomkę Alinki, która akurat wyjechała na jakiś zjazd naukowy. W sekundę potem wrócił prowadząc, a raczej wlokąc za sobą półprzytomną dziewczynę.

- Gdybym nie wrócił, zaopiekuj się nią! - krzyknął i znów zniknął w swoim pokoju.

Dziewczyna stała jak słup soli.

- Proszę, niech pani usiądzie!

Usiadła. Cała była okropnie brudna, jakby okopcona, ciemne włosy miała skołtunione i zlepione krwią lejącą się z rozciętego czoła. Mimo to zauważyłem, że jest piękna. Miała pełne, mięsiste usta, ogromne, teraz rozszerzone strachem oczy, drobny nosek, łabędzią szyję. Nie zawiązany szlafrok Alinki ukazywał posągowe ciało...

- Może chce się pani umyć, łazienka jest na lewo - rzekłem.

Skinęła głową, ale nie wiem, czy zrozumiała, natomiast swój wzrok skierowała ku szklance z mlekiem, które zwykłem zostawiać sobie po kolacji.

- Chce pani pić? Proszę. A może coś pani zje?

Rzuciła się na mleko z zachłannością osoby śmiertelnie spragnionej. Pijąc, a potem jedząc owoce, spoglądała na mnie nieufnie. Wyciągnąłem rękę. Skuliła się jak zwierzę w klatce.

- Nie bój się, jestem przyjacielem.

Niczym małe dziecko dała się zaprowadzić do łazienki, ale tam stanęła jak wryta wodząc oczyma po kafelkach, po kurkach.

- Chcesz się umyć? - Odkręciłem krany.

Przypatrywała się moim zabiegom z niemym przerażeniem. Wsunąłem rękę pod płynący strumień, a potem cofnąłem ją.

- Wo-da - powiedziała cicho dziewczyna. Głos miała lekko gardłowy, jakby cudzoziemski, ale piękny.

-

Kap

się,

ja

wyjdę

-

powiedziałem

postępując

ku

drzwiom.

Szlafrok zsunął się jej z ramion. Zobaczyłem ją całą. A zwłaszcza plecy, plecy alabastrowej Wenus posiekane do krwi razami zadanymi jakimś okrutnym narzędziem.

Wycofałem się, nic nie rozumiejąc. Byłby nasz ciapowaty pan Andrzej nie zdemaskowanym sadystą? I skąd wytrzasnął takie bóstwo? Przeszedłem się po mieszkaniu i wsłuchałem w plusk wody. Naraz dopadłem biurka. I maszyny marki Erika...

*... Tłum drgnął jak naelektryzowany i ją ł napierać na kordony zbrojnych.*

*- Czarownica, czarownica, jaka młoda, jaka pię kna - poczę ły nieść szeptu podawane z ust do ust.*

*Wieziona na wózku Miriam utkwiała swe czarne jak agat oczy w słonecznym niebie.*

*Wiedziała, że nie ma ratunku, że w amoku pomówień, donosów i tortur przyszła kolej na nią .*

*Dlatego że była urodziwa i nie uległa chuciom inkwizytora. Wzdłuż rąsza dogasał szereg pierwszych stosów, koń czono układać nowe... Ktoś musiał zapłacić za kryzys, za nieurodzaj i niepopularność ekipy.*

*- Ś mierć czarownicom! - krzyczeli poprzebierani w ebracze kostiumy aktywiś ci.*

- *Czarnej magii stanowcze nie!* - *głosił rozpostarty nad morzem głów transparent.*

- *Czarownice do czarta!* - *skandowały jednakowo odziane sieroty z Bractwa Przyjaźni ze Świątą Inkwizycją.*

*I ludzie wołali tak na wszelki wypadek. Wołali, zdję ci strachem. Niepewni, po kogo przyjadą nocą ludzie w czarnych kolasach, czyje nazwisko zacytują w relacjach z kolejnych procesów heroldowie...*

- *Podaj mi rękę, córko* - *rzekł naraz stanowczo mnich w kapturze, który wcisnął się mię dzy Miriam a oprawców...*

- *Miriam!* - *krzyknąłem naraz bezwiednie.*

Z łazienki dobiegł okrzyk trwogi. Wbiegłem do środka, woda przelewała się przez wannę.

Ociekająca mydlinami dziewczyna stała w kącie dygocąc.

-

Miriam - powiedziałem łagodnie - nie bój się. Tu nic ci nie grozi.

Nie zwracając uwagi na wodę i pianę, przygarnąłem ją do siebie... Przygarnąłem nieletnią, skazaną na śmierć czarownicę, wyprowadzoną na plac Ratuszowy 11 kwietnia 1633 roku według kalendarza Środkowoamirandzkiego.

Trwaliśmy tak tylko chwilę. Potem dość stanowczo wysunęła się z mych objęć.

Podniosła szlafrok. Powróciliśmy do pokoju. Z mieszkania pana Andrzeja (drzwi na korytarz ciągle były uchylone) nie dolatywał Śaden dźwięk. I naraz, jak gdyby ktoś na moment otworzył

hermetyczne okno, rozległa się nadzwyczajna wrzawa: dźwięki dzwonów, szum gniewnego tłumu, szczęk oręŜa. Po czym znów wszystko umilkło. Wrócił mój sąsiad.

Twarz miał bladą, ale uśmiechniętą, a oczy błyszczały jak u nastolatka.

- Chodź.

- *Dziękuję ci* - *rzekł i wyciągnął rękę do Miriam.*

Poszła za nim jak najpotulniejszy piesek.

Ach, panie profesorze. Jeszcze raz przepraszam za me niedowierzanie, za niezbyt grzeczną rozmowę w hotelu. Za późniejszą suchą korespondencję. Nagle dotarło do mnie, Śe Amiranda istnieje. I to jak! Oczywiście trzeba było czasu, bym pojął, iŚ asystowałem nie w kreacji będącej bez wyjątku dziełem mózgu Andrzeja, ale Śe wyobraźnia staje się faktem.



Moja książka, której inspiracją były w dużym stopniu rozmowy z panem, została prawie ukończona. Brakowało ledwie kilku opowiadań. Przesłałem już maszynopis pod pańskim niemieckim adresem. Chciałem opinii i recenzji dla wydawnictwa, zwłaszcza że tak obiecująco pisał mi pan o tłumaczu i możliwości wydania *Antybaś ni* na Zachodzie.

Pojawiły się jednak kłopoty. Nie mogłem ruszyć z owymi ostatnimi opowiadaniem. Najwyraźniej mój sąsiad przestał myśleć o Amirandzie. Zaczął być codziennym gościem. Wychodzić z domu.

Kupił sobie nowy garnitur. I chyba był zakochany.

Na nagabywania Jackowskiej, kim jest piękna sublokatorka, odpowiadał: „Moja kuzynka”. Ale nie bardzo mu wierzono. Nikt nie przynosi kuzynce co dzień kwiatów. Nie wydaje wszystkich oszczędności na jej ciuchy. No i nie jest taki zazdrosny.

Zresztą, nie on jeden. Zazdrosna była również moja Alinka, która jak każda dobra kobieta posiada system wczesnego ostrzegania, mogła bardzo wcześnie odkryć potencjalną rywalkę i zauważyć nagle ochłodzenie małżeńskiej miłości.

Czy Miriam zainteresowała się mną? Kto wie? Na pewno mnie polubiła. Andrzej musiał ją jakoś utrzymywać, wziął więc pół etatu i często bywał nieobecny. Zbiegało się to z godzinami pracy mojej sony. Miriam wpadała do mnie. Siadała na oknie i snuła nieprawdopodobne opowieści o Amirandzie jej czasów. Albo znów zadawała setki pytań dotyczących naszego świata. Był to jednak kontakt przyjacielski. A mnie nie udało się nawet posunąć o krok w poufałości. W stosunku do Andrzeja Miriam cechowało pełne oddanie.

Przywiązanie niewolnicze, ubóstwienie, bezbrzesna wdzięczność. Ale czy miłość? W końcu ponad czterdzieści lat różnicy stanowi jakąś przeszkodę...

Czy byli ze sobą? Nie wiem, pewnie tak. Minęło parę tygodni. Wiosna jęła z wolna przeistaczać się w lato. I któregoś dnia Miriam zwierzyła mi się, że niepokoi się o Andrzeja.

Starszy pan stał się od pewnego czasu niespokojny. Źle sypiał. Ciągłe twierdził, że jest obserwowany. Zamówił dodatkowe zamki w drzwiach i sztaby przeciwwywąszeniowe. Na bazarze nabył pistolet gazowy.

Któregoś dnia wyszedłem na spacer z moim spanielem. Noc była ciepła, cicha.

W ogródkach naszczekiwały psy i tylko z daleka dolatywał niezmordowany szum magistrali.

Wracałem zaroślami zamyślony. W pewnym momencie uniosłem głowę. Jak na dłoni widać było oświetlone okno pana Andrzeja. Nie ja jeden mu się przyglądałem, jakichś dwóch facetów stojących w cieniu drzewa gapiło się na nie bezustannie...

- A może dziś? - mruknął jeden z nich wyraźnie obcym akcentem.

- Nie, jutro - odparł drugi.

Naszczekujący Astor chyba ich spłoszył. Zanurkowali w dziurę między komórkami i zniknęli.

Jestem pewien, że nie zwrócili uwagi na moją obecność. Zrelacjonowałem sprawę panu Andrzejowi. Wysłuchał skupiony.

- Musiało do tego dojść - mruknął wreszcie - musiało.

- Chcą pana zabić?

Nagły chichot.

- Nie mogą. Tego akurat nie mogą... Musiałbym ci coś opowiedzieć, coś...

- O Amirandzie?

- Skąd wiesz o Amirandzie?! - poderwał się zaskoczony.

Nie umiałem kłamać. Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, na koniec wspomniałem o księżce i stwierdziłem, że gotów jestem zrzec się mego autorstwa na jego rzecz.

- Bez sensu, bez sensu - powiedział. - Amiranda już nie jest moja. Ja jej nie chcę.

Dzięki niej - skłonił głowę ku śpiącej Miriam - dowiedziałem się, że zmarnowałem życie, że szukałem w imaginacji tego, co mógłbym, pewnie mógłbym... znaleźć w tym, co nas otacza...

Tylko oni do tego nie dopuszczają.

- Jacy oni?

- Amirandczycy.

- Przecież to twory pańskiej wyobraźni.

- To prawda. Lecz żyjących już realnie. Tak jak Miriam, tyle że w innym wymiarze. To był długi proces. Początkowo wszystko bywało w kategoriach wyobraźni. Później jednak przekroczyłem pewien krąg. Zaczęłam tam bywać. Fizycznie. Trudno wyjaśnić, jak to było możliwe, ale po prostu przekraczałem granicę i wchodziłem tam. Dokonywałem ingerencji, sam degradując się z roli stwórcy do współuczestnika. W odpowiedzi oni coraz bardziej uniezależniali się ode mnie. Historia Amirandy nabrała własnej logiki, fakty poczęły się toczyć zgodnie z wewnętrzną konsekwencją i tylko ogromnym wysiłkiem udało mi się je korygować. Ale nie do końca. Starczyło siły na uwolnienie Miriam, ale pomysł, aby zrezygnować w ogóle z procesów o czary, stał się niewykonalny. Tworząc Amirandę wymyślałem ją poniekąd jako byt idealny, rozgrywający się według dobrodusznych kanonów baśni. Popełniłem jednak błąd mego Wielkiego Kolegi - dałem moim homunkulusom wolną wolę.

I odtąd całe dzieje stały się jednym wielkim nieprzesądzonym zmaganiem dobra i zła.

Pasjonującym dla obserwatora, przerażającym dla twórcy. Walczyłem, korygowałem, wymyślałem reformatorów i ludzi szlachetnych, ale kto by nadał? A czasami miałem ogromną ochotę zrobić im koniec świata. Kiedy pojawiła się w mym życiu Miriam, Amiranda mnie znudziła. Przestałem o niej w ogóle myśleć. Zresztą fikcja była i tak własnym życiem.

A jednak mój brak zainteresowania został tam zauważony. I przez tych, którzy uważali mnie za Opiekunów Bóstwa, i przez tych, u których miałem jedynie opinię konstruktora. W tajemnicy przede mną prowadzone były prace badawcze na mój temat. I wreszcie (w ich chronologii przed dziesięciu laty) odkryto mnie. Rozumie pan, zdemaskowano. I od tego czasu trwa nade mną nadzór. Dość dyskretny. Niedawno dowiedziałem się, że są nawet plany wypreparowania w przyszłości mego mózgu, aby on - wiecznie żywy - trzymał w porządku całą ich rzeczywistość. Kto wie, czy teraz nie przyspieszą swej decyzji...

Krótko po północy nadjechało zamówione radiotaxi. Pan Andrzej i rozbudzona, nadęta Miriam zeszli na dół.

- Najlepiej o tym wszystkim zapomnieć - rzekł na pożegnanie Kreator. - A księżkę spalić! Tak będzie lepiej...

Miriam nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła tak smutno, wymownie...

\* \* \*

Do kraksy doszło nieopodal wjazdu na główną drogę. Nie było świadków, ale odpryski lakieru wskazywały, że sprawcą musiał być olbrzymi TIR. Ciało kierowcy zostało kompletnie zmasakrowane. Po pasażerze pozostała tylko spora ilość krwi. Ciało zniknęło. Pasażerka siedząca z tyłu ulotniła się również, nie pozostawiając żadnych śladów. Zniknęły bagaże.

Kierowcę TIR-a odnaleziono nazajutrz. Był to rosły Duńczyk, który trząsł się cały w trwającym szoku i bełkotał, że nagle zawiodły go hamulce: po zderzeniu chciał wrócić, ale natychmiast pojawili się obok niego ciemno ubrani ludzie i wymachując bronią kazali jechać do wszystkich diabłów.

„Ekspress Wieczorny”, relacjonujący to wydarzenie, stwierdził, że w śledztwie nie dano wiary zeznaniom kierowcy.

Miałem, drogi profesorze, własną teorię na ten temat, ale sam pan rozumie, nie wychylałem się z nią zbyt. Zresztą przeżyłem wtedy kilka koszmarnych tygodni. Bałem się, po prostu bałem się jak ten, który wie o sprawie za dużej.

Ale jakoś nikt się mną nie interesował. Natomiast Alinka w tym czasie dwoiła się i troiła.

Ewentualne przejęcie pokoju zaginionego lokatora uznała za swój życiowy cel. Jak załatwiła, że tymczasowo dano nam klucze, nie wiem. Dość wspomnieć, że miesiąc po okropnym incydencie przekroczyłem próg narodziłego pokoju. Pan Andrzej nie posiadał wielu sprzętów. Wszystkie bardziej osobiste drobiazgi zabrał ze sobą. Ale oczywiście trochę zostało. Z ciekawości zaglądałem w kąty, do szafy. Na półkach pozostało nieco starzyzny, natomiast środkowa część zaskakiwała zupełną

pustką. Zajrzałem głębiej i zobaczyłem pośrodku dwa dziwne symetryczne wygłębienia, jakby od wielokrotnego uderzenia w to miejsce obcasami. Nie oparłem się pokusie stanięcia tam. Śadnego wraŜenia. Ale coś mnie podkusiło, Őeby zamknąć za sobą drzwi.

Początkowo otoczył mnie mrok. I to mrok agresywny, lepki, ale po chwili wkoło szafy zaczęło szarzeć. Nawet jaśnieć...

„Mam halucynacje” - pomyślałem. Zamrugalem powiekami. Złudzenie nie ustępowało.

Mrok przede mną coraz bardziej zmieniał się w mgłę. Mgłę w samym Őrodku jaśniejszą.

Zrobiłem krok w stronę jasności i nie natrafiłem na mur. Teraz posuwałem się jakby korytarzem bez ścian z prostokątem Őwiatła na końcu. Krok po kroku postępowałem ku niemu, a Ő nagle otoczył mnie blask. Zamknąłem oczy, potem otwarłem. Stałem na lśniącym bielą korytarzu szpitalnym obok gaŐnicy przeciwpoŐarowej. Ogromne całościenne okna pozwalały zobaczyć rozległy park, na który napierało miasto. Znałem je dobrze. Dzielnicę handlową przy bulwarze, wyŐej wznoszącą się Starówkę najeŐoną lasem dzwonic, wapienne wzgórze z zamkiem Regentów; i dalej, dalej a Ő ku widocznym mimo wiszącego smogu rdzawym, wulkanicznym wzgórzom.

Odwróciłem się. Za mną naturalnie ściana! Pomacałem rękami. Ani śladu wyjścia. Ładne rzeczy. Przelazłem na drugą stronę, nie zabezpieczywszy sobie odwrotu. Od razu spociłem się ze strachu. Ale co miałem robić? Brnąłem dalej.

Mijająca mnie pielęgniarka zapytała, czy czegoś nie potrzebuję. Zaprzeczyłem.

A potem poszedłem, jakby prowadzony igłą magnetyczną. Z wieszaka po drodze machinalnie zdjąłem kitel lekarski i narzuciłem na siebie. Na oddziale intensywnej terapii trwało prawdziwe piekło.

MęŐczyzna o władczym wyglądzie, tytułowany przez wszystkich panem Ministrem, był

blady i powtarzał jak nakręcony:

- Musicie utrzymać go przy Őyciu! Ci idioci, których wysłałem po niego, spaprali sprawę! Musicie...!!!

- Robimy, co w naszej mocy, ale to juŐ agonia! - powiedział Ordynator.

- A przeszczep mózgu?

- To dla naszej nauki ciągle sprawa przyszłości. Za pięć, dziesięć lat...

Bez przeszkód dotarłem do łóŐka, na którym otoczony aparaturą leŐał Andrzej.

Poznałem go mimo niezwyklej bladości i wycieńczenia. Dotknąłem jego ręki. Uścisnąłem ją...

I wtedy doznałem jakby lekkiego kopnięcia prądem...

- Znika encefalograf! - krzyknął nagle któryś z lekarzy.

I stało się to, co musiało się stać. W środku słonecznego dnia niebo nagle pociemniało, pogasły szpitalne światła, stęknęła ziemia. Znieruchomiałem przy oknie. Zahipnotyzowany patrzyłem, jak rozsypuje się wszystko, pęka niebo, spadają gwiazdy, w pył rozsypują się ściany.

Wszystko w ciszy, w absolutnej ciszy. I naraz dostrzegłem znów kłębek mgły, tuż obok mnie.

Sekundę wcześniej zauważyłem małego, przerażonego kotka, który wyskoczył spod łóżka Andrzeja i szukał ratunku w moich rękach. Przytuliłem go i wskoczyłem w mgłę.

I to wszystko, profesorze HSP. Nie muszę dodawać, że wraz z kotem spokojnie wylądowałem w szafie. Nie spadł mi nawet włos z głowy, jedynie Alinka narzekała, że nie pomagam jej w porządkach, tylko bawię się w chowanego. Księżkę pozostawiłem w takim stanie, w jakim była. Więcej pomysłów nie mam.

Czasami mam ochotę znów zajrzeć do szafy. Może dzięki przedśmiertnemu impulsowi Andrzeja świat Amirandy nie przypadł całkowicie. Może w jakimś stopniu żyje we mnie.

I odradza się już po kataklizmie. Brak mi jednak odwagi, żeby sprawdzić. Może kiedyś, później...

Ale do rzeczy. Jeśli mogę mieć do pana profesora jeszcze jedną prośbę, to proszę o list albo nawet telefon do mojej Sany. Wspomniałem panu o kotku, małym, czarnym kotku uratowanym z ginącego świata. Zwierzątko świetnie się u nas zadomowiło. Było miłe i wierne, godzinami potrafiło towarzyszyć mi w pracy. A któregoś wieczora, gdy czochrało swym łebkiem moją brodę, przysłała mi chętką i ucałowałem zimny nos i różowy pyszczek. A potem... może się pan domyślić. W parę sekund kotek zmienił się w tę czarownicę Miriam. Była naga. Oplotła mnie namiętym uściskiem i zaczęła całować. A potem nadeszła z kuchni Sona. I sam pan rozumie...

Drogi HSP, błagam, niech pan wytłumaczy, że nie ma w tym żadnej mojej winy, a cała historia jest absolutnie możliwa i prawdziwa.

Z dozgonnymi wyrazami szacunku

**Autor**